

ZLIKWIDOWAĆ, CO SIĘ DA!
O MINISTER ZDROWIA, KTÓREJ PRZESZKADZA PACJENT



ILE JEST SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W TOKARCZUK?
BLAMAŻ NOBLISTKI



POLSKI PREMIER PO NIEMIECKIEJ STRONIE.
TO JUŻ KIEDYŚ BYŁO



POPŁOCH POD WAWELEM.
W SAMORZĄDACH SZYKUJE SIĘ REFERENDALNA FALA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

23 (705) 2026
1–7 czerwca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

ALARM DLA POLSKI

ZACZYNA SIĘ KATASTROFA

TRACIMY KONTROLĘ NAD IMIGRACJĄ

WIELKI SKANDAL W LUBLINIE!
UKRAINKA MASOWO ŚCIĄGA „STUDENTÓW” Z AFRYKI. RZĄD NIC NIE ROBI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 23
Numer w sprzedaży do 8 VI 2026 r.

eprasa.pl b471

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość
czytania SIECI
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl b471be45b5

Rewolucja albo śmierć

Według oficjalnych danych przedstawionych przez GUS w 2025 r. dzietność w Polsce wyniosła 1,068 dziecka na kobietę. Oznacza to dalszy, znaczący spadek w porównaniu z rokiem poprzednim. To już nie jest zapowiedź katastrofy – to jest katastrofa. A nawet więcej: to narodowa tragedia.

O tyle inna od poprzednich, że w zasadzie dziejąca się w ciszy. Co prawda coraz więcej ludzi dostrzega skalę zapaści i nieuniknione konsekwencje wymierania narodu, ale wciąż jest to temat, który funkcjonuje na marginesie debaty. Symbolicznie premier Donald Tusk ani razu nie odniósł się do tych zatrważających liczb, w każdym razie nie na poważnie. Lewicowo-liberalne media nadal obrzydzają rodzinę i macierzyństwo. Robią to z takim zapałem, że trudno nie widzieć w tym szerszego planu podmiany ludności w krajach europejskich.

Bal na Titanicu trwa w najlepsze. Orkiestra gra, a my toniemy. I marne to pocieszenie, że wokół nas, na Zachodzie i na Wschodzie, też trwa zapaść, nieco tylko mniej ostra. Przetrwanie Polski musi być dla nas najważniejsze. Jedno powiedzmy sobie wyraźnie: imigracja nie jest odpowiedzią na kryzys demograficzny. Właśnie dlatego, że jest nas coraz mniej, nie możemy podjąć takiego ryzyka, doskonale znając skutki ścieżki, którą przeszły państwa zachodnie. Musimy iść odwrotną drogą: im bardziej nas ubywa, tym mocniej trzeba strzec jednorodności etnicznej naszego państwa, tym surowszą politykę należy prowadzić w tym względzie.

Podnoszone często argumenty gospodarcze należy odrzucić. Po pierwsze, w długiej perspektywie dopływ taniej siły roboczej osłabia konkurencyjność gospodarki, opóźnia bowiem innowację i automatyzację. Po drugie, nadciągająca rewolucja sztucznej inteligencji skokowo ograniczy zatrudnienie w wielu branżach i każde miejsce pracy będzie na wagę złota. Po trzecie, jeśli np. sektor dowożenia żywności czy sektor taksówkarski ma być furtką dla masowej imigracji, to lepiej, by nie istniał w takiej skali. To samo dotyczy szkół wyższych, które ściągają studentów – a czasem „studentów" – z Afryki i Azji, o czym pisze na naszych łamach Piotr Gursztyn. Naprawdę możemy się bez tego obejść, podobnie jak damy sobie radę bez fabryk stojących w polu, które funkcjonują wyłącznie dzięki imigrantom, a które lokalnym społecznościom nie dają znów tak wiele.

Zagrożenia, z którymi się mierzymy, są takiej natury, że wymagają nadzwyczajnych, odważnych rozwiązań. Nie ma miejsca na kunktatorstwo. Przyszły rząd prawicy – a sądzę, że taki rząd jednak powstanie – musi sprawę naszego narodowego przetrwania, zarówno w sferze dzietności, jak i imigracji, postawić w samym centrum swojego myślenia. I musi ją powierzyć politykom, a nie ekspertom. Tylko polityka, poparta determinacją i wiarą w sens działań, może przełamać to, co wydaje się nieprzełamywalne. Prawica, zwłaszcza PiS, czyli partia powagi państwowej i odpowiedzialności narodowej, musi działać w tych obszarach naprawdę radykalnie, także we własnym, dobrze pojętym interesie. Stawiam bowiem tezę, że albo rządy prawicy po 2027 r. będą w pewnym sensie rewolucyjne, albo będą to ostatnie rządy twardej prawicy w naszym kraju.

Naprawdę wiele można zrobić. Można promować rodzinę i jednocześnie reagować, także prawnie, na propagandę bezdzietności. Można naprawdę radykalnie przebudować system podatkowy. Można zmieniać prawo, w tym konstytucję, dając większe prawa polityczne rodzinom z dziećmi. Można relatywnie łatwo wyeliminować telefony komórkowe (w istocie już potężne komputery) ze szkół. Można ograniczyć dostęp do mediów społecznościowych. Można – i trzeba – uświadomić milionom Polaków, że ta tragedia naprawdę ich dotyczy. Oni zresztą już to wiedzą, ale nie mając silnego impulsu politycznego, nie umieją tego przełożyć na język decyzji politycznych.

Jednego nie można zrobić: podjąć sprawy retorycznie, faktycznie zatrzymując się przed konkretnymi, mocnymi decyzjami. Może umrzemy jako naród, ale przynajmniej podejmijmy walkę. Na serio.

Jacek Karnowski



Autopromocja

SIECI spis treści



29 Szmaciane państwo Tuska
Stanisław Janecki



38 Sławosz zakneblowany
Konrad Kołodziejski



54 Słabnie odstraszanie Rosji. Co robić?
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **EUROPEJSKIE KŁAMSTWO**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POLAKU, LECZ SIĘ SAM!**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSCY KOMISARZE PRZY ŁADOWARCE. KOMISARZE CZEKAJĄ NA PRĄD, POLSKA NA CUD**
Daniel Obajtek

13 **NA STRAŻY GODNOŚCI CZŁOWIEKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **KILOMETRÓWKI ŁAPSERDAKÓW!**
Jan Pietrzak

14 **KIERWIŃSKI BAWI SIĘ SOP**
Samuel Pereira

15 **ODWAŻNI WOBEC MOSKWY, CISI WOBEC BERLINA**
Arkadiusz Mularczyk

16 **WIELKI RESET**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

17 **INWAZJA TYLNYMI DRZWIAMI**
Piotr Gursztyn

KRAJ

21 **POWSTANIE KRAKOWSKIE: KONIEC ERY MISZALSKIEGO I CO DALEJ?**
Z Michałem Drewnickim rozmawia Marzena Nykiel

24 **OSTATNIA SZANSA KRAKOWA**
Jan Rokita

27 **SZMACIANE PAŃSTWO TUSKA**
Stanisław Janecki

30 **PACJENT JEJ PRZESZKADZA**
Marek Pyza

34 **EUGENIKA PO POLSKU**
Dorota Łosiewicz

36 **ALARM DEMOGRAFICZNY**
Joanna Formela

38 **SŁAWOSZ ZAKNEBLOWANY**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

41 **DONALDZIE, ODDAJ MI TE BRYGADY**
Dariusz Matuszak

44 **GDZIE SIĘ PODZIAŁ „CZUŁY NARRATOR”?**
Maciej Walaszczyk

47 **TRANSKRYPCJA TO PIERWSZY KROK**
Z Rafałem Dorosińskim rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

50 **TROSKA O CZŁOWIEKA W OKRESIE REWOLUCJI CYFROWEJ**
Piotr Słabek

52 **KAJDANKI ZAMIAST POMOCY**
Aleksandra Rybińska

54 **SŁABNIE ODSTRASZANIE ROSJI. CO ROBIĆ?**
Marek Budzisz

HISTORIA

57 **POWOJENNE EKSHUMACJE I POCHÓWKI OFIAR HOLOKAUSTU NA TERENIE POLSKI**
Grzegorz Berendt

60 **POLSKI PREMIER PO NIEMIECKIEJ STRONIE**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

63 **BÓJ O KAMIENICĘ**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: GULIWER**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **TERAPIA KRYSZTAŁAMI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **CRYSTAL PALACE I… POLSKI PAPIEŻ**
Ryszard Czarnecki

74 **MŁODZI MAJĄ TRUDNIEJ!**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl b471be45b5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Europejskie kłamstwo

UE pogrąża się w coraz większym kryzysie i kreuje... Europejski Order Zasługi. Troje odznaczonych najwyższym stopniem to Lech Wałęsa, Angela Merkel i Wołodymyr Zełenski.

Nagroda dla tego ostatniego nie budzi kontrowersji. Trudno przecenić jego wkład dla niepodległości swojego kraju i obrony Europy. Wałęsa natomiast to idealna maskotka zachodniego establishmentu. Lider największego ruchu robotniczego (w rzeczywistości narodowego) w historii, który robi i mówi to, czego oczekuje od niego rządząca oligarchia. Jego groteskowość jest atutem. Można pokazywać go, puszczając oczko: „Popatrzcie jacy śmieszni są nawet najlepsi z nich".

Merkel ma największy udział w obecnym kryzysie Europy. Czytaliśmy o tym w poprzednich „Sieciach". Nie dziwi, że Zełenski nie odebrał osobiście orderu, bo musiałby wystąpić z polityk, która wzmocniła Rosję, umożliwiając jej próbę podboju Ukrainy, a wcześniej faktycznie sankcjonowała jej imperialną politykę. Zdumiewać może destrukcja, którą rządy Merkel przyniosły Europie. Od otwarcia się na nielegalną emigrację, co działo się z pogwałceniem traktatów i norm unijnych, po samobójczą politykę klimatyczną. Ale zasadą europejskiej oligarchii jest brak odpowiedzialności. Nie tylko w tym przypomina ona komunistyczny system.

„Przesada", pomyślałem, kiedy pierwszy raz, dawno temu, usłyszałem to porównanie. Jednakowoż słyszałem je coraz częściej i coraz wyraźniej widziałem jego uzasadnienie.

Obrońcy sowieckiego ustroju głosili, że na niedomogi socjalizmu jedynym lekiem jest więcej socjalizmu. Dziś słyszymy: na kłopoty Unii – więcej Unii. W obu przypadkach identyczna była odmowa stawienia czoła systemowym problemom i uznanie, że nie mogą się one pojawić, bo przecież doktryna jest doskonała. Perturbacje oznaczają, że nie została konsekwentnie wdrożona.

Słyszeliśmy: „Unia jest jak rower: jeśli przestanie się poruszać, musi upaść". Przy całym idiotyzmie tego zestawienia wskazywało ono realną zasadę. Państwa członkowskie poddać trzeba permanentnej presji, inaczej wyłamywać się zaczną z absurdalnej logiki centralizacji. Zmagając się z nieustannymi naciskami Brukseli, za sukces uznają choćby częściowe ich spowolnienie.

Proces integracji wpisany został w ofensywę ideologii emancypacji, której wehikułem stała się Unia. Oficjalnie jej rzecznicy odżegnują się od ideologicznych konotacji. Są zwolennikami liberalizmu i praw człowieka, które mają wyrażać postęp i racjonalność. Pod tymi szyldami rozmontowywana jest tradycyjna, a więc znana nam cywilizacja zachodnia, a organizatorzy tego przedsięwzięcia po to, aby je przeprowadzić aspirują do pełni władzy. W imię praw człowieka mamy zniszczyć wszystkie realne tożsamości od religijnej przez narodową po rodzinną czy płciową wreszcie.

Wszystko ma być kwestią wyboru, ale jakiego wyboru mamy dokonać, decydują przedstawiciele europejskiego establishmentu zasiadający w brukselskich czy luksemburskich gremiach i trybunałach. Oni decydują, że mamy zniszczyć rodzinę pod hasłem prawa wszystkich do małżeństwa. Zmuszają rodziców do zgody na seksualizację dzieci od wieku przedszkolnego, narzucają aborcję i eutanazję na życzenie. Zakazują bronić tożsamości kulturalnej. Dyktują, co i jak mamy produkować oraz sprzedawać, jak i co mówić. Za naruszenie owych zasad grożą sankcje prawne.

Prawo i struktury instytucjonalne UE ustalają się na zasadzie walki o władzę i pozycję w sposób niejawny. Ich kształt rozmija się z intencjami i zapisami twórców traktatów. Miały one ograniczać role potęg europejskich, zwłaszcza Niemiec, a stały się ich narzędziem. Podobnie komunizm miał złamać rosyjski imperializm, a przekształcił się w jego optymalną formę. Miał zlikwidować wyzysk robotników, a kraje komunistyczne przodowały w ich eksploatacji.

Oto konsekwencje utopii wcielonej. W imię wymyślonych przy biurkach rozwiązań, likwidowane są wytwarzane w toku rozwoju cywilizacji instytucje. Projekty inżynierów społecznych nie działają, bo ludzie nie są bierną materią, ale ta refleksja nie dociera do konstruktorów doskonałych światów.

W UE jak w ZSRS nie istnieją mechanizmy rozliczenia i pociągnięcia do odpowiedzialności członków nomenklatury. Ursuli von der Leyen nie zaszkodziło tajne i bezprawne uzgodnienie z szefem Pfizera kolejnego zakupu niepotrzebnych już szczepionek za zawyżoną cenę 35 mld euro. To tylko najbardziej ostentacyjny przykład. Instytucje badawcze UE są w rzeczywistości ośrodkami propagandy. Jak w ZSRS.

Swoje wystąpienie przy odbieraniu orderu Merkel poświęciła w dużej mierze... odpowiedzialności. „Przekonanie, że nie będzie się pociągniętym do odpowiedzialności za kłamstwa, podważy fundamenty demokracji" – oświadczyła.

Nagradzanie Merkel za niszczenie Europy może dokonywać się wyłącznie w aurze powszechnego kłamstwa. W naszym świecie odwróconym próba jego przełamania karana jest jako mowa nienawiści.

„Europejska demokracja" żyje kłamstwem. Jak ZSRS.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b471be45b5



Sygnalista nadaje

„Ciężka sprawa dla KO w Krakowie” – zauważyła prof. Katarzyna Kolenda-Zaleska. „Nie ciężka sprawa, tylko wp...dol” – odpowiedziała jej mgr poseł ***Anna Maria Żukowska***. Kończymy tu temat referendum w Krakowie, bo chcielibyśmy przejść do omawiania sukcesów rządu koalicji 15 października łamane na 13 grudnia. PS Tylko jedna uwaga: wśród nazwisk osób, które strona demokratyczna może wystawić w wyborach na prezydenta miasta Krakowa, pojawia się postać Bogdana Klicha. Koniecznie! To będzie widowisko.

A tak naprawdę – popatrzmy na referendum w Krakowie z drugiej strony: jako na sukces strony demokratycznej. To ważne zwycięstwo moralne. Tylko 30 proc. wyborców w Krakowie poszło zagłosować za odwołaniem ***Aleksandra Miszalskiego*** z funkcji prezydenta. W domu zostało 70 proc., czyli ludzie, którzy nadal go popierają. Liczymy też na to, że dr Kontek zajmie stanowisko w tej sprawie. Wprawdzie nadal jest zajęty liczeniem głosów ze sfałszowanych wyborów prezydenckich, ale na pewno już finiszuje. I wtedy zdemaskuje prowokację krakowską.

O ohydnym charakterze prowokacji krakowskiej świadczy też następujący fakt: prezydent Krakowa, JE dr nauk hotelarskich Aleksander Jan Miszalski, został odwołany przez mieszkańców dzielnic spoza centrum miasta. Czyli motłoch i wieśniaków. Stare rodziny krakowskie (łatwo poznać je po tym, że noszą fulary) nadal popierają JE Prezydenta. Mieszkańcy elitarnych dzielnic nie wzięli udziału w referendalnej hucpie. Zresztą nawet nie wiedzieli, że jest referendum, bo w TVN24 w ogóle o tym nie mówiono. A potem, ku zaskoczeniu większości widzów, pojawiła się informacja, że Olek Miszalski nie jest już prezydentem Krakowa.

Zdrada, zdrada. Podstępne zimne oczy gada. Zdrada, zdrada! I to bardzo bolesna, bo zdradził najważniejszy przyjaciel Tenkraju, czyli Mocarstwo Moralne. Sąd w Szlezwiku-Holsztynie odmówił wydania jakiegoś typa na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania. Dlaczego? Bo u nas jest zły stan więziennictwa, który spełnia definicję złego traktowania. Ale jak to? Jesteśmy przecież 20. gospodarką świata i przywracamy praworządność (tak jak my ją rozumiemy).

Poznajcie prawdziwego ojca moralnego zwycięstwa, które odniósł Olek Miszalski. To człowiek stojący w cieniu, ale mózg tej kampanii. Autor strategii prezydenta, która miała sprawić, że referendum będzie nieważne. I prawie się udało, tylko o kilka tysięcy ludzi za dużo poszło głosować. To Szymon Milczanowski. W internecie piszą o nim, że jest cenionym specjalistą od zarządzania kryzysowego i jednym z najlepszych strategów komunikacyjnych w Polsce. Był strategiem kampanii prezydenckiej Bronisława Komorowskiego w 2015 r. i Rafała Trzaskowskiego. Super gość! Liczymy na to, że Szymon poprowadzi kampanię parlamentarną KO w 2027 r. Szymonie, do boju!

Szanowne Osoby Czytelnicze, będziecie zaskoczone, ale zrozumiecie. Musimy skrytykować Pana Premiera ***Donalda Franciszka Tuska***. Rozumiemy, że przemawia za nim mądrość etapu, ale są pewne granice tolerowania prawactwa i kaczyzmu przez demokrację walczącą. Nie podoba nam się reakcja Pana Premiera na wydarzenie, które miało miejsce w Gdańsku. Chodzi o interwencję służb w mieszkaniu związanym z niejakim Karolem N., osobą podejrzewaną o sfałszowanie wyborów prezydenckich i uniemożliwienie objęcia funkcji prezydenta Rafałowi Kazimierzowi Trzaskowskiemu

eprasa.pl b471be45b5

(oraz jego żonie Gośce). Pan Premier stwierdził, że to wyjątkowo paskudna prowokacja. No nie! Gdzie tu wady? Z prawakami trzeba krótko, bo inaczej znów wygrają jakieś wybory.

Pan Premier wydał komunikat w tej sprawie: „Działania prowokatorów są wymierzone w bezpieczeństwo państwa. W nas wszystkich. Użyjemy wszystkich dostępnych metod, aby zidentyfikować i wyłapać sabotażystów, niezależnie od tego, skąd są i kto nimi kieruje". To przesada. I niełądnie jest nazywać tak naszych chłopaków z Silnych Razem. Przecież oni chcą dobrze.

Jacek Protasiewicz trafił do szpitala. Spokojnie! Nic mu nie jest, tylko trochę się awanturuje. Jacula dostał fajną posadę od kolegów z PSL. Ma zasiadać w zarządzie szpitala w Lipnie. Ktoś w ogóle wie, gdzie to jest? Pytamy dla Jaculi, bo on też nigdy tam nie był. Jedynym, co udało się nam ustalić, jest to, że szpital w Lipnie znajduje się niedaleko szpitala w Aleksandrowie Kujawskim. Czyli tej zasłużonej placówki, gdzie uratowano paznokieć 13-letniego dzieciątka senatora Tomka Lenza. To dobra wiadomość. Obie placówki będą mogły nawiązać bliższą współpracę.

Pojawiły się osoby, które zaczęły niesłusznie kwestionować kompetencje Jaculi Protasiewicza. Odpór stawiła im dzielna narzeczona Jaculi, Daria, również z PSL. Odpowiedziała, że Jacula świetnie się na tym zna i w ogóle jest apolityczny. To zamyka sprawę.

Głos zabrał też sam Jacula, który w delikatny i kulturalny sposób odpowiedział szkalującym go pismakom. Np. tak: „I będzie, ciota zarąbana. Nikt mu nie pomoże. Będzie wisiał, jak niegdyś Mussolini. A i przyjdę się odlać na te truchło".

Z prawdziwą klasą. Prawda? Może więc lepiej by było, gdyby Jacula Protasiewicz nie marnował się w jakimś Lipnie. Zwalnia się posada Rzecznika Praw Obywatelskich. Widzicie lepszego od Jaculi kandydata na to stanowisko?

Trudny wybór dla każdego demokraty. Kogo bardziej potępić w sprawie sędziego Zbigniewa Kapińskiego, który w sposób niezgodny z duchem praworządności (tak jak my ją rozumiemy) został neoprezesem neo-Sądu Najwyższego? Bo krwawy dyktator z Nowogrodzkiej Jarosław Kaczyński był przeciwny jego powołaniu. A ten Nawrocki z Gdańska był za powołaniem i to zrobił. Cieszmy się zatem chwilą, że prawacy znowu się kłócą (bo niestety ostatnio Morawiecki z Czarnkiem postępują podejrzanie zgodnie). Zwłaszcza że dzięki temu ludzie mniej gadają o referendum w Krakowie. Bo przecież niedobrze jest o tym mówić. A o kłótniach na prawicy bardzo dobrze jest mówić.









Najwyższy czas na wprowadzenie emerytur specjalnych dla artystów. Tych wszystkich, którzy przez długie lata nie mogli odkładać składek emerytalnych, gdyż ich dochody były pochłanianie na urządzanie domów pokazywanych przez portale plotkarskie. Przecież gwiazdy nie mogą mieszkać jak jakiś motłoch pracujący za średnią krajową. „Świat bez Artystów? Jak Wam się podoba?" – zadało to pytanie Ministerstwo Kultury i ***Marty Cienkowskiej***. No jak? My, unijczycy polskiego pochodzenia, nie wyobrażamy sobie świata bez artystów pokroju Jandy Krystyny i Kapeli Jasia. Dlatego chętnie złożymy się na ich emerytury i inne przywileje socjalne. Problem jest taki, że biomasa zamieszkująca Tenkraj wyobraża sobie świat bez tych artystów. I dopóki demokracja walcząca daje im prawa wyborcze (no właśnie, dlaczego tak się dzieje?), wszystko może się skończyć jak w Krakowie.

Solidarni z Jasiem Kapelą! Podpisujcie się pod jego słowami i podawajcie je dalej! Lepszego uzasadnienia dla przywilejów emerytalnych artystów takich jak Jaś nie usłyszycie: „Zastanawiam się, dlaczego kasjerka w Lidlu jest bardziej uprzywilejowana i zarabia więcej na kasie niż ja po 15 latach pracy intelektualnej?" – zadał to pytanie całej Polsce Jaś. My też się zastanawiamy. Z tego powodu popieramy kasy bezobsługowe. A może dałoby się wprowadzić podobne automaty, które zastąpiłyby artystów? Byłoby taniej. I na pewno mądrzej.

Posłanka klubu Centrum Cwalina-Śliwowska Żaneta objęła prestiżową funkcję wiceminister sportu i turystyki. Wszystkim osobom czytelniczym rekomendujemy śledzenie tej osoby politycznej. Z zawodu trenerka sportów tanecznych, ale przede wszystkim wybitna intelektualistka. Jej nieoczywiste odpowiedzi na oczywiste pytania są dla nas wszystkich inspiracją intelektualną.

„Posłanka nie wiedziała, ile jest w Polsce województw. Dlaczego? Bo ich nigdy nie liczyła. – Nie potrafię odpowiedzieć. Ale wcześniej chyba było 49 przed reformą – odparła. Dostała też pytanie o to stolicą jakiego kraju jest Luksemburg. – Belgii? – zastanawiała się" – tak media opisują jej niebanalną osobowość.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Ludmyła Skwarczyńska x2

eprasa.pl b471be45b5

WIEŻA BAB

Polaku, lecz się sam!

Państwo stworzyło systemową zachętę do zwijania całodobowej opieki medycznej. To jest logika księgowego

To już nawet nie jest reforma ochrony zdrowia. To administracyjne pogodzenie się z jej zwijaniem. Państwo polskie doszło do momentu, w którym Narodowy Fundusz Zdrowia płaci szpitalom za likwidację oddziałów. Tak, płaci za zamykanie porodówek, chirurgii i okulistyki. Płaci za to, by pacjent miał dalej do lekarza, aby trudniej było dotrzeć do szpitala i mniejsze były szanse na pomoc wtedy, kiedy liczy się każda minuta.

I nie chodzi wyłącznie o szpitale powiatowe, choć to właśnie mieszkańcy mniejszych miast najbardziej odczują skutki tych decyzji. Mechanizm obejmuje także placówki miejskie, wojewódzkie, specjalistyczne, a nawet resortowe. Każdy szpital funkcjonujący w systemie ryczałtowym może dziś usłyszeć od państwa: „Ograniczcie działalność, a część pieniędzy i tak zostanie u was".

Mechanizm jest prosty i porażający zarazem. Szpital zamyka oddział całodobowy albo zamienia go na tryb planowy czy jednodniowy, a NFZ przez dwa lata wypłaca mu połowę dotychczasowego ryczałtu. Innymi słowy miliony publicznych pieniędzy mają trafiać już nie za leczenie w pełnym zakresie, ale za ograniczenie leczenia. Za mniej łóżek. Za mniej dyżurów. Za mniej dostępnej pomocy. W kraju, w którym pacjenci miesiącami czekają na zabiegi, a ludzie coraz częściej słyszą, że „muszą jechać do innego miasta", państwo stworzyło systemową zachętę do zwijania całodobowej opieki medycznej. To jest logika księgowego, nie państwa.

Oczywiście urzędnicy mają gotową narrację. Oddziały są „nierentowne". Porodówek jest za dużo. Nocne dyżury kosztują. Okulistyka jednodniowa jest nowoczesna. Chirurgia planowa bardziej efektywna. Wszystko pięknie wygląda w excelowych tabelkach Ministerstwa Zdrowia. Problem w tym, że człowiek nie jest tabelką.

Bo kiedy zamyka się porodówkę w Lesku, Leżajsku czy Radzyniu Podlaskim, to nie znika tylko oddział. Znika poczucie bezpieczeństwa całego regionu. Kobieta w ciąży nagle słyszy, że do porodu będzie musiała jechać kilkadziesiąt kilometrów dalej. Starszy człowiek dowiaduje się, że okulistę ma „w trybie planowym", ale już nie całodobowo. Pacjent po wypadku odkrywa, że lokalna chirurgia właśnie przestała istnieć.



Ale podobne procesy dotyczą także dużych miast i wyspecjalizowanych placówek. Szpitale resortowe rezygnują z chirurgii całodobowej. Okulistyka przechodzi na tryb planowy w dużych szpitalach specjalistycznych. Coraz więcej oddziałów ma działać tylko wtedy, gdy zabieg jest wcześniej zapisany w harmonogramie. System ochrony zdrowia przestaje być budowany wokół dostępności pomocy przez całą dobę, a zaczyna być podporządkowany kalkulacji finansowej.

Najbardziej bezczelne jest jednak to, że wszystko odbywa się pod szyldem „utrzymania dostępności świadczeń". Urzędnicy przekonują, że przecież obok jest drugi szpital, więc nic się nie stało. Tyle że Polska nie kończy się na wielkich aglomeracjach. Dla milionów ludzi „obok" oznacza godzinę jazdy zimą po nieodśnieżonych drogach. Oznacza brak transportu publicznego. Oznacza konieczność organizowania pomocy na własną rękę.

Likwidacja oddziału w dużym mieście to problem organizacyjny. Likwidacja oddziału w mniejszym ośrodku często staje się problemem cywilizacyjnym. W tej historii jest jeszcze coś szczególnie obrzydliwego moralnie. Szpitale toną w długach. Dyrektorzy są stawiani pod ścianą. Samorządy nie mają pieniędzy. Zadłużenie placówek przekracza miliardy złotych. A potem ten sam system przychodzi i mówi: „Zamknijcie oddział, to dostaniecie trochę gotówki i przetrwacie". To nie jest żadna reforma – to finansowy szantaż.

Dziś najłatwiej jest stwierdzić, że oddział przyjmujący mniej pacjentów jest nieefektywny. Znacznie trudniej odpowiedzieć na pytanie, co się stanie z dostępnością leczenia za 5 czy 10 lat. Bo szpital to nie tylko miejsce wykonywania procedur. To element bezpieczeństwa państwa. To gwarancja, że pomoc będzie dostępna wtedy, gdy wydarzy się coś nagłego.

Nie oszukujmy się: mamy do czynienia z pełzającą likwidacją całodobowej publicznej ochrony zdrowia. Najpierw znikają porodówki. Potem chirurgia. Potem kolejne oddziały. Na końcu zostaje budynek z szyldem szpitala i poradnia, czynna kilka godzin dziennie. I tylko pieniądze dalej płyną. Miliony za nieleczenie. Takiego absurdu nie wymyśliłby nawet najbardziej bezduszny biurokrata.

Dorota Łosiewicz

Postać znana



Ronald Kiel siedział samotnie w swoim gabinecie i smętnie wpatrywał się w ekran telefonu. W mediach społecznościowych, czyli tam, gdzie jego zdaniem działy się rzeczy ważniejsze niż w realnym życiu, wszystko było nie tak.

Pomarańczowy napisał na Igreku, że 5 tys. dodatkowych żołnierzy w Tenkraju to zasługa wyłącznie jego dobrych relacji z Bokserem. Brrr, ach, ten Bokser! Właśnie minął dokładnie rok od dnia, w którym został prezydentem. Co było oczywiście winą tego rozmemłanego prezydencika stolicy Rafaela. Ale ci pamiętliwi internauci znów zaczęli jemu, Ronaldowi Kłowi, najlepszemu premierowi w historii Tenkraju, wypominać wywiad telewizyjny sprzed roku, w którym obrzucił błotem Boksera, powołując się na kompletnie niewiarygodnego i nikomu nieznanego patocelebrytę. Że niby powiedział o tym człowieku „postać znana". No i co z tego?!

Na domiar złego w grodzie Kraka jego człowiek, ten, jak mu tam, Mieszalski, został odwołany z funkcji prezydenta. Odwołany w referendum! Tym ludziom chyba w d...ch się poprzewracało od dobrobytu. Demokracji im się zachciało. A taki był dobry, elegancki chłopak: a to mopem pomachał, a to osiem gwiazdek długopisem na czole sobie narysował. Komu to przeszkadzało?!

I wreszcie, jak to mówią „jak nie urok, to sraczka" – jego ukochany klub spadł z Ekstraklasy... I to może by było najgorsze ze wszystkiego, gdyby nie fakt, że kibicem biało-zielonych był także prezydent Bokser. „Może i moja krzywda, ale mam nadzieję, że jego większa" – pomyślał mściwie Ronald Kiel, bo co jak co, ale ze wszystkich posiadanych cech to właśnie mściwość pielęgnował najmocniej.

Te niewesołe rozmyślania przerwało nieśmiałe pukanie i po chwili głowę do gabinetu wsunęła jego ulubiona dziennikarka.

– Czy mogę? – zapytała nieśmiało Justyna Szop-Pracz, gwiazda telewizji w likwidacji, wsuwając do pokoju nogę wystającą spod kusej minispódniczki.

– Ależ Justyno, ty zawsze możesz. – Kiel uśmiechnął się jednocześnie szarmancko i lubieżnie. Patrzył na zbliżającą się postać Szop-Pracz, o której można było powiedzieć wiele, ale nie to, że ubiera się skromnie i z gustem. Walczyły w nim dwie postawy: rozsądnego męża stanu (właśnie tak lubił o sobie myśleć) i kaszubskiego macho (tak też lubił o sobie myśleć). Zupełnie ignorował to, że poza nim oraz kurczącą się grupą wyznawców nikt go już tak nie postrzegał.

– Panie Kierowniku, wygląda pan dzisiaj jak skrzyżowanie męża stanu z kaszubskim macho – powiedziała, delikatnie sepleniąc, Justyna.

– Czytasz mi w myślach, Justyno, bo właśnie tak się czuję... – Kiel podjął subtelną grę dwóch płci, gdy nagle przypomniał sobie, że sam publicznie głosi, że płci jest teraz więcej niż dwie. Zmarkotniał, bo natychmiast wróciły wszystkie czarne myśli.

– Oj, coś pan zmarkotniał. – Zasępiła się Justyna Szop-Pracz, trzepocąc sztucznymi rzęsami. – A ja nie lubię, kiedy jest pan smutny.

– Obawiam się przyszłości, Justyno. Od kilku tygodni mamy złą passę – poskarżył się Kiel.

– Faktycznie, nie jest najlepiej. Sondaże spadają. – Justyna podrapała się po czole, co nie było łatwe, gdyż było pokryte bardzo grubą warstwą pudru. – Ta akcja z dzwonieniem i zgłaszaniem pożarów oraz dziwnych zdarzeń w domach opozycji nie była najlepsza.

– A bo to człowiek wiedział?! – Zaperzył się premier. – „Pogłos" mówił, że będzie śmiesznie, a przy okazji zrobi im się kipisz w mieszkaniach.

– Panie Kierowniku, przecież Pogłosowski na trzeźwo nie wie, co mówi – zauważyła rzeczowo Szop-Pracz, która pełniła funkcję nieformalnego doradcy rzecznika rządu. – Albo nie słuchać, albo poczekać, aż się napije.

– Eeee, to wcale nie trzeba długo czekać – stwierdził Kiel. – Ale tymczasem potrzebuję szybko napisać coś na Igreku, aby odwrócić te niepokojące trendy! Masz jakiś pomysł?

– Oczywiście. Musi pan Kierownik napisać, że za tymi fałszywymi alarmami stoi Mieszalski z Krakowa i w sumie to pan chciał, żeby go odwołać. I że te 5 tys. żołnierzy z Ameryki to załatwił pan, ale nie chciał się tym wcześniej chwalić – wypaliła Justyna.

– Genialne! Wszystko na odwrót niż naprawdę! – Zachwycił się Kiel. – A jak potem będą pytać, to wszystko potwierdzi Jacek Murmański.

– Kto? – zapytała Szop-Pracz.

– Jacek Murmański. Postać znana.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl b471be45b5

Pojednanie na siłę


Czechy

Po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej ziomkostwo Niemców sudeckich zorganizowało uroczystości w Czechach. Wziął w nich udział premier Bawarii i lider CSU Markus Söder, który zapewnił, że tegoroczne obchody w Brnie są „świętem pokoju", a nie sygnałem do historycznego rewanżu.

Dzień Niemców sudeckich jest zwykle obchodzony w Bawarii, dokąd trafiła większość z ok. 2,8 mln Niemców wysiedlonych z Czechosłowacji po II wojnie światowej. Jednak tym razem ziomkowie wybrali się na swoje spotkanie do Brna, aby – jak tłumaczono – wykonać gest pojednania i podjąć próbę czesko-niemieckiego zbliżenia.

W przemówieniu Söder wspominał swego „wujka Willego", który przybył z Czech po wojnie i „zaczynał wszystko od nowa", co w świetle niedawnego ujawnienia akt NSDAP pokazujących, jak duża część niemieckiego społeczeństwa była wówczas zaangażowana w reżim hitlerowski, brzmiało dwuznacznie. Niemcy dołożyli jednak wielu starań, aby dominowała ich narracja o pojednaniu i zapomnieniu o przeszłości. 89-letniemu byłemu opozycjoniście i jednemu z sygnatariuszy Karty 77, Milanowi Uhdemu, przyznano Nagrodę Karola Wielkiego, ufundowaną i corocznie przyznawaną przez Niemców sudeckich (nie należy jej mylić z inną nagrodą Karola Wielkiego, wręczaną przez stowarzyszenie powiązane z miastem Akwizgran).

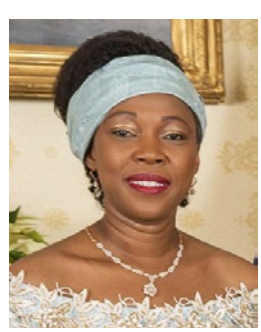
W ugodowym duchu wypowiadał się również prezydent Petr Pavel, który zadzwonił do swojego niemieckiego odpowiednika Franka-Waltera Steinmeiera i w wydanym wspólnie z nim oświadczeniu zakomunikował, że „oba kraje poczyniły duże postępy w duchu wzajemnego zrozumienia, szacunku i partnerstwa", a spotkanie w Brnie „odzwierciedli tego ducha". Podobną postawę przyjęli także burmistrzowie miast, przez które po II wojnie światowej przeszedł „marsz śmierci" wypędzanych Niemców.

Mimo to nie wszyscy Czesi uwierzyli w tego rodzaju narrację i wydanie zgody na zorganizowanie uroczystości wywołało duży skandal. „To bardzo niefortunna sytuacja" – podsumował czeski szef dyplomacji w rozmowie z Deutsche Welle. Ministrowie rządu Andreja Babiša zbojkotowali uroczystości, a izba poselska czeskiego parlamentu przyjęła rezolucję sprzeciwiającą się obchodom. Również były prezydent Miloš Zeman skrytykował Niemców sudeckich, przypominając, że nie są oni ofiarami wypędzenia, bo ich przodkowie byli „fanatycznymi członkami ruchu nazistowskiego". W Brnie w czasie kongresu odbyły się zaś demonstracje, których uczestnicy nieśli transparenty z napisem: „Nie jesteście tu mile widziani". Do rzeczywistego pojednania droga jest więc jeszcze daleka.

Marek Budzisz

Wielka Brytania

Bezkarni milionerzy z Afryki



Lista Brytyjczyków oczekujących na mieszkania socjalne w Londynie jest dziś najdłuższa od dekady. Na wolny lokal czeka się ponad pięć lat. Nie dotyczy to jednak Fatimy Maady Bio [na zdj.], żony prezydenta Sierra Leone Juliusa Maada Bio, która korzysta z dwupokojowego mieszkania komunalnego w londyńskiej dzielnicy Southwark.

Jak donoszą brytyjskie media, rodzina Bio, mimo że pochodzi z jednego z najbiedniejszych krajów Afryki, jest niezwykle bogata i posiada wiele luksusowych nieruchomości rozsianych w zachodniej części Czarnego Lądu, m.in. w Gambii, Senegalu, Burkina Faso i Ghanie, wycenianych na dziesiątki milionów dolarów. Nic więc dziwnego, iż żona afrykańskiego kacyka nie mieszka w przyznanym jej mieszkaniu komunalnym w Londynie, zarabia za to na jego wynajmie.

Podnajmowanie przez nią nieruchomości bez zgody władz miejskich sprawia, że narusza ona umowę, na podstawie której przyznano jej lokal socjalny. Średni miesięczny czynsz komunalny za dwupokojowe mieszkanie w Southwark wynosi ok. 560 funtów, czyli mniej niż jedną trzecią średniej ceny czynszu, jaką trzeba zapłacić na wolnym rynku. Szacuje się więc, że w ciągu ostatnich 10 lat Fatima Bio nielegalnie zarobiła na wynajmie ponad 60 tys. funtów. Nie wiadomo też, czy zgłosiła te dochody władzom skarbowym w Sierra Leone. Choć kobieta co roku otrzymuje miliony dolarów, aby wypełniać obowiązki pierwszej damy, zarzuca się jej, że większość tych środków nigdy nie została rozliczona.

To jednak nie wszystko. Sierra Leone leży na głównym szlaku przerzutu kokainy z Ameryki Południowej do Europy. Rodzina Bio jest oskarżona o ukrywanie jednego z najbardziej niebezpiecznych dilerów narkotykowych, Josa Leijdekkersa, który jest zaręczony z córką prezydenckiej pary. Świadczą o tym liczne fotografie, a córka pani Bio jest widywana w londyńskim mieszkaniu w Southwark, gdzie odbiera korespondencję.

Okazuje się, że władze Londynu przez wiele lat nie uczyniły nic, aby ukrócić nielegalne interesy rodziny panującej w Sierra Leone. Pani Bio nie zabrano nawet nienależnego jej mieszkania socjalnego, mimo że na przydział czekają tysiące ubogich Londyńczyków. I zapewne będą musieli czekać dalej, bo milionerzy z Afryki są ponad prawem.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl b471be45b5

Astronomiczna rywalizacja

Władze Argentyny zatrzymały budowę wielkiego chińskiego radioteleskopu, który miał stanąć u podnóża Andów. Stany Zjednoczone obawiały się bowiem, że Pekin będzie chciał wykorzystać inwestycję w celach militarnych.

Przejrzyste argentyńskie niebo daje naukowcom wyjątkowy wgląd w przestrzeń kosmiczną. W prowincji San Juan swoje teleskopy zbudowali m.in. Niemcy, Rosjanie i Brazylijczycy. Do tego grona chcieli dołączyć również Chińczycy, którzy zaplanowali budowę wielkiego radioteleskopu, aby rejestrować fale radiowe z kosmosu i obserwować narodziny gwiazd oraz odległych galaktyk. To dzięki tego typu teleskopom w 2019 r. astronomowie uchwycili pierwszy w historii obraz czarnej dziury.

Budowa chińskiego radioteleskopu o wartości 32 mln dol. trwała 15 lat i była na ukończeniu. Obiekt posiada już ogromną 40-metrową antenę, ale wszystko wskazuje na to, że nie zostanie uruchomiony, ponieważ władze Argentyny wstrzymały dostawy kluczowych komponentów z Chin. Za tą decyzją stały naciski Stanów Zjednoczonych, które obawiały się, że radioteleskop będzie wykorzystywany do śledzenia i zwalczania amerykańskich satelitów wojskowych.

Jak pisze „The New York Times", presję w tej sprawie wywierała zarówno administracja Bidena, jak i Trumpa. Już w 2021 r. do Argentyny przybył doradca Bidena ds. bezpieczeństwa, Jake Sullivan, aby nakłonić ówczesnego prezydenta Alberta Fernándeza do wstrzymania chińskich inwestycji. Chodziło nie tylko o radioteleskop w San Juan, lecz także o port w Ushuaia na Ziemi Ognistej, położony przy strategicznym przejściu morskim z Atlantyku na Pacyfik oraz o bazę w Neuquén w Patagonii, którą bezpłatnie wydzierżawiono Chińczykom na 50 lat, aby postawili tam swoją stację kontroli satelitów i misji kosmicznych.

Fernández obiecał, że dopilnuje, aby Chińczycy nie wykorzystywali inwestycji do celów militarnych, ale mimo to nadal zacieśniał związki z Pekinem. Dopiero objęcie prezydentury przez zaprzyjaźnionego z Trumpem Javiera Mileia i 20 mld dol. pomocy finansowej od Amerykanów doprowadziły do zatrzymania budowy radioteleskopu. Ponadto w nowej umowie handlowej zawartej między obydwoma krajami Argentyna zobowiązała się do ograniczenia współpracy kosmicznej z Chinami.

Podobną decyzję – również wskutek nacisków amerykańskich – podjął rząd sąsiedniego Chile, gdzie Chińczycy chcieli postawić wielkie obserwatorium astronomiczne wyposażone w 100 teleskopów. Waszyngton coraz aktywniej próbuje ograniczać obecność Chin na półkuli zachodniej, ale mimo tych sukcesów wyparcie Pekinu z Ameryki Południowej jest bardzo trudne.

Konrad Kołodziejski



Argentyna



Izrael

Gejowski marsz w Sodomie

Od 1 do 4 czerwca w Izraelu odbędzie się jeden z największych festiwali gejowskich na świecie. Miejsce wydarzenia wybrano nieprzypadkowo: teren na Pustyni Judzkiej na południe od Morza Martwego, gdzie według tradycji znajdowały się dwa najsłynniejsze miasta wolne od homofobii: Sodoma i Gomora.

Można zapytać, dlaczego inicjatorzy przedsięwzięcia zdecydowali się na organizację owego wydarzenia w tak niesprzyjających okolicznościach. Po pierwsze, na Bliskim Wschodzie trwa wojna, w której uczestniczy Izrael i w której masowo giną cywile, głównie Libańczycy. Po drugie, depresja Morza Martwego podczas lata to jedno z najbardziej upalnych i nieznośnych do wytrzymania miejsc na kuli ziemskiej. Po trzecie, największymi sojusznikami Izraela na świecie są dziś chrześcijańscy syjoniści z USA, którzy pozostają wrogo nastawieni do promocji homoseksualizmu w przestrzeni publicznej. Po co więc organizować wydarzenie, które może zostać odebrane jako prowokacja wobec najbardziej wypróbowanych przyjaciół?

Władze Izraela, mając w pamięci wydarzenia z 7 października 2023 r., a więc krwawy atak Hamasu na festiwal muzyczny Nova, z pewnością byłyby w stanie odwołać gejowską imprezę, powołując się na bezpieczeństwo jej uczestników. Do tej pory jednak tego nie zrobiły. A mogłyby, choćby ze względu na obecność skrajnie prawicowych partii w rządzie Netanjahu. Wydaje się jednak, że przeważyła inna kalkulacja. Jaka?

Od ponad dwóch lat Izrael traci rząd dusz na globalnej lewicy. W postępowych kręgach na Zachodzie państwo żydowskie jest przedstawiane jako agresywne, rasistowskie czy wręcz ludobójcze. Nawet środowiska LGBT+ sympatyzują z Hamasem, a na lewackich marszach od San Francisco po Berlin widać tęczowe flagi obok propalestyńskich transparentów. W tym kontekście organizacja gejowskiego festiwalu w tak symbolicznym miejscu to okazja, by odzyskać utracone zaufanie wpływowych i opiniotwórczych grup nacisku. A jeśli będzie temu towarzyszyć krytyka religijnych konserwatystów, tym lepiej.

Grzegorz Górny

45b5

Brukselscy komisarze przy ładowarce.

Komisarze czekają na prąd, Polska na cud

W ten długi weekend Bożego Ciała, kiedy Polska zwalnia, grilluje i oddaje się rodzinnym spacerom, Bruksela jak zwykle nie próżnuje. Właśnie szykują kolejną porcję „ratowania klimatu", która jak zwykle pachnie bardziej rachunkami niż klimatem. A my, zamiast świętować w spokoju, możemy co najwyżej westchnąć: „No tak, znowu dogoni nas zielona przyszłość".

Już 24 czerwca br. Komisja Europejska urządza wewnętrzną debatę o systemie handlu emisjami (ETS). W lipcu ma być wielki przegląd. Brzmi jak nudna biurokracja? Dla polskiego przemysłu to jak zapowiedź kolejnego ciosu w portfel. Nasze hutnictwo, chemia, cementownie i cała energetyka oparte na węglu coraz bardziej słono płacą za każdą tonę CO_2. Ceny energii idą w górę, konkurencyjność spada, a produkcja powoli pakuje walizki i patrzy w stronę krajów, gdzie nie karze się tak mocno za oddychanie. Ironia losu – system, który miał chronić planetę, przenosi emisje gdzie indziej, a my w Polsce zostajemy z droższym prądem i groźbą utraty tysięcy miejsc pracy na Śląsku i w innych regionach.

A węgiel? No właśnie. Polska nadal mądrze opiera na nim znaczną część bezpieczeństwa energetycznego. To nie fanaberia, tylko zdrowy rozsądek – surowiec, który daje nam niezależność, gdy wokół szaleją wojny, a ceny gazu się wahają. Tymczasem Bruksela uparcie chce go wygnać z mapy w tempie Formuły 1. Bez sensownej alternatywy. Efekt? Ryzyko blackoutów, droższy prąd, no i klasyczna unijna logika: zamknij kopalnię, kup droższy prąd z zagranicy, a my ci damy dotację... na panele, które działają, gdy świeci słońce.

Do tego dochodzi Industrial Accelerator Act (IAA) – świeży unijny wynalazek, mający „przyspieszyć" przemysł. Na papierze wygląda pięknie – cele procentowe, preferencje dla „czystych" technologii, uproszczenia pozwoleń. W praktyce to kolejny biurokratyczny walec, który uznaje za wartościowe tylko to, co Bruksela nazwała „zielonym". Węgiel? Tradycyjna stal? Cement produkowany po naszemu? Słabo punktowane. Zamiast realnego wsparcia dla polskiego przemysłu – ideologiczne przyspieszenie, które grozi nam deindustrializacją. Klasyczna unijna sztuczka: macie być konkurencyjni, ale tylko w tym, na co my wam pozwolimy.

Tymczasem 12 wielkich firm naftowo-gazowych (Shell, ExxonMobil i spółka) pozwało Komisję do sądu. Chodzi o słynny art. 23 aktu o przemyśle Net Zero, który każe największym graczom zapewnić 50 mln t rocznej zdolności magazynowania CO_2 do 2030 r. Firmy te reprezentują ponad 65 proc. tego obowiązku. Ich argumenty? „Szanowni, to jest po prostu nierealne". Nawet giganci mówią: dość tej fantazji. Jeśli pozwy się przeciągną, całe unijne marzenie o podziemnych magazynach CO_2 może utknąć w korku. Cóż za komedia – ideologia zderza się z rzeczywistością, a Bruksela udaje zaskoczoną.



Ursula von der Leyen jeździ oczywiście opancerzonym autem na tradycyjne paliwo, „bo nie ma elektrycznego pancernika"

Z kolei Parlament Europejski szykuje się do rozszerzenia CBAM, słynnego podatku węglowego na granicach. Spotkania w czerwcu, rozszerzenie w dół łańcucha dostaw, nowy fundusz... Brzmi jak troska o europejski przemysł? Raczej jak kolejny sposób, by wszystko podrożało. Od fabryki po półkę w sklepie – Kowalski i tak zapłaci.

No i wisienka na torcie. Okazuje się, że unijni komisarze, ci wielcy prorocy elektrycznej rewolucji, sami mają dość swoich służbowych EV. Trasa Bruksela–Strasburg (440 km) kończy się obowiązkowym postojem na ładowanie w Luksemburgu. 20–30 minut stania przy wtyczce i z 5-godzinnej podróży robi się prawdziwy ekomaraton. Ursula von der Leyen jeździ oczywiście opancerzonym autem na tradycyjne paliwo, „bo nie ma elektrycznego pancernika". Podobno jeden z komisarzy przesiadł się do vana z ekipą. Wyobraźcie sobie: ci, którzy piszą regulacje zabijające klasyczny samochód, sami odkrywają na własnej skórze, że zielona przyszłość jeszcze nie dowozi. Można się tylko uśmiechnąć pod nosem.

Na koniec Komisja rzuciła „obywatelski omnibus" – konsultacje w sprawie upraszczania przepisów. Termin mija 19 czerwca. Brzmi jak obietnica odciążenia? Z doświadczenia wiemy, że unijne upraszczanie zwykle oznacza mniej więcej tyle, że zamiast 10 formularzy będzie 12, ale za to ekologicznych.

Szanowni państwo, w trakcie długiego weekendu, gdy delektujemy się spokojem, warto sobie uświadomić, że Bruksela ładuje swoje akumulatory marzeniami, a rachunek jak zwykle ląduje u nas. Najwyższy czas, by Polska powiedziała głośniej: zielona transformacja – owszem, ale nie kosztem zdrowego rozsądku, węglowego bezpieczeństwa i konkurencyjności naszego przemysłu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b471be45b5

Na straży godności człowieka



Marta Kaczyńska-Zielińska

W swojej pierwszej encyklice zatytułowanej „Magnifica humanitas. O trosce o osobę ludzką w dobie sztucznej inteligencji" papież Leon XIV przestrzegł przed „wyścigiem ku coraz potężniejszym algorytmom i większym zbiorom danych", którego motorem jest „chęć zapewnienia sobie dominacji geopolitycznej lub handlowej".

Wcześniej Leon XIV wyraził przekonanie, że sztuczną inteligencję należy „rozbroić", ponieważ światowi przywódcy i prywatne firmy nadmiernie zwiększają wykorzystanie tej technologii w wielu działaniach, w szczególności podczas wojny. Papież ostrzegł również, że sztuczna inteligencja normalizuje wojnę: „[...] rozwój i wykorzystanie sztucznej inteligencji w działaniach wojennych musi podlegać najsurowszym ograniczeniom etycznym, aby zagwarantować poszanowanie godności ludzkiej i świętości życia oraz uniknąć wyścigu w tworzeniu takiej broni". Papież zwraca również uwagę na zagrożenia związane z używaniem broni sterowanej przez sztuczną inteligencję, stwierdzając, że „niedopuszczalne jest powierzanie technologii decyzji o śmiercionośnych skutkach".

Leon XIV podkreślił, że AI nie może pozostać wyłącznie w gestii prywatnych podmiotów i wezwał decydentów do ochrony praw pracowników oraz zapewnienia bezpieczeństwa dzieci w obliczu tej technologii. Zwracając się ze „specjalnym apelem" do twórców sztucznej inteligencji, powiedział: „Twórcy ponoszą szczególną odpowiedzialność etyczną i duchową, ponieważ każdy wybór projektowy odzwierciedla wizję ludzkości. Potrzebne jest bardziej aktywne zaangażowanie polityczne, które będzie w stanie spowolnić tempo, gdy wszystko przyspiesza". Leon XIV wskazał, że twórcy sztucznej inteligencji muszą się skupić na zapewnieniu, iż technologia nie doprowadzi do powszechnej utraty miejsc pracy oraz rozwiązać nierozstrzygnięty problem interpretacji coraz bardziej złożonego i niekiedy nieprzejrzystego zachowania systemu. Papież zaapelował o „solidne ramy prawne, niezależny nadzór, świadomych użytkowników i system polityczny, który nie zrzeka się swojej odpowiedzialności".

„Sztuczna inteligencja domaga się teraz rozbrojenia, uwolnienia od logiki, która czyni z niej narzędzie dominacji, wykluczenia i śmierci" – wskazał. „Podobnie jak energia jądrowa musi służyć wszystkim i dobru wspólnemu".

Pierwsza encyklika Leona XIV jest połączona wspólną osią z pierwszą encykliką św. Jana Pawła II. Choć powstały w zupełnie innych epokach, obie mówią o obronie człowieka wobec cywilizacji, która grozi utratą jego godności, wolności i duchowego wymiaru. „Redemptor hominis" była odpowiedzią na kryzys człowieka w epoce zimnej wojny, totalitaryzmów i materializmu ideologicznego, natomiast „Magnifica humanitas" podejmuje ten sam problem w świecie sztucznej inteligencji, cyfrowej globalizacji i dominacji technologii.

Św. Jan Paweł II pisał swoją encyklikę w świecie przedzielonym żelazną kurtyną, w cieniu zagrożenia nuklearnego oraz systemów politycznych redukujących człowieka do poziomu narzędzia państwa. Ostrzegał, że rozwój może prowadzić do duchowego zubożenia człowieka, jeśli utraci on świadomość własnej transcendencji i związku z Bogiem. W centrum jego myśli znajdowało się przekonanie, że „człowiek jest drogą Kościoła", ponieważ to właśnie człowiek – konkretny, niepowtarzalny, posiadający sumienie i godność – stanowi najważniejszy wymiar misji chrześcijaństwa.

Leon XIV rozwija to samo przesłanie, ale w realiach XXI w., odwołując się do nauczania św. Jana Pawła II aż 50 razy. Jako główne zagrożenia papież wymienia dziś bezosobowe mechanizmy technologiczne, globalne korporacje cyfrowe oraz sztuczną inteligencję, zdolną wpływać na decyzje, relacje społeczne, gospodarkę, kulturę, a nawet na sposób postrzegania prawdy. Leon XIV wskazuje, że technologia sama w sobie nie jest wrogiem człowieka, ale staje się nim, gdy zostaje oderwana od prawdy o człowieku i od Boga.

REKLAMA



24/0526/F

eprasa.pl b471be45b5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kilometrówki łapserdaków!



Jan Pietrzak

Rozsądni ludzie organizujący przed laty pracę wielkiej państwowej instytucji wprowadzili przepis, że uczestnicy tego ważnego dla państwa gremium mogą otrzymywać zwrot kosztów przejazdu do pracy własnym samochodem. Nikt nie przewidział, że niektórzy z nich okażą się gnojkami i że ktoś mieszkający kilometr od Sejmu będzie żądał wypłaty za 100 km. Tak funkcjonują niektórzy parlamentarzyści z partii ignorujących 10 przykazań. Najprostsze normy moralne dla tych łapserdaków nie istnieją. Do kościoła nie chodzą i nikt im nie powiedział, że obowiązują jakieś zasady współżycia, bez których społeczeństwo sypie się jak redaktorka Korcidupska po trzeciej menopauzie. Prawdopodobnie niektórzy już zauważyli, że nie pracują dla Polski, ale wolą udawać gamoni, by nie stracić łatwych przychodów. Poza kilometrówkami są przecież „samolotówki", „hotelówki", kampusy i psikusy! Wystarczyła jedna kadencja, by część Wysokiej Izby osiągnęła poziom dna. Oczywiście nie tylko z tego banalnego powodu. Powodów są miliony.

Dojenie Polski stało się głównym „konkretem" władzy. Najbardziej wyskokowy rekord w wymiarze finansowym to kilkadziesiąt miliardów euro krypto-niby-quasi-kredytu dla Niemiec. W gruncie rzeczy chodzi o polską darowiznę dla zrujnowanej niemieckiej gospodarki. Uściślijmy: gospodarki zrujnowanej przez samych Niemców, przez ich lewackie ideologie i pruską arogancję. Bardzo się nie cierpliwią, toteż atakują Polskę na wiele sposobów. Do żałosnej historii przejdą napaści „nieznanych sprawców" na redaktora Sakiewicza z Telewizji Republika, na balkon (!) prof. Cenckiewicza, na prywatne mieszkanie prezydenta Nawrockiego w Gdańsku! Żenady dopełniła wypowiedź premiera potępiająca brzydkie uczynki nieznośnych rozrabiaków z podlegającej mu administracji! Ależ wpadliśmy w towarzystwo tandeciarzy i patałachów.

W początkach III RP śpiewałem: „Jak tu przeżyć, jak tu wyżyć, we łbie zawierucha, trzeba stówkę znów pożyczyć od szwagra komucha, lekko przybuzować, puścić konie po betonie i zacząć od nowa!". Po kilkunastu latach, w „czasie pierwszego Tuska", resztki optymizmu wpadły mi w czarną dziurę rządowego bajeru. Śpiewałem tak: „Mamy niby wolną Polskę, cel pokoleń wielu […] rzygać chce się tak jak w peerelu!". Teraz śpiewam smętną lirykę: „Niedobre sny nad miastem, niedobre sny, obroty spraw niejasne wśród ciemnej mgły. Obłoki niepokoju, porywy złych nastrojów i nasze myśli uwikłane w smutne gry".

Ale, ale... Pojawiło się światełko w tunelu. Kraków się opamiętał i przegonił z ratusza człowieka-pomyłkę, kompromitującego Krakusów i smoka wawelskiego! Polsko, bierz przykład! Niech krakowski hejnał poprowadzi nas do odzyskania całego kraju! To jest możliwe, dopóki na Wawelu bije dzwon Zygmunt!

Przy okazji zajrzyjcie na YouTube: „Jan Pietrzak na rencie". Czekam!

Kierwiński bawi się SOP



Samuel Pereira

Są instytucje państwa, które muszą być odporne na polityczne wojny. Jedną z nich jest Służba Ochrony Państwa. To formacja odpowiedzialna za bezpieczeństwo najważniejszych osób w kraju, w tym prezydenta. Tymczasem obecne kierownictwo MSWiA z coraz większą siłą próbuje zamienić SOP w kolejną partyjną zdobycz.

Awantura podczas Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych, która wybuchła po reportażu telewizji wPolsce24, pokazała coś znacznie poważniejszego niż zwykły polityczny spór. Minister Marcin Kierwiński zaatakował posła Pawła Jabłońskiego, gdy ten zaczął mówić o kulisach postępowania wobec komendanta SOP, gen. Radosława Jaworskiego. Chwilę później poseł zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury przeciwko szefowi MSWiA. Powodem jest podejrzenie przekroczenia uprawnień i politycznego wykorzystywania procedur dyscyplinarnych.

Jeżeli informacje przedstawione przez Jabłońskiego są prawdziwe, mamy do czynienia z sytuacją absolutnie skandaliczną. Odmawianie szykanowanemu przez nową władzę komendantowi SOP prawa do składania wyjaśnień. Wyznaczanie płk. Jaworskiemu takich terminów, by utrudnić mu obronę. Odrzucanie wniosków dowodowych. Ukrywanie dokumentów, w tym raportu NIK. Brzmi to bardziej jak historia z państwa, które dopiero uczy się demokratycznych standardów, a nie z kraju będącego częścią Zachodu.

Gen. Jaworskiego nie można po prostu odwołać, ponieważ jest do tego wymagana zgoda prezydenta. Jeśli rzeczywiście uruchamia się wobec niego dyscyplinarkę po to, by obejść tę przeszkodę i wprowadzić własnego nominata, sprawa przestaje być konfliktem personalnym. Zaczyna dotyczyć bezpieczeństwa państwa i niezależności służb odpowiedzialnych za ochronę głowy państwa.

To wyjątkowo groźny precedens. Bo dziś chodzi o SOP. Jutro podobny mechanizm może zostać użyty wobec każdej instytucji, która nie chce podporządkować się aktualnej władzy. Państwo nie może działać według zasady: „nasz człowiek albo dyscyplinarka".

Im więcej politycznych interesów wokół SOP, tym większe ryzyko, że ktoś przestanie myśleć o bezpieczeństwie Polski, a zacznie wyłącznie o własnej kontroli.

eprasa.pl b471be45b5

Odważni wobec Moskwy, cisi wobec Berlina



Unia Europejska po raz kolejny znalazła się w punkcie, w którym sama podważa własną narrację. 15 maja 2026 r. Komisja Europejska (KE) oficjalnie dołączyła do Specjalnego Trybunału ds. Zbrodni Agresji przeciwko Ukrainie. To ważna decyzja i słuszny kierunek – agresja Rosji musi zostać osądzona, a sprawcy ukarani. Problem polega jednak na tym, że dokładnie ta sama instytucja od lat odmawia jakiegokolwiek zaangażowania w kwestie odpowiedzialności za zbrodnie popełnione wobec Polski podczas II wojny światowej.

Przez lata słyszeliśmy w Brukseli, że sprawy reparacji wojennych i odpowiedzialności za niemiecką agresję są wyłącznie „kwestią bilateralną". KE utrzymywała, że Unia nie ma kompetencji do zajmowania się historycznymi zbrodniami wobec państw członkowskich. Dziś okazuje się jednak, że gdy chodzi o Ukrainę, znajdują się kompetencje, pojawiają się instrumenty prawne, a polityczna wola nagle istnieje.

To rodzi fundamentalne pytanie o wiarygodność instytucji europejskich. Czy prawo międzynarodowe ma być stosowane wybiórczo? Czy cierpienie jednych narodów zasługuje na pełne wsparcie europejskich elit, a cierpienie innych ma zostać zamknięte w archiwach historii?

Polska była pierwszą ofiarą niemieckiej agresji w 1939 r. Skutkiem tej napaści była śmierć ponad 5 mln naszych obywateli, zniszczenie państwa, grabież majątku narodowego i próba biologicznego wyniszczenia narodu polskiego. Była to klasyczna zbrodnia agresji – dokładnie ta sama kategoria prawa międzynarodowego, którą dziś UE słusznie chce ścigać Rosję.

Nie można budować europejskiej wspólnoty na podwójnych standardach. Jeśli Europa będzie mówiła o sprawiedliwości wyłącznie wtedy, gdy dotyczy ona Rosji, a jednocześnie będzie unikała odpowiedzialności wobec własnej historii, Kreml po prostu się z tego zaśmieje. Rosja będzie przekonywać świat, że Zachód traktuje prawo międzynarodowe wybiórczo – surowo wobec przeciwników, ale bezradnie wobec własnych państw członkowskich.

Unia Europejska chce być dziś silna wobec Rosji, ale nie potrafi być uczciwa i odpowiedzialna wobec samej siebie. Czy nie dzieje się tak dlatego, że niemiecki zarząd w Unii Europejskiej skutecznie blokuje wszelką debatę o odpowiedzialności Niemiec za skutki II wojny światowej? To pytanie raczej z kategorii retorycznych.

Europa nie może domagać się sprawiedliwości dla Ukrainy i jednocześnie odmawiać prawa do pamięci, prawdy, odpowiedzialności, sądów i wreszcie zadośćuczynienia milionom polskich ofiar II wojny światowej.

Arkadiusz Mularczyk

Czego absolutnie nie może zabraknąć

Z Cezarym Domagałą, reżyserem teatralnym i aktorem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Przygotował pan uroczy prezent dla widzów. Dokąd ich pan zabiera?

Cezary Domagała: Na Zielone Wzgórze, do Teatru Muzycznego Roma.

Podobno w najnowszym spektaklu znalazł pan receptę na szczęście.

Mamy w scenografii niezwykłe drzewo obsypane kwiatami wiśni, które w trakcie spektaklu „żyją" swoim życiem. Zdjęcie zrobione pod tym drzewem zapewnia spełnienie marzeń i szczęście [uśmiech].

Od wielu lat prowadzi pan artystyczny dialog z najpiękniejszymi opowieściami kierowanymi do dzieci. Nazwisko Domagała kojarzyło się z takimi adaptacjami, aż pojawił się Paweł i...?

Trochę zaczęliśmy się ludziom mylić. Kiedyś dostałem nawet na konto honorarium Pawła (byliśmy w tej samej agencji aktorskiej). Wiele osób pytało mnie też, czy to mój syn.

Poznaliście się?

Ani prywatnie, ani zawodowo, ale myślę, że fajnie by było spotkać się gdzieś w pracy.



Nie chciał go pan zaprosić na Zielone Wzgórze?

Paweł śpiewa, także pozaaktorsko, ale w formie *stricte* musicalowej nie byłoby dla niego roli. Wiekowo jest też gdzieś między Gilbertem a Mateuszem.

Podobno przy tworzeniu scenicznej wersji „Ani z Zielonego Wzgórza" miał pan wiele dziewczęco-kobiecych konsultacji. Co z nich wynikło?

Przede wszystkim zorientowałem się, że historia Ani jest ważna dla czytelniczek w bardzo różnym wieku. Natomiast wśród wielu uwag i sugestii powtarzała się jedna: absolutnie nie może zabraknąć zielonych włosów! Oczywiście wziąłem to pod uwagę, nawiązując przy okazji do innego spektaklu Romy.

Fot. Archiwum autorki

Wielki Reset



Pisanie raz na dwa tygodnie felietoniku na pół stroniczki zmusza mnie do lapidarności wypowiedzi. Dziś będzie zatem w punktach. Najpierw zaległości.

1. Eurowizja też ma narodowość! Skandynawowie głosują na Skandynawów, języki germańskie przenikają się nawzajem (*vide*: utwór „Eins! Zwei! Drei!" Brytyjczyka), ludy romańskie trzymają ze sobą sztamę. Jedynie Polacy się wychylili i przyznali 12 pkt bojkotowanemu przez większość jurorów Izraelowi, otrzymując w rewanżu 0 pkt. Podobnie było (kolejny już raz) z bratnią Ukrainą. Wisienką na torcie zostali Niemcy, którzy – zamiast reparacji wojennych – ofiarowali nam „dwunastkę".

2. Wielkimi krokami (czerwiec) zbliża się ustawowy termin przymusowego przesiedlania do Polski nielegalnych migrantów, z pewnością tych najbardziej uciążliwych dla UE. Powstrzymanie przez obecny rząd najazdu „Saracenów" jest niewykonalne. Trzeba zacząć wysyłać sygnały ostrzegawcze bezpośrednio do nachodźców: „Nie jesteście tu mile widziani! Natychmiast po zmianie władzy zostaniecie deportowani do swoich krajów macierzystych".

3. Przeciętny Kowalski, żyjący permanentnie na kredyt, ląduje zwykle pod mostem lub kończy w więzieniu. Wielokrotnie zadawałem publicznie pytanie: kiedy zapożyczające się na potęgę państwa zaczną wreszcie spłacać swe zaciągane tak ochoczo i nieumiarkowanie długi? Tylko raz, w 2019 r., rząd Mateusza Morawieckiego przyjął w miarę zrównoważony budżet, natychmiast zdewastowany przez koszty „pandemii", irracjonalnie hojne wspieranie Ukrainy i autodestrukcyjną politykę gospodarczą („für Deutschland") obecnego rządu. Jedynym wyjściem z tej sytuacji będzie kolejny Wielki Reset (wojna światowa, globalny kryzys, plagi), który – okradając i rujnując zwykłych ludzi – unieważni wszelkie zobowiązania.

PS Przyjaciel zwierzył mi się ostatnio: „Zawsze zastanawiałem się, jak te sk...syny z XVIII w. sprzedały Polskę! Już się nie zastanawiam. Już wiem!".

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wielka Brytania się smaży. Fala upałów w Europie Zachodniej



Fot. Andrew Matthews/Press Association/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: WOJTEK JARGIŁO/PAP, ANDRZEJ WIKTOR x2, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, SHUTTERSTOCK/ROBNAW, MARKUS WISSMANN

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b471be45b5



Inwazja tylnymi drzwiami



PIOTR GURSZTYN

Czy Lublin zalewa inwazja egzotycznych cudzoziemców? Czy może awantura o afrykańskich studentów w tym mieście to tylko prawicowa ksenofobiczna szajba? W internecie wybuchł spór w tej sprawie. I okazuje się, że sytuacja w Lublinie ujawniła niebezpieczną szczelinę, przez którą wlewają się afrykańscy imigranci. Studia na prywatnej uczelni stają się sposobem na osiedlenie na terenie Unii Europejskiej

Fot. PAP

Polska zwróciła uwagę na ten, zdawało by się, lokalny, problem po wpisie jednego z liderów Konfederacji, Krzysztofa Bosaka: „Mieszkańcy Lublina, co z Wami jest nie tak, że wybieracie władze, które zasiedlają Wasze piękne miasto cudzoziemcami?”. Słowa Bosaka były reakcją na wpis dziennikarza Brunona Topoli, który napisał: „W Lublinie szybo rośnie liczba Afrykańczyków! W mieście jest już prawie tylu Afrykańczyków co 10 lat temu w całej Polsce!”.

Od razu głos zabrał też Jacek Sasin z PiS: „Lubelska migracja akademicka szokuje! Urzędniczka sama przyznaje, że »studenci« z Afryki przyjeżdżają całymi rodzinami, a miasto musi im szukać mieszkań na wynajem. Ile kosztuje polskiego podatnika ten program »asymilacji« i utrzymania tych rodzin? Kto na tym zarabia i kto za to płaci?”.

I niezależnie od ataku komentatorów o poglądach liberalno-lewicowych, twierdzących, że wpisy polityków prawicy to przejaw rasizmu, okazuje się, iż dane potwierdzają powyższą diagnozę. W roku akademickim 2024/2025 w Lublinie oficjalnie studiowało ok. 2,1 tys. studentów z Afryki (najwięcej z Zimbabwe). Przy czym dochodzą do tego dodatkowe osoby z Czarnego Lądu – bo nie wszyscy to studenci. W Lublinie jest grupa Afrykańczyków, którzy pracują, a także rodziny – ich i studentów.

Pod względem liczby studiujących cudzoziemców Lublin zajmuje drugie (po Warszawie) miejsce w Polsce wśród ośrodków akademickich. Przybysze z Zimbabwe okazują się zaś trzecią najliczniejszą grupą cudzoziemców w całym województwie lubelskim (po Ukraińcach i Białorusinach).

NAGRODA ZA PROMOCJĘ

W oficjalnym przekazie ta sytuacja jest przedstawiana jako dowód na wspaniały rozwój miasta. 2 maja br. tamtejsza gazeta „Dziennik Wschodni” cieszyła się: „Obywatele Zimbabwe stanowią trzecią największą mniejszość narodową na Lubelszczyźnie”. Artykuł został zaś opatrzony tytułem, który, sądząc z całości tekstu, wcale nie miał być alarmem: „Obywatele Zimbabwe przejmują Lublin”.

Z jeszcze większą beztroską wypowiadała się Wiktoria Herun, zastępca dyrektora Wydziału Strategii i Obsługi Inwestorów z lubelskiego Urzędu Miasta. „Kiedyś student przyjeżdżał sam. Teraz studenci z takich krajów jak Afryka, Indie, Bangladesz przyjeżdżają z rodziną – mężem, żoną, dziećmi. Nie tylko chodzi o pomoc w znalezieniu miejsca w akademiku, ale też w ogóle całego mieszkania, wynajęcia. Różnic jest bardzo, bardzo dużo. Ale też chodzi o patrzenie z dwóch stron, czyli nie tylko rozmowa ze studentem, jak wygląda rzeczywistość lubelska, ale też rozmowa z mieszkańcami, dlaczego miasto zaprasza studentów zagranicznych ze 110 krajów świata” – mówiła na kanale Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej na YouTube. To rozmowa z początku tego roku, ale rezonuje teraz. Bo okazuje się, że Herun sama pochodzi spoza Polski – dokładnie z Ukrainy. Co najważniejsze, jej kilkunastoletnia już praca w lubelskim ratuszu polega na ściąganiu zagranicznych studentów na tamtejsze uczelnie. W ocenie tych, którzy uważają to za pozytywne zjawisko, a nie widzą zagrożeń związanych z imigracją, ma w tym wielkie zasługi. W 2020 r. została laureatem specyficznej nagrody – Gwiazdy Umiędzynarodowienia. To wyróżnienie przyznawane przez Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich i Fundację Edukacyjną Perspektywy. Nagroda była przyznawana za promowanie Lublina „jako miasta akademickiego”, czyli mówiąc prościej, reklamowanie lubelskich uczelni (przede wszystkim prywatnych) jako miejsc, w których łatwo można zacząć studiować i uzyskać dyplom. Służy temu specjalny program o nazwie „Study in Lublin”.

ŚWIADOME DZIAŁANIE WŁADZ

Teraz, gdy wybuchła ogólnopolska afera internetowa, władze Lublina przedstawiają to jako swój wielki sukces. Przy okazji otwarcie przyznają, że ściąganie cudzoziemskich studentów to świadome działanie władz miejskich. „To jest efekt celowej polityki od 15 lat. To jest powód do dumy miasta, bo jesteśmy sytuowani w lidze uczelni ośrodków akademickich, europejskich czy światowych, które mają tak wysokie wskaźniki umiędzynarodowienia” – mówił dyrektor z lubelskiego ratusza Mariusz Sagan. Dodał też, że Wiktoria Herun jest „współautorką tego sukcesu”.

Statystyka pokazuje, jak przebiega ten proces. W roku akademickim 2010/2011 w Lublinie studiowało ok. 1,4 tys. cudzoziemców (1,7 proc. ogółu studentów). Dwa lata później było ich o 1 tys. więcej – 2,4 tys. W roku akademickim 2018/2019 cudzoziemców było



Fot. Shutterstock

już 6,3 tys. Przeważali wśród nich obywatele Ukrainy (3,6 tys. osób), co nie jest dziwne z powodów geograficznych. Były też kilkusetosobowe grupy z Tajwanu, Białorusi i mniejsza z Indii. W 2023 r. na lubelskich uczelniach rozpoczęło naukę 9 tys. zagranicznych przybyszów, którzy stanowili już 16 proc. ogółu studiujących w Lublinie.

Dominującą w Lublinie grupą zagranicznych studentów nadal są Ukraińcy. Oni jednak studiują głównie na uczelniach publicznych. Natomiast na uczelniach prywatnych 45 proc. cudzoziemców to studenci z Zimbabwe, których z kolei w ogóle nie ma w placówkach publicznych.

KRYZYS BRANŻY

Widać, że upadające z powodu niżu demograficznego szkoły prywatne próbują się ratować sprowadzaniem klientów na swe usługi z najbardziej zaskakujących kierunków geograficznych. Wiadomo, że w lubelskim ośrodku akademickim przez 11 lat, od roku akademickiego 2012/2013 do 2023/2024, liczba studentów spadła o jedną czwartą, z 77 do 57 tys. I jest to zupełnie niezły wynik w porównaniu z innymi miastami akademickim w Polsce. W większości z nich spadek liczby studentów był jeszcze większy. Niekiedy aż o 50 proc., tak jak w Opolu.

Prywatne uczelnie powstawały przede wszystkim jako biznes i dodatkowe miejsca dochodu dla rozrośniętej kadry akademickiej, a nie placówki naukowe. Dzisiaj ta branża znalazła się w kryzysie. Z ok. 375 prywatnych uczelni, które powstały po 1991 r., z oficjalnego rejestru wykreślono już ponad 150. Nic dziwnego, że ratują się, jak mogą. Cytowany przez dziennik „Rzeczpospolita" przedstawiciel specjalnej agencji, „która od lat zajmuje się rekrutacją zagranicznych studentów", powiedział, że Polska jest krajem atrakcyjnym pod względem studiowania dla ludzi z „rosnącej klasy średniej w rozwijających się krajach Azji i Afryki".

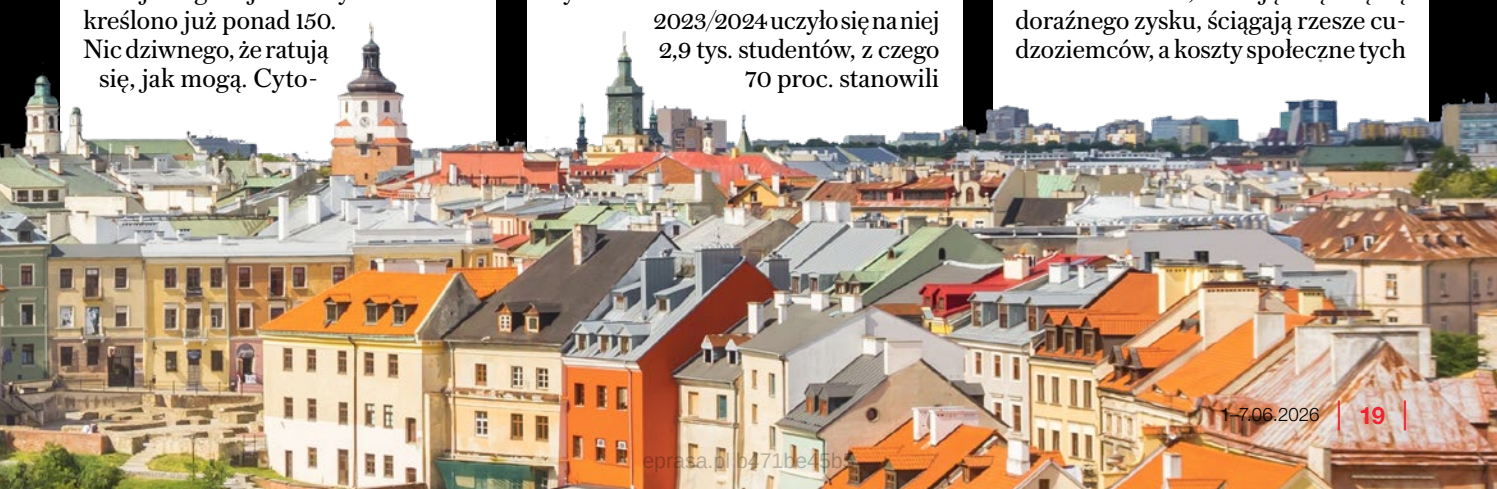
> Awantura o zagranicznych studentów w Lublinie odsłoniła furtkę, przez którą do Polski, jako państwa członkowskiego UE, dostają się imigranci z krajów pozaeuropejskich. „To nie są uczelnie tylko agencje wizowe legalizujące pobyt migrantom z Afryki pod przykrywką szkolnictwa" – komentował mieszkaniec miasta

W Lublinie ta „atrakcyjność" bardzo rzuca się w oczy. Oferująca studia na kierunkach paramedycznych Akademia Nauk Stosowanych im. Wincentego Pola w Lublinie uchodzi za jedną z najbardziej „umiędzynarodowionych" szkół prywatnych w Polsce. W roku akademickim 2023/2024 uczyło się na niej 2,9 tys. studentów, z czego 70 proc. stanowili cudzoziemcy z Afryki. Czyli głównie z Zimbabwe. Podobne sytuacje zdarzają się w innych miastach. Rekord ustanowiła nieistniejąca już uczelnia o specyficznej nazwie – Wyższa Szkoła Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Łodzi. Tam w pewnym momencie na 2499 zarejestrowanych studentów było... 7 Polaków. Cała reszta to cudzoziemcy. W Szkole Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula było 825 obcokrajowców na ogólną liczbę 1229 studentów. Wyższa Szkoła Hotelarstwa i Gastronomii w Poznaniu miała w sumie 579 studentów, z których 371 nie było obywatelami naszego kraju.

AGENCJE WIZOWE CZY UCZELNIE

Awantura w Lublinie odsłoniła furtkę, przez którą do Polski jako państwa członkowskiego UE dostają się imigranci z krajów pozaeuropejskich. To, jak sytuację coraz częściej odbierają mieszkańcy Lublina, dobrze oddaje komentarz internauty pod artykułem zachwalającym zalety zwiększającej się liczby afrykańskich studentów: „To nie są uczelnie, tylko agencje wizowe legalizujące pobyt migrantom z Afryki pod przykrywką szkolnictwa".

Warto zwrócić uwagę na następujący fakt: do tej pory ta część polskiej opinii publicznej, która negatywnie ocenia imigrację, patrzyła na działania państwa i jego instytucji. W tę stronę były kierowane pretensje i oczekiwania. Tymczasem obok działań państwa ma miejsce wzmożona aktywność innych podmiotów: samorządów, uczelni publicznych i prywatnych, a zwłaszcza przedsiębiorców. To oni, kierując się chęcią doraźnego zysku, ściągają rzesze cudzoziemców, a koszty społeczne tych



eprasa.pl/b471de45b

działań będą ponoszone przez zwykłych Polaków.

Obrońcy polityki miasta i uczelni lubelskich posługują się argumentacją o charakterze skrajnie utylitarnym. Słychać, że dzięki afrykańskim studentom Lublin zarabia, a uczelnie to ważny pracodawca. Propagandowy przekaz głosi, że 9 proc. budżetu miasta stanowią wpływy możliwe dzięki zagranicznym studentom. Wielu mieszkańców Lublina przyjęło to z powątpiewaniem. Bo jak to policzono? Nie wiadomo. I czy na pewno afrykańscy studenci są tak bogaci, aby z ich kieszeni pochodziła prawie dziesiąta część dochodu w mieście liczącym 328 tys. mieszkańców?

Dzisiaj w Polsce działa ponad 200 uczelni niepublicznych. Zaledwie 29 z nich to placówki akademickie, cała reszta to wyższe szkoły zawodowe. Rodzi się pytanie, czy ten uczelniany plankton jest takim dobrem narodowym, że powinien działać dalej kosztem spójności społecznej? Wiadomo bowiem, że ta liczba w ogóle nie przekłada się na jakość. W światowych rankingach polskie uczelnie zajmują miejsca dopiero w czwartej setce, a często dalej – zależnie od rankingu i przyjętych w nim kryteriów oceny. Dotyczy to placówek państwowych, bo te prywatne w ogóle nie mają szansy znaleźć się w jakimkolwiek podsumowaniu.

Dr Andrzej Dybczyński, były prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz, przedstawił niedawno ciekawą statystykę: w Polsce istnieje 352–401 uczelni wyższych. W Hiszpanii jest ich 89, a mieszka tam o 11 mln ludzi więcej niż w Polsce. W jeszcze bardziej ludnej Francji funkcjonuje 156 uczelni, we Włoszech – 210, a w Wielkiej Brytanii – 246. „Problemem polskiej nauki nie są tylko niskie nakłady. Problemem jest też rozdrobniony i nieefektywny system" – skomentował to dr Dybczyński. A potem podał statystykę dotyczącą jakości polskich uczelni: „Polska ma 7 uczelni w światowym TOP 1000. SIEDEM. Dla porównania: Hiszpania – 46, Włochy – 59, Francja – 49, Niemcy – 90, Wielka Brytania – 106, Kanada – 48, Arabia Saudyjska – 17".



Kiedyś student przyjeżdżał sam. Teraz studenci z krajów, takich jak Afryka, Indie czy Bangladesz, przyjeżdżają z rodziną – mężem, żoną, dziećmi – oświadczyła Wiktoria Herun z lubelskiego Urzędu Miasta

Według danych przytoczonych przez dr. Dybczyńskiego jeszcze gorzej jest w rankingu TOP 500. Tam jest tylko jedna uczelnia z Polski, podczas gdy z Hiszpanii – 10, Włoch – 18, Francji – 22, Niemiec – 39, Wielkiej Brytanii – 45, Kanady – 20, Arabii Saudyjskiej – 4.

> Przybysze z Zimbabwe stanowią trzecią najliczniejszą grupę cudzoziemców w całym województwie lubelskim, po Ukraińcach i Białorusinach. W oficjalnym przekazie ta sytuacja jest przedstawiana jako dowód na wspaniały rozwój miasta

Na dodatek w TOP 1000 Polska została wyprzedzona przez uczelnie z innych krajów. W 2022 r. było tam 11 polskich placówek, rok później – 9, w 2024 r. – 8, a teraz – 7.

Wnioski są oczywiste – przytłaczająca większość prywatnych uczelni to jakościowa fikcja.

CO ROBI RZĄD

Żyjemy w sytuacji, gdy z jednej strony większość opinii publicznej boi się zalewu imigrantów z innych kręgów cywilizacyjnych, a z drugiej działa silny lobbing, aby ich wpuszczać jako siłę roboczą. Z tego powodu rząd oficjalnie głosi, że nie dopuści do masowej imigracji, a po cichu wprowadza rozwiązania korzystne do lobbystów. Przykładem tego jest pomysł tzw. milczącej zgody. Rząd chce przyspieszyć legalizowanie pobytu cudzoziemców. Opracowywany projekt zakłada wprowadzenie ułatwień dla obywateli „najbardziej rozwiniętych krajów trzecich". To państwa, które podpisały z Unią Europejską umowy o ruchu bezwizowym. Ich obywatele będą mogli korzystać z rozwiązania nazywanego milczącą zgodą. To znaczy, że odpowiedni organ, czyli wojewoda, musi odpowiedzieć na wniosek cudzoziemca w sprawie udzielenia prawa pobytu w ciągu 60 dni. Jeśli nie będzie żadnej odpowiedzi, wtedy sprawa automatycznie jest pozytywnie rozstrzygnięta na rzecz wnioskodawcy.

Lista krajów, które podpisały umowy o ruchu bezwizowym z UE, czyli znajdą się w tej grupie, jest długa. To ok. 60 państw. Rzeczywiście nie dotyczy to krajów afrykańskich (jedynie Mauritiusa i Seszeli). Jeśli chodzi o kraje azjatyckie, umowy o ruchu bezwizowym podpisały bogate państwa Dalekiego Wschodu i Zatoki Perskiej (oraz Gruzja). Tym prawem zostanie za to objęta praktycznie większość krajów z Ameryki Południowej – Argentyna, Brazylia, Chile, Kolumbia, Kostaryka, Meksyk, Panama, Paragwaj, Peru, Urugwaj i Wenezuela.

Wprawdzie w tym projekcie znajduje się zapis, że chodzi o kraje, w których utrzymuje się „zadowalający" ogólny poziom bezpieczeństwa, ale widać, że to kryterium uznaniowe. Czy obecny rząd będzie odporny na lobbing wielkiego biznesu, wspieranego przez liberalne media głoszące konieczność importu tańszej siły roboczej? Wydaje się to więcej niż wątpliwe.



Powstanie krakowskie: koniec ery Miszalskiego i co dalej?

Miszalski zdecydowanie przeszacował wartość swojej władzy. Doszedł do wniosku, że Kraków padł łupem Koalicji Obywatelskiej już na zawsze. On i jego koledzy uznali, że prawem dziejowym jest to, że KO rządzi w wielkich miastach i kierowali się zasadą: raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy

Z Michałem Drewnickim, radnym PiS Miasta Krakowa, rozmawia Marzena Nykiel

Cała Polska z podziwem patrzy na Kraków, który dokonał niemożliwego. Rozczarowani władzą mieszkańcy odwołali prezydenta Aleksandra Miszalskiego, choć próg frekwencyjny był wysoki. A jednak się udało...

Michał Drewnicki: Tak, skala niezadowolenia ludzi z rządów Miszalskiego okazała się ogromna. Już w pierwszych dniach zbiórki widzieliśmy, że dzieje się coś niezwykłego. Zakładaliśmy, że musimy zbierać ok. 1,5 tys. podpisów dziennie, by zdążyć w dwa miesiące. Tymczasem przez pierwsze dwa tygodnie, mimo siarczystych mrozów sięgających -20 st. Celsjusza, ludzie przynosili po 6 tys. podpisów dziennie. To trzykrotnie więcej, niż przewidywaliśmy. Już tylko to pokazało, że ludzie mieli po prostu dość tego prezydenta.

Czym Aleksander Miszalski tak rozsierdził Krakowian?

Wskazałbym trzy główne powody: pychę, skrajną niekompetencją i brak powagi. Pychę, ponieważ prezydent, podejmując decyzje uderzające w portfele mieszkańców, kompletnie ignorował ich głos. To było odbieranie pieniędzy dla żłobków i przedszkoli, wprowadzenie Strefy Czystego Transportu, kolejne podwyżki cen biletów i opłat w strefach parkowania. Kompletnie nie przyjmował argumentów, iż życie staje się coraz droższe, a ceny biletów w Krakowie przewyższyły te w Warszawie. Druga rzecz to niekompetencja. Kluczowe inwestycje były opóźnione, a polityka kadrowa budziła grozę. Np. rzecznikiem praw ucznia została jego 19-letnia asystentka z biura poselskiego, a doradcą w spółce miejskiej był człowiek bez matury. Ludzie mieli tego dość.

A brak powagi? Czy to te słynne nagrania na dachu przelały czarę goryczy?

Fot. PAP/Łukasz Gągulski

eprasa.pl b471be45b5

Tak, to trzeci, niezwykle istotny powód. Ta błazenada była dla wielu ludzi nie do zniesienia. Z jednej strony miasto miało wielkie problemy finansowe, ogromne długi, którymi mieszkańcy byli obciążani poprzez podwyżki, a z drugiej widzieli, że prezydent nagrywa filmiki, w których tańczy na dachu, sprząta magistrat przed dniem otwartym czy kopiąc piłkę, wybija szybę w swoim gabinecie. Ludzie odbierali to jako brak elementarnej powagi. Te trzy czynniki przeważyły. Dlatego prezydent został poddany ocenie w referendum i stracił władzę.

Referendum poprzedziły liczne protesty i apele mieszkańców. Nie chciano ich słyszeć? Były po prostu ignorowane?

Całkowicie. Punktem zapalnym okazała się Strefa Czystego Transportu. To był moment, w którym wszyscy zobaczyli, że mimo wielkich protestów, mimo kilku tysięcy głosów w konsultacjach oraz na różnych spotkaniach, prezydent nie cofnie się i obejmie tą strefą 66 proc. miasta. Ludzie zrozumieli wtedy, że z tą władzą nie da się rozmawiać. Że ona nie słucha, a przeciwników atakuje, nazywając „skrajnymi środowiskami". Podobnie było z obniżeniem dotacji dla przedszkoli i żłobków. Miasto zyskało w kasie kilkadziesiąt milionów złotych, ale były to pieniądze *de facto* zabrane dzieciom. Protestujący przeciwko temu na sesji Rady Miasta zostali zignorowani. Takich przykładów było więcej. Ta arogancja połączona z brakiem kompetencji doprowadziła do zawiązania komitetu referendalnego.

Z czego wynikała ta arogancja? Z tak silnej rekomendacji i wsparcia Donalda Tuska, dającego gwarancję bezkarności?

Miszalski zdecydowanie przeszacował wartość swojej władzy. Doszedł do wniosku, że Kraków padł łupem Koalicji Obywatelskiej już na zawsze. On i jego koledzy uznali, że prawem dziejowym jest to, że KO rządzi w wielkich miastach i kierowali się zasadą: raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy. Skupił się więc na autopromocji, tanim lansie i nagrywaniu filmików w stylu kabaretowym. Poczuł się bezkarny i chciał być gwiazdą na wzór Rafała Trzaskowskiego. Jednak Krakowianie nie kupili wizerunku „chłoptasia w krótkich spodenkach", który bawi się władzą, zamiast rozwiązywać realne problemy.

Doprowadził przy tym budżet miasta do ruiny. Kraków jest dziś najbardziej zadłużonym miastem w Polsce. Nie takie były jego obietnice wyborcze.

Prezydent Miszalski obiecywał poprawę sytuacji budżetowej. Wszyscy liczyli na to, że dzięki relacji z rządem Donalda Tuska do Krakowa szerokim strumieniem popłyną środki rządowe na inwestycje i inne ważne działania. Nic takiego się nie stało. Zamiast oszczędzać, Miszalski mnożył wydatki na propagandę, np. zwiększając nakład gazety urzędowej z 30 do 220 tys. egzemplarzy, co w skali roku ma kosztować 3,5 mln zł. Takich działań było więcej. Obietnice, które składał, jak np. redukcja zadłużenia, nadwyżka operacyjna, wyglądały ładnie jedynie przy uchwalaniu budżetu. Gdy przychodziło do rozliczeń, okazywało się, że stan finansów jest znacznie gorszy, niż zakładano. Zupełnie nie potrafili sobie z tym poradzić. Niekompetencja i rozpasanie.

> Naszym nadrzędnym celem jest to, aby Koalicja Obywatelska nie rządziła ponownie w Krakowie. Po tej sromotnej porażce są w defensywie i musimy to wykorzystać dla dobra miasta

W referendum odwołano prezydenta, ale Rada Miasta przetrwała o włos, i to wyłącznie z powodu progu frekwencyjnego. Zdecydowana większość głosowała za jej odwołaniem. Czy nie powinna więc zostać „zachęcona" do dymisji?

Zabrakło zaledwie ok. 3,5 tys. głosów, czyli bardzo niewiele. Uważam, że źle się stało. W momencie, gdy prezydent odchodzi, Rada Miasta też powinna zostać odwołana. Bo co z tego, że Miszalski odejdzie, skoro jego ludzie nadal będą stanowić większość? My jako opozycja nie składamy broni. Będziemy aktywnie pracować. Być może znajdą się takie osoby jak radna Łętocha z Koalicji Obywatelskiej, która kilka tygodni temu odeszła z klubu na znak protestu. Liczymy na pewien poziom autorefleksji niektórych osób, dzięki czemu Radę Miasta będzie można prowadzić zupełnie inaczej. Chcemy wprowadzić nową jakość pracy, bo nie wierzymy, by cały klub KO nagle zrozumiał swoje błędy.

Prof. Czarnek nazwał Miszalskiego „krakowskim Tuskiem". Czy w takim razie to również porażka samego premiera?

Mogę potwierdzić, że Miszalski był pewną emanacją Tuska. Koalicja Obywatelska w Krakowie jest lokalnym odpryskiem władz centralnych KO – ten sam poziom bezczelności, niekompetencji i przekonania o własnej wspaniałości. To zgubiło Miszalskiego i mam nadzieję, że to samo spowoduje, że ludzie w końcu powiedzą dość władzy Tuska w Polsce. Już teraz coraz częściej zgłaszają się do nas mieszkańcy i radni z innych miast, pytając o receptę na skuteczne odwołanie władzy.

Jaka jest ta recepta?

Po pierwsze: inicjatywa nie może być *stricte* partyjna. Po drugie: profesjonalna organizacja. Tego nie można robić, jak pisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu": „Szlachta na koń wsiędzie, my z synowcem na czele i jakoś to będzie". To musi być metodycznie rozplanowane – wolontariusze, osoby, które zbierają podpisy, jasna identyfikacja wizualna: kamizelki, logo, oznaczenia, silna obecność w mediach społecznościowych. Trzeba pamiętać, że po drugiej stronie stoi potężna machina urzędnicza z wielkimi pieniędzmi. Po trzecie: twarze projektu muszą być zdeterminowane i gotowe poświęcić cały swój czas na to, by się udało – przez dwa miesiące zbiórki i wcześniejsze przygotowania.

eprasa.pl b471be45b5

Czy ten odzew z innych miast, o którym pan wspomniał, pozwala stwierdzić, że nadciąga lawina zmian w samorządach, o której wszyscy mówią? Radom już ogłosił chęć zorganizowania referendum. Słyszymy o Wrocławiu, Poznaniu, Gdańsku, Gliwicach.

Tak, to bardzo możliwe. Nie wiem, czy wszędzie, bo to zależy od lokalnego kontekstu. Bardzo mocno liczy się próg frekwencyjny. W Krakowie wynosił 27 proc. We Wrocławiu potrzeba tylko 22 proc. Radzimy, aby zwrócić uwagę na ten kluczowy czynnik – ilu głosów potrzeba. Gdyby w Krakowie było 30 proc., to by się nie udało.

Warszawa za rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz rozbiła się o próg frekwencyjny. Być może dlatego, że uruchomiono ogromną kampanię zniechęcającą. W Krakowie też podjęto taką próbę, ale bezskutecznie. Dlaczego Miszalskiemu nie udało się zniechęcić ludzi?

W Krakowie ludzie mieli dość tej bezczelności. Byli tak bardzo zniechęcani, że zagłosowali na przekór. Patrząc historycznie, Polak jest człowiekiem przekornym. Gdy władza nam coś nakazuje siłą, przyciśnięci robimy odwrotnie. Były w polskiej historii powstania, my zorganizowaliśmy współczesne powstanie krakowskie, jak czasami śmialiśmy się w kuluarach. Władza mówiła „Miszalski", cały aparat Soku z Buraka codziennie zniechęcał do pójścia na wybory, przekonując, że za wszystkim stoją jakieś agresywne i „skrajne środowiska". Ludzie, widząc tę bezczelność, tym bardziej chcieli skorzystać ze swojego demokratycznego prawa. Sądzę więc, że gdyby nie postawa Miszalskiego i jego ludzi, referendum mogłoby być nieskuteczne. Mogę tylko podziękować prezydentowi za ten bojkot, bo on paradoksalnie zmobilizował ludzi.

Być może pomogła też sytuacja ogólnopolska? Z sondażu OGB wynika, że aż 26 proc. pytanych wskazało, że na ich udział w referendum większy wpływ miała negatywna ocena rządu Donalda Tuska.

Rzeczywiście, dla jednej czwartej osób głosujących ważniejsze było to, że Miszalski reprezentował Koalicję Obywatelską, czyli dzisiejszą władzę w Polsce, niż sprawy miasta. To pokazuje, że w każdym innym mieście istnieje naturalny zalążek buntu do odsunięcia pseudoelit od władzy. Jeszcze nie władzy centralnej, bo wybory parlamentarne dopiero za rok, ale pokazanie im czerwonej kartki w samorządach, czyli w tym miejscu, które jest najbliżej ludzi.

Przed nowym prezydentem stoją ogromne wyzwania. Miszalski pozostawił po sobie śmietnik i chaos w finansach oraz w urzędzie. Sprzątanie zajmie drugą część kadencji, która będzie trwała raptem 2,5 roku. To bardzo niewiele

W Krakowie ta bitwa została wygrana, ale to dopiero pierwszy krok. Teraz trzeba znaleźć dobrego gospodarza, który zdoła odwrócić tę fatalną sytuację miasta. Co dalej?

Przed nowym prezydentem stoją ogromne wyzwania. Miszalski pozostawił po sobie śmietnik i chaos w finansach oraz w urzędzie. Sprzątanie zajmie drugą część kadencji, która będzie trwała raptem 2,5 roku. To bardzo niewiele. Priorytetem jest redukcja zadłużenia, bo Regionalna Izba Obrachunkowa już grozi koniecznością stworzenia planów naprawczych. Trzeba też rozwiązać problemy transportowe – Kraków jest bardziej zakorkowanym miastem niż Warszawa. Trzeba też będzie zlikwidować lub radykalnie ograniczyć Strefę Czystego Transportu.

Wszystko to wymaga dużej sprawności. Jaka jest koncepcja typowania kandydata? Poparcie kogoś niezależnego czy własny kandydat PiS?

Jako Prawo i Sprawiedliwość chcemy przedyskutować wewnętrznie najlepszą formułę dla miasta: czy wystawić własnego kandydata, czy poprzeć kogoś niezależnego. Sądzę, że to dopiero przed nami. Wybory nie zostały jeszcze ogłoszone.

Jaki kierunek wyłania się z tych dyskusji? Polityk z ogromnym dorobkiem jak Beata Szydło, Małgorzata Wassermann czy lokalny działacz?

To musi być osoba rozpoznawalna i mająca doświadczenie w zarządzaniu lub w samorządzie. Nie będzie to nikt przypadkowy. Naszym nadrzędnym celem jest to, aby Koalicja Obywatelska nie rządziła ponownie w Krakowie. Po tej sromotnej porażce są w defensywie i musimy to wykorzystać dla dobra miasta.

Jacek Sasin na antenie wPolsce24 wskazał pana jako swojego faworyta. Co pan na to?

To dla mnie bardzo miłe. Dziękuję panu premierowi Sasinowi za tak pozytywną ocenę mojej pracy. Natomiast do takich informacji podchodzę z dużym spokojem. Rozumiem, że jestem jednym z kilku kandydatów branych pod uwagę przez kierownictwo partii. Jeśli kierownictwo uzna, że moja kandydatura będzie najlepsza w danej sytuacji, jestem do dyspozycji. Niezależnie od tego, kogo partia wybierze, będę tę osobę wspierał z całych sił. Czekam cierpliwie na oficjalne decyzje.

Czy prawica w Krakowie jest wystarczająco zjednoczona, by wygrać tę batalię?

Wierzę, że tak. Konferencja na Rynku Głównym, gdzie wspólnie stanęli Beata Szydło, Przemysław Czarnek, Łukasz Kmita i Ryszard Terlecki wraz z radnymi, była jasnym sygnałem jedności. Niezależnie od różnic zdań, w najważniejszych sprawach dotyczących przyszłości Krakowa będziemy walczyć razem.

eprasa.pl b471be45b5

Ostatnia szansa Krakowa



JAN ROKITA

To nie partie odniosły sukces w referendum w Krakowie. Miszalskiego z fotela prezydenta miasta usunęli obywatele mający dość mafijnego stylu krakowskiej polityki



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Upadek w krakowskim referendum prezydenta Aleksandra Miszalskiego wywołał charakterystyczne reakcje obu wielkich partii. W PiS manifestowano satysfakcję i radość, dokładając „gratulacje dla mieszkańców Krakowa", które jako jeden z pierwszych złożył w sieci Jarosław Kaczyński.

Powodem owej radości jest odwołanie, jak z premedytacją mówią pisowcy, „krakowskiego Tuska", co ma sugerować klęskę samego premiera, za którą muszą pójść podobne klęski w innych miastach, aż w finale nastąpi klęska i odwołanie już nie „krakowskiego", lecz „ogólnopolskiego" Tuska.

Ta logika z pozoru wygląda na słuszną. Bo przecież skoro władza PO (teraz KO) w kluczowej metropolii tak spektakularnie runęła z woli wyborców, w polskiej dwubiegunowej rzeczywistości politycznej musi to być jaskółka tego, co za chwilę stanie się w wielu innych miejscach, a finalnie w całym kraju. Dowodem jest zaś to, że zachęceni krakowskim wynikiem prawicowcy zaczęli tworzyć komitety referendalne w różnych miastach rządzonych dotąd przez tuskowców.

Reakcja w obozie Tuska jest równie charakterystyczna. Sam premier w takich trudnych dlań sytuacjach zwykł robić uniki, głosząc „mądrościowe sentencje". O odwołaniu Miszalskiego mówi więc tak: „Czasami podejmuje się decyzje nietrafione, czasami podejmuje się decyzje niepopularne. Cóż! Takie jest życie". Ma z tego jasno wynikać, że tuskowa nauka jest adresowana osobiście i wyłącznie do odwołanego prezydenta, który właśnie otrzymał bolesną „lekcję życia". Nie odnosi się ona ani do premiera, który przecież w Krakowie nie podejmował żadnych „nietrafionych i niepopularnych" decyzji, ani nawet do rządzącej partii, której lokalny aktyw zasiadający w krakowskiej Radzie Miejskiej będzie tam siedzieć nadal, gdyż z braku frekwencji nie otrzymał od mieszkańców wystarczająco mocnego wotum nieufności. Przegrane referendum to w zasadzie „prywatny problem Olka", jak przeczytałem w czołowej protuskowej gazecie, która cytuje słowa niewymienianego z nazwiska polityka KO. Cóż! Ludzie popełniają błędy i ponoszą tego konsekwencje. Więc Miszalskiemu dziękujemy, niech zajmie się swoim biznesem hostelowym. Ale ani w Krakowie, ani w KO niczego to przecież nie zmienia, przyjdzie tylko ktoś, kto nie będzie popełniać tylu błędów.

SPRZECIW OBYWATELSKI

Obie reakcje są charakterystyczne dlatego, że ich logika jest ściśle partyjna, by nie rzec – partyjniacka. Dla jednych Kraków przeciera ścieżkę do odwoływania kolejnych tuskowych prezydentów, co ma być nowatorskim pomysłem na kampanię prowadzącą do odzyskania władzy w kraju. Z kolei drudzy chcieliby zapomnieć o przygodzie z Miszalskim jako tym nieszczęsnym autorem „nietrafionych decyzji" i jak najprędzej powrócić do partyjnych interesów, dla których Kraków jest przecież jednym z mateczników.

Ale tym razem jedni i drudzy mogą się mylić. Kaczyński może być zaskoczony, jeśli za jakiś czas okaże się, że małpowane tu i ówdzie inicjatywy referendalne zaczną ponosić fiasko, gdyż wyjątkowe okoliczności krakowskiego referendum nie wystąpiły tam w takim spiętrzeniu jak pod Wawelem. Tusk może się zaś zdziwić, gdy okaże się, że roztrwonił swoją przewagę w Krakowie, bo jego partia nie przestała wysługiwać się interesownej koterii, która urosła w mieście jeszcze za długich rządów postkomunistycznego prezydenta Jacka Majchrowskiego, a przy Miszalskim tak wyraźnie pokazała swoją złą twarz.

23/0526/F

eprasa.pl b471be45b5

Bowiem to nie partie odniosły w Krakowie sukces. Miszalskiego usunęli nagle uaktywnieni obywatele mający dość mafijnego stylu krakowskiej polityki. I głosowano tu nie (a ściślej rzecz biorąc – nie tylko) przeciw KO i Tuskowi, ale właśnie przeciw temu zdegenerowanemu lokalnemu układowi władzy. Mam przyjaciół z dawnych lat, którzy z przekonaniem wspierają antypisowską politykę Tuska, ale teraz przyjęli rolę aktywistów pracujących dla zwycięstwa inicjatywy referendalnej. To jasne, że bez jakiejś – myślę, że sporej – liczby głosów zwolenników Tuska wynik referendum nie okazałby się wiążący. Kiedy reporterzy pytali Krakowian o przyczyny ich głosowania w referendum, najczęściej pojawiały się zarzuty znane, choć płytkie, bo tylko takie da się łatwo wyrazić w ulicznej sondzie. Urosły do 9-miliardowego długu miasta, proporcjonalnie trzy razy większego niźli w Warszawie, bezwstydnego systemu nomenklatury Miszalskiego, którego symbolem stała się kariera niedouczonego lokalnego szefa KO albo lekceważenia opinii mieszkańców, które bezceremonialnie okazano przy wprowadzaniu zakazu poruszania się w mieście tanimi autami, na które ludzi stać (tzw. strefa czystego transportu).

OJCIEC CHRZESTNY

Ale przecież wszyscy jako tako politycznie przytomni mieszkańcy Krakowa dobrze wiedzą, iż te zarzuty, choć zasadne i być może nawet przechylające szalę na niekorzyść Miszalskiego, nie doprowadziłyby do sukcesu referendum, gdyby nie powód głębszy i fundamentalny dla miasta. Od wielu lat – nie ma co owijać w bawełnę – w Krakowie panuje mafijny styl polityki, a Miszalski stał się jego ikoną, choć to przecież nie on tworzył zręby tego systemu. Ojcem chrzestnym niedobrego stylu rządzenia był prezydent Majchrowski, o którym swego czasu nie bez racji mówił Jarosław Gowin, iż jest „inteligentny, sprawny oraz znakomicie rozstawia i korumpuje politycznie ludzi z różnych środowisk". Majchrowski stał się patronem koterii biznesowych interesów, rosnącej w siłę przez 22 lata jego rządów, i to on zręcznie wylansował Miszalskiego jako swojego następcę. Tyle że Miszalski nie miał talentu ojca chrzestnego, więc już w toku kampanii samorządowej w 2024 r. mafijny styl polityki tej grupy wyszedł na jaw z bezceremonialnością.

Całą rzecz opisali dwaj dziennikarze, Andrzej Gajcy i Wojciech Mucha, w publikacji, która dla krakowskiej polityki stała się niczym wystrzał z Aurory. Wielkie pieniądze deweloperów spoza Krakowa, ale mających tu swoje równie wielkie interesy. Masowa i niegodziwa kampania pomówień i kalumnii rzucanych na jedynego poważnego konkurenta Miszalskiego – radnego Łukasza Gibałę. Zamaskowani autorzy tej kampanii, czyli znikające agencje reklamowe i portale w sieci, założone tylko po to, by zniesławiać konkurencję. A w końcu posłużenie się gangsterami w kominiarkach, by dokonać włamu do mieszkania rodziny Gibałów w nadziei znalezienia jakichś haków. No i, co najważniejsze, ostentacyjna bezradność

REKLAMA



państwa, w tym zwłaszcza służb śledczych, umarzających dochodzenia np. z powodu braku jednej cyfry w numerze telefonu dewelopera, a zarazem kluczowego aktora tych przedsięwzięć, do którego policja nie potrafiła się w związku z tym dodzwonić. Tej publikacji nie przeczytały wprawdzie dziesiątki tysięcy mieszkańców Krakowa, ale słyszeli o niej pewnie wszyscy, którzy chodzą na wybory.

Czy to wszystko stanowi opis partyjnej mafii partii premiera Tuska? Bynajmniej. To raczej opowieść o niemającej zahamowań koterii sprawującej hegemonię nad miastem. Bo też Kraków ma szczególne warunki, aby taka koteria mogła się rozwijać.

20 mln turystów rocznie, w tym przybysze najniższego sortu, przysłowiowi pod Wawelem pijani i zarzygani Anglicy. Swego czasu brytyjski dyplomata ze wstydem opowiadał mi, jak niemal każdego dnia wynajęci przez konsulat ludzie zbierają owych „turystów" z miasta i wsadzają do samolotów, często bez dokumentów (nie wiem, czy ten proceder trwa). Tanie hostele, a w ich pobliżu tania wódka, tanie narkotyki i tanie prostytutki to najlepszy interes, jaki od wielu lat można robić w Krakowie. Ale do tego trzeba współpracy z lokalnymi politykami, którzy odeprą wszelkie próby wprowadzenia cywilizowanej regulacji tzw. najmu krótkoterminowego, obronią kluby go-go i naganiaczy do nich na krakowskim rynku, będą przeciwdziałać limitowaniu punktów sprzedaży wódki. No i najlepiej, jeśli będą mieć w tym jeszcze własny interes.

KONTYNUATOR

Takim politykiem był prezydent Miszalski, o czym w Krakowie wiedzieli wszyscy. Jeszcze grubo przed tym, nim został prezydentem, reklamowano go jako „współwłaściciela największej sieci hosteli w Polsce". Analizie klienteli tanich hosteli przyszły prezydent poświęcił swoją pracę magisterską i rozprawę doktorską. Lobby, którego nie był już patronem, jak jego poprzednik, ale aktywnym graczem i interesariuszem, od lat miało jeden cel biznesowy: wypchnąć z centrum miasta mieszkańców i przekształcić stare kamienice w tanie hostele, a docelowo krok po kroku zniszczyć tkankę owych kamienic, przekształcając piękne mieszkania na klitki dla turystów, z łóżkiem na antresoli i prysznicem w rogu, tak aby już nigdy nie nadawały się do normalnego zamieszkania. A tam, gdzie tylko się da (tak jak pod samym Wawelem, choć za fasadami kamienic, więc niełatwo to zobaczyć), zabrać ostatnim niewysiedlonym jeszcze mieszkańcom podwórka, wyciąć drzewa. Po to, by nawet w owe podwórka wepchnąć nowe, wielopiętrowe „apartamentowce" z klitkami pod krótki wynajem.

Na tym brutalnym procederze niszczenia tkanki miasta zarówno pod względem urbanistycznym, jak i społecznym, mają się bogacić nieliczni hostelarze, restauratorzy, handlarze wódką i sutenerzy. Taka jest straszna cena, jaką płaci stary Kraków za zmowę rodzimych „landlordów" (jak się ich zwykło ostatnio nazywać) z lokalnymi politykami.

„Palermo pod Wawelem" – tak nazwali ów syndrom koterii panującej w Krakowie autorzy książki o kampanii 2024 r. To w takim systemie władzy, brutalizującym się z czasem, gdyż szło o coraz większe pieniądze, i gotowym posłużyć się gangsterami, tkwi geneza krakowskiego referendum i tak licznego uczestnictwa w nim mieszkańców Krakowa.

Miszalski nie przewidział tego, że tak wielu ludzi połapie się, jak wygląda w Krakowie faktyczny układ władzy. Chyba mu się wydawało, że może to wszystko ukryć pod fasadą mających wielkie zasięgi tik-tokowych rolek, na których prezydent bawi się, kocha dzieci i zwierzęta, jeździ na wycieczki albo tańczy na dachu magistratu w rytm jakiejś absurdalnej piosenki o tym, że jest bogaty, więc ma powód do radości. Ta fasada, wymyślona przez niedouczonych „spin doktorów", tym bardziej musiała budzić złość mieszkańców widzących coraz wyraźniej, na czym polega skrywany przed nimi system rządzenia.

OSTATNIA SZANSA

Sukces referendum jest więc jak łyk świeżego powietrza dla Krakowa. Myślę, że liderzy PiS i Konfederacji mają świadomość, iż ten sukces wcale nie oznacza, by prawica zyskała w tym mieście rząd dusz. Zwłaszcza że rozbite na zwalczające się frakcje PiS też ma swój niebłahy udział w podtrzymywaniu zdeprawowanego systemu władzy. To przecież nie kto inny, niż poseł Małgorzata Wassermann ocaliła w finale kampanii prezydenturę Miszalskiego, brutalnie atakując – ni z gruchy, ni z pietruchy – jego antymafijnego konkurenta. Można oczywiście uważać, że zrobiła to z potrzeby serca, ale pozostanę przy poglądzie, iż takie akcje – gdy gra toczy się nie o idee polityczne, lecz o wielkie interesy finansowe – prowadzi się z wyrachowania.

Podobnie zresztą jak w przypadku premiera. W Krakowie jest tajemnicą poliszynela, że Tusk był świadom tego, jakie lobby reprezentuje Miszalski i że nie była to prezydencka kandydatura szefa rządu. Uległ z oportunizmu, by nie robić sobie kłopotu i nie narażać się ani potężnej grupie interesów, ani swoim lokalnym działaczom partyjnym.

Rzecz jasna nie wiem, jak przebiegną nagłe, sierpniowe krakowskie wybory. Dla Krakowa, a także dla poprawy jakości całej polskiej polityki byłoby dobrze, aby nowym prezydentem został polityk dający gwarancję odsunięcia od wpływów układu interesów związanych z patologią współczesnej turystyki.

Mało prawdopodobne, aby w Krakowie mógł wygrać partyjny nominat PiS albo Konfederacji. To po prostu nie to miasto. Z pewnością antymafijnym kandydatem byłby Łukasz Gibała, który zyskał dodatkowy mandat w tych wyborach, bo co tu dużo mówić, dwa lata temu ukradziono mu to zwycięstwo. Ale nie bez szans w Krakowie może być także kandydat Tuska. Pod jednym wszakże warunkiem – że premier zdecydowałby się na rozwiązanie lokalnych struktur swojej partii i wskazał kandydata zewnętrznego, niezależnego od interesów biznesu turystycznego i platformowych działaczy. Trzy lata temu w wyborach sejmowych Tusk narzucił par force krakowskiej PO Bartłomieja Sienkiewicza jako lidera listy, co sprawiło, iż lokalni działacze partyjni posunęli się nawet do anonimowego zamieszczania w sieci nagrań mających go skompromitować.

Na razie pewne jest tylko jedno: Kraków cudem złapał ostatnią szansę, aby wyrwać się spod władzy niszczącej go koterii. Czy da radę?

eprasa.pl b471be45b5

Szmaciane państwo Tuska

Fałszywe alarmy i nieudolne reakcje na nie dowodzą, iż rząd i służby nie działają, a państwo jest tylko atrapą



STANISŁAW JANECKI

Jeśli przez kilka tygodni ktoś ogrywa państwo fałszywymi zgłoszeniami dotyczącymi aktu terroru, pożaru zagrażającego życiu mieszkańców, samobójstwa, przemocy wobec dziecka czy zmuszania do niebezpiecznych zachowań, to takie państwo jest atrapą. Tym bardziej że to państwo dysponuje kilkoma wysoko wyspecjalizowanymi służbami do zwalczania cyberprzestępczości, które powinny błyskawicznie ustalić źródła fałszywych alarmów.

Tolerowanie żenującej nieudolności atrapy, w którą polskie państwo zmienili rządzący po 13 grudnia 2023 r. koalicjanci, trwałoby w najlepsze, gdyby nie kompromitacja, do jakiej służby tego państwa doprowadziły 23 maja 2026 r., gdy wieczorem włamały się do mieszkania w gdańskiej dzielnicy Siedlce, gdzie stale przebywają matka i siostra prezydenta RP Karola Nawrockiego. Prezydent wykazał to mieszkanie w swoim oświadczeniu majątkowym (współwłasność w 50 proc.), gdyż tak zostało ujęte w zapisie testamentowym.

Gdy rozmawia się z gdańskimi urzędnikami, funkcjonariuszami służb, a nawet z mieszkańcami, nie ma osoby, która dałaby wiarę, że jakiekolwiek służby w tym mieście nie wiedzą, czyje jest mieszkanie, do którego dokonano włamu. Gdy w fałszywym zgłoszeniu wskazano właśnie ten adres, powinny się odezwać wszystkie dzwonki alarmowe. Jeśli się odezwały, a mimo to włamu dokonano, sprawa jest znacznie poważniejsza, niż przedstawiają to premier Donald Tusk, szef MSWiA Marcin Kierwiński, minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak, komendant główny policji Marek Boroń czy komendant główny Państwowej Straży Pożarnej Wojciech Kruczek. Jeśli się nie odezwały, może to oznaczać,

Fot. Andrzej Wiktor; FotoDax/Shutterstock.com

eprasa.pl b471be45b5

że nie mogły albo nie było im wolno, a to jeszcze gorzej.

Nieznane są przypadki, by w jakimkolwiek innym państwie Unii Europejskiej służby dokonały włamu do domu czy mieszkania należącego do urzędującego prezydenta albo premiera i ich najbliższej rodziny. A gdyby do tego doszło, szefowie tych służb natychmiast zostaliby zdymisjonowani lub nawet postawiono by im zarzuty karne. Wyrazy solidarności premiera Tuska wobec prezydenta Nawrockiego i teatralne gesty ministrów oraz szefów służb są kpiną i przykrywaniem tego, że państwo Tuska to szmaciana konstrukcja. Nawet nie ze sklejki i tektury, tylko ze szmat powiązanych sznurkiem w pęczki udające jakieś struktury.

DUŻO SŁUŻB, MAŁO EFEKTÓW

W Polsce za cyberbezpieczeństwo odpowiada wiele służb, przede wszystkim trzy wyspecjalizowane zespoły reagowania na incydenty na poziomie krajowym (CSIRT poziomu krajowego), Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości (CBZC) oraz Wojska Obrony Cyberprzestrzeni (WOC). CSIRT to Computer Security Incident Response Team (Zespół Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa Komputerowego). Zgodnie z ustawą o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa, kluczową rolę operacyjną odgrywają trzy zespoły. CSIRT NASK (CERT Polska) reaguje na incydenty w sektorze cywilnym. Chroni użytkowników prywatnych, przedsiębiorstwa oraz instytuty badawcze. CSIRT GOV (prowadzony przez ABW) odpowiada za ochronę administracji rządowej. Zabezpiecza infrastrukturę krytyczną kraju (np. systemy energetyczne i transportowe) oraz instytucje centralne. CSIRT MON (prowadzony przez WOC) zabezpiecza systemy resortu obrony narodowej oraz Sił Zbrojnych RP.

Działania operacyjne, śledcze i stricte obronne realizuje przede wszystkim Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości (CBZC) – formacja w strukturach policji, powołana do ścigania hakerów i zwalczania przestępczości w sieci. Prowadzi m.in. śledztwa dotyczące oszustw internetowych, ataków ransomware czy wyłudzeń danych. Działania takie prowadzi też Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW), realizująca typowe zadania kontrwywiadowcze, czyli chroniąca państwo przed cyberszpiegostwem oraz cyberterroryzmem ze strony obcych państw lub organizacji przestępczych. Ministerstwo Cyfryzacji (Departament Cyberbezpieczeństwa) odpowiada za nadzór legislacyjny i koordynację Krajowego Systemu Cyberbezpieczeństwa.

KOMPROMITACJA W GDAŃSKU

23 maja 2026 r. o godz. 19.33 Centrum Powiadamiania Ratunkowego otrzymało zawiadomienie o pożarze i zagrożeniu życia dzieci w lokalu mieszkalnym w Gdańsku na osiedlu Siedlce. CPR przekazało to zgłoszenie do Państwowego Systemu Ratownictwa Medycznego, straży pożarnej i policji. Na miejsce skierowano te trzy formacje. Po otrzymaniu 15 minut później drugiego zgłoszenia, mówiącego o zatrzymaniu krążenia u dzieci, które się tam znajdowały, kierujący działaniami podjął decyzję o siłowym wejściu do lokalu. Do mieszkania najbliższej rodziny prezydenta Karola Nawrockiego.

Na nic zdadzą się tłumaczenia, że w ciągu kilku minut strażacy czy policjanci muszą „podjechać, zweryfikować, nawiązać kontakt z administratorem lub osobami, które są na miejscu, czy rzeczywiście nie doszło do zagrożenia zdrowia i życia". Wszystko by się zgadzało, gdyby nie było to kolejne fałszywe zgłoszenie i gdyby nie dotyczyło prezydenta RP. Ktoś z rządu czy służb wreszcie mógłby wpaść na to, że wszystko układa się w plan ataku dotyczący – poza prezydentem RP – wyłącznie polityków opozycji oraz niezależnych mediów i ich dziennikarzy. Przecież wcześniejsze prowokacje dotyczyły prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, byłego szefa BBN Sławomira Cenckiewicza, siedzib telewizji wPolsce24 i Republika czy kilku dziennikarzy tej ostatniej stacji, w tym jej prezesa. Do czasu wielkiej kompromitacji w Gdańsku reakcją rządzących były kpiny, obleśne żarty ze „spodni" i bagatelizowanie spraw.

DYMISJE NATYCHMIAST

Gdy chodzi o głowę państwa, należące do niego i jego najbliższych nieruchomości absolutnie powinny być objęte ochroną. Wtedy strażacy nie musieliby wyważać drzwi, bo spotkaliby funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa (SOP). „Wrażliwe" nieruchomości powinny być objęte ochroną choćby z tego powodu, że gdy w mieszkaniu nikogo nie ma, jakieś służby czy osoby mogą się do niego włamać, nie zostawiając śladów, ukryć w środku np. ładunek wybuchowy, gotowy do zdetonowania przez telefon komórkowy. Jeśli SOP, ABW, Służba Kontrwywiadu Wojskowego czy policja w ogóle nie myślą o takim scenariuszu, to znaczy, że nie nadają się do pełnienia swoich funkcji, a osoby odpowiedzialne za te służby natychmiast powinny podać się do dymisji albo po prostu zostać wyrzucone na bruk. Szczególnie ministrowie Marcin Kierwiński i Tomasz Siemoniak, kierujący ABW płk Rafał Syrysko i dowodzący SOP płk Tomasz Jackowicz. O samym premierze Tusku nie wspominając.

Wiceminister w MSWiA Czesław Mroczek stwierdził, że służby nie miały żadnych informacji o tym, o jakie mieszkanie chodzi. Powiedział też, że lokal nie jest objęty ochroną SOP, gdyż Karol Nawrocki tam „nie mieszka i nie wykonuje swoich obowiązków". Tylko że chodzi o głowę państwa.

Opowiadając o szczegółach akcji, komendant główny Państwowej Straży Pożarnej Wojciech Kruczek mówił, że „przez domofon nie było kontaktu z osobami wewnątrz, nie było żadnych oznak pożaru, nie było kwestii zadymienia ani wewnątrz, ani zewnątrz. Weszliśmy na balkon, jedno z okien było przejrzyste, można było zobaczyć, że obiekt nie był zadymiony, drugie okno było od wewnątrz zaklejone folią, było ograniczenie widoczności. Po 15 minutach kolejna karetka przyjechała na miejsce ze względu na kolejne zgłoszenie o zatrzymaniu funkcji życiowych pod tym adresem. Kierujący działaniem ratowniczym nie miał już wątpliwości, że trzeba wejść do lokalu, zweryfikować, czy nie ma tam osoby potrzebującej pomocy. Mieszkanie było puste, nie zastaliśmy też oznak pożaru".

Niby formalnie wszystko się zgadza, tylko nie chodziło o mieszkanie jakiegoś Pietruszyńskiego, a służby muszą wiedzieć takie rzeczy, zanim zaczną cokol-

Fot. FotoDax/Shutterstock.com

eprasa.pl b471be45b5

wiek robić. Komendant główny policji Marek Boroń zapewnił: „Podjęliśmy czynności celem ustalenia sprawców tego fałszywego alarmu. Pracuje zespół, mając na uwadze te wcześniejsze zgłoszenia dotyczące fałszywych alarmów i informacji wpływających do CPR związanych z zagrożeniem życia i zdrowia. Mamy już ustalone kierunki, mam nadzieję, że w ciągu kilkunastu godzin poinformujemy państwa o naszych efektach". Tyle że efektów nie ma żadnych. W dodatku niektóre szczegóły podane przez komendanta Boronia są wręcz groteskowe: „Była próba nawiązania kontaktu z osobą, która wysłała ten SMS [do służb], ale nie odbierała".

ROZWIĄZANIA CZY FURTKI DO NADUŻYĆ?

W niedzielę 24 maja 2026 r. rano odbyła się odprawa premiera z udziałem ministrów i przedstawicieli służb. „Wszystkie służby podległe powinny dołożyć maksymalnych wysiłków, żeby dokonać identyfikacji osób, które się zajmują tymi prowokacjami i jak najszybciej doprowadzić do ich zatrzymania" – mówił Donald Tusk. Jeszcze 23 maja wieczorem premier uspokajał: „Użyjemy wszystkich dostępnych metod, aby zidentyfikować i wyłapać sabotażystów, niezależnie od tego, skąd są i kto nimi kieruje". Chciałoby się powiedzieć: „To wreszcie ich użyjcie, zamiast tylko o tym gadać".

„Zamknięte drzwi, wyważanie drzwi, to wszystko sprawia fatalne wrażenie" – żalił się Tusk. No i jest „narastająca fala spekulacji czysto politycznych i spiskowych, jedna głupsza od drugiej i niestety są bardzo nośne. Czy są to politycy opozycji, którzy mówią, że rząd organizuje te pseudozamachy, czy są to jacyś aktywiści, którzy uważają, że ofiary tych prowokacji sami na siebie organizują te prowokacje – jedno i drugie nie jest za mądre". Tusk pominął wielki hejt wobec prezydenta, wywołany przez prowokacje. Hejterzy cieszyli się, że dotknęło to Karola Nawrockiego, bo „mu się należało", a poza tym „to wcale nie prezydent, tylko uzurpator".

Donald Tusk celowo sprowadził rzecz do kwestii technicznych i zasad rutynowego działania: „Nikt ze straży pożarnej ani policji nie zaryzykuje, że zginie dziecko czy spłonie mieszkanie. Muszą reagować natychmiast, nie mają czasu na to, by identyfikować, czy taki alarm jest fałszywy, czy nie. Dla nich zawsze priorytetem jest natychmiastowe ruszenie do akcji". Tylko dziwnym trafem żadne fałszywe zgłoszenie nie dotyczyło mieszkań samego Tuska, jego córki czy syna. Nie dotyczyło służbowej willi premiera przy ul. Sulkiewicza 6 w Warszawie. Nie dotyczyło członków rządu Tuska ani żadnej redakcji czy dziennikarzy prorządowych mediów.

> Wcześniejsze prowokacje dotyczyły prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, byłego szefa BBN Sławomira Cenckiewicza, siedzib telewizji wPolsce24 i Republika czy kilku dziennikarzy tej ostatniej stacji. Do czasu wielkiej kompromitacji w Gdańsku reakcją rządzących były kpiny, obleśne żarty i bagatelizowanie spraw

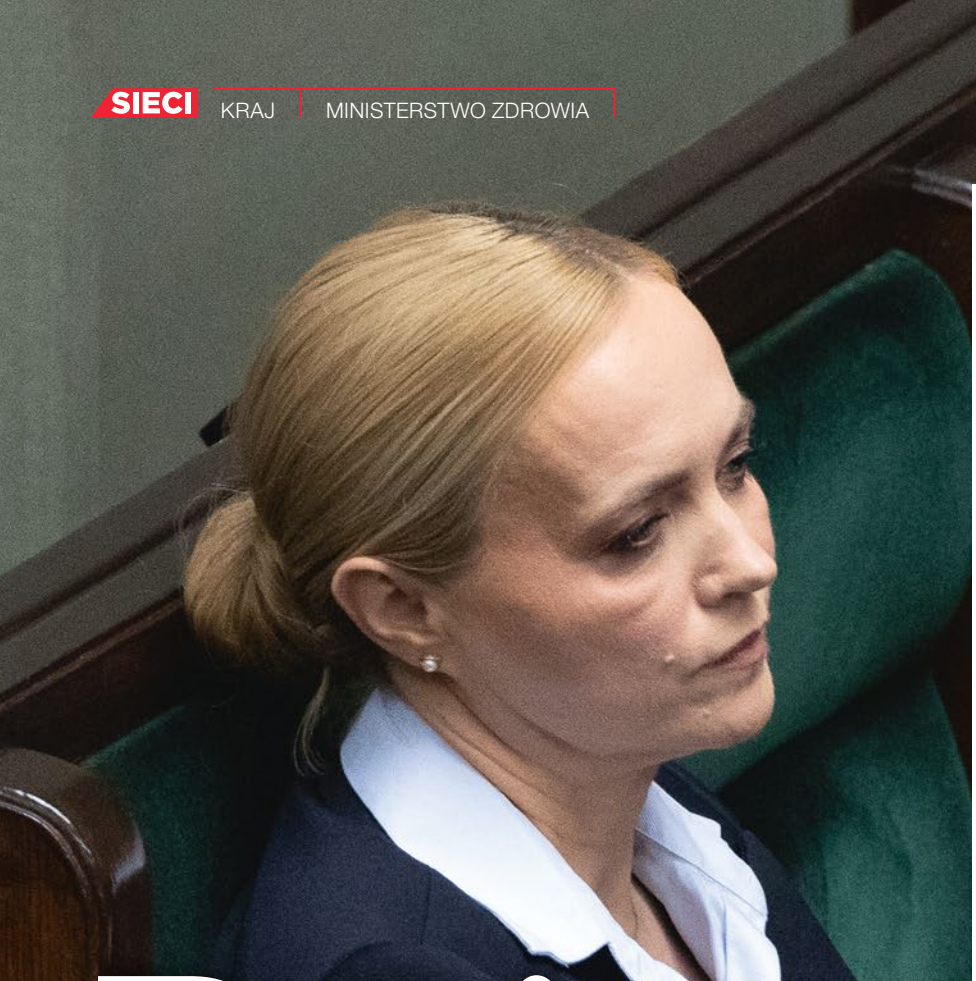
Gdyby w jakimkolwiek demokratycznym państwie UE doszło do tego, co zdarzyło się w związku z wejściem do mieszkania będącego współwłasnością prezydenta Karola Nawrockiego, na posesję byłego premiera i lidera opozycji Jarosława Kaczyńskiego, do redakcji nielubianych przez rządzących mediów i mieszkań dziennikarzy, natychmiast posypałyby się dymisje. W Europie by się działo, u nas nie dzieje się nic – także dlatego, by przykryć to, że państwo Tuska jest szmacianą konstrukcją. W tym państwie nikt za nic nie odpowiada, jest ono skrajnie nieudolne, można nawet odnieść wrażenie, że sprzyja sprawcom, a nie ofiarom.

Rządzący mają projekty rozwiązań, które w większym stopniu oznaczają inwigilację obywateli niż sprawne ściganie przestępców. W przyjętej 10 marca 2026 r. przez Radę Ministrów Strategii Cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2025–2029 proponuje się umożliwienie organom ścigania szybszego dostępu do informacji stanowiących tajemnicę bankową. Rządzący zapowiedzieli również, że zmienią przepisy tak, aby umożliwić wprowadzenie tzw. kontratypów działań operacyjnych i analitycznych. Kontratypy to okoliczności wyłączające bezprawność czynu. Po ich określeniu i wprowadzeniu niektóre działania służb wyczerpujące znamiona przestępstwa w świetle prawa nie byłyby karalne. To otwiera szerokie pole do bezkarnych nadużyć, szczególnie wobec opozycji i niezależnych mediów.

Jednym z celów jest też uszczelnienie systemu związanego z rejestrowaniem kart SIM, tak by nie można było ich rejestrować na błędne lub fikcyjne dane osobowe. Planowane jest też uregulowanie rynku odsprzedaży kart SIM, w tym w serwisach internetowych, m.in. poprzez umożliwienie blokowania ich przez operatora. Ma to służyć walce z „poważnymi cyberprzestępstwami" oraz z cyberszpiegostwem i cyberterroryzmem. Ale nikt nie gwarantuje, że nie będzie to nadużywane, np. poprzez włamania do telefonów opozycyjnych polityków czy niezależnych dziennikarzy pod pozorem poszukiwania „trefnych" kart SIM.

Zresztą wszystko to ma dopiero nastąpić. Na razie są kolejne prowokacje i ataki, na które rządzący odpowiadają moralnym i dydaktycznym wzmożeniem, z którego nic nie wynika. Tak jak nikt nie jest winien tego, że kolejne ataki są coraz bardziej bezczelne. Ale jeśli rząd i służby nie potrafią ich powstrzymać i błyskawicznie ująć sprawców (kogoś tam ujęto, ale mogą to być płotki albo jakaś ściema), natychmiast powinni się podać do dymisji. Wtedy skończy się też istnienie szmacianego państwa zamiast normalnego i sprawnego.

eprasa.pl b471be45b5



Pacjent jej przeszkadza

Gołym okiem widać, że minister zdrowia ma gdzieś nasze zdrowie. Gdzie nie spojrzeć, system się wali, a jej odklejonych od rzeczywistości opinii o nagłej poprawie nie chcą słuchać nawet najwierniejsi fani rządu. Jolanta Sobierańska-Grenda uparcie realizuje swój plan likwidacji jednej trzeciej szpitali



MAREK PYZA

Szpitale nie są dla pacjentów, lecz dla zarządów, które mają się wykazać wynikami finansowymi i zarobić na prywatnych kontach. Sieć placówek ochrony zdrowia można wykastrować z mniejszych ośrodków, a pozostawić tylko w dużych miastach. System może się załamywać, lecz w rządzie nie wywoła to zaniepokojenia. Przeciwnie, stanie się realizacją marzenia tej ekipy o prywatyzacji tego sektora funkcjonowania państwa. Jeśli nie w całości, to chociaż w skali pozwalającej znacząco ograniczyć wydatki budżetowe i pozostawić chorych samych sobie, a tych najbiedniejszych... A kto by się nimi przejmował?

Do niedawna obóz władzy to ukrywał. Dziś się odkrywa, bo znalazła się chętna, by dać twarz temu procederowi.

PROBLEMY? NIE WIDZĘ

„Jeżdżę po kraju i widzę, jak się ludzie cieszą – i w podmiotach – z tego, że 18 mld przynosi realne już korzyści, a zakup sprzętu, inwestycje, to łącznie 36 mld" – ta wypowiedź minister zdrowia z anteny Polsat News stała się niechlubnym hitem w sieci.

Gdy w TVN24 Jolantę Sobierańską-Grendę zapytano, kiedy pacjentom w Polsce wreszcie będzie lepiej, wypaliła: „Myślę, że już jest lepiej. To, co robimy, i ze zdrowiem, i wprowadzamy dużo nowych terapii, wprowadzamy wiele nowych ścieżek terapeutycznych, porządkujemy system".

Ciężko to komentować bez słów nieparlamentarnych.

Bo co raport, to dramat. Coraz większy. Strach zaglądać do jakichkolwiek statystyk opisujących sytuację w ochronie zdrowia.

Ostatni barometr Fundacji Watch Health Care wskazuje, że średni czas oczekiwania na świadczenie zdrowotne w ubiegłym roku wyniósł

Fot. Andrzej Wiktor

4,2 miesiąca. Ale ta statystyka nie mówi nic, bo zaniżają ją dziedziny, które jeszcze jakoś się trzymają (np. onkologia). Spójrzmy na szokujące szczegóły tego raportu.

Od 2012 r. kolejki do świadczeń zdrowotnych wydłużyły się dwukrotnie. Aby dziś przebrnąć przez ścieżkę od wizyty u lekarza podstawowej opieki zdrowotnej do operacji usunięcia żylaków kończyn dolnych, mija 30,5 miesiąca. Do operacji wymiany zastawki serca – 19,5 miesiąca. Na endoprotezoplastykę stawu kolanowego poczekamy 25,4 miesiąca. Samo rozpoznanie epilepsji – od momentu, w którym pacjent pediatryczny otrzymuje skierowanie do neurologa do wizyty w poradni leczenia padaczki – trwa 15,2 miesiąca.

W ubiegłym tygodniu media obiegły wiadomości o fatalnej sytuacji szpitala powiatowego w Mławie. Zlikwidowano tam ginekologię, w planach jest zamknięcie kolejnych oddziałów, m.in. pediatrii. Zadłużenie wynosi 24 mln zł. „Szpital jest na zakręcie, nie mam leków, nie mam kroplówek, przerwane są łańcuchy dostaw" – załamuje ręce dyrektor.

To mikroskala zapaści, bo jeśli spojrzymy z wysoka, dostrzeżemy 9 mld zł długów wszystkich szpitali powiatowych. Zadłużenie tylko tego w Lesku wynosi 130 mln zł. Pracownicy otrzymują 75 proc. wynagrodzeń, a zaległości szpitala poza personelem dotyczą też kontrahentów. Mieszkańcy Bieszczad przyjechali w miniony czwartek przed Sejm, by apelować do premiera o realizację obietnicy z kampanii wyborczej i uratowanie placówki. „Władza ma budować, a nie rujnować" – głosił jeden z transparentów. Agnieszka Bąk, sołtys Jankowców, mówiła, że mieszkańcy obawiają się utraty podstawowego bezpieczeństwa zdrowotnego. Apelowała o to, czego pani minister nie chce usłyszeć: by przy podejmowaniu decyzji dotyczących szpitala brać pod uwagę nie tylko finanse, lecz przede wszystkim zdrowie i życie ludzi.

Sobierańska-Grenda podjęła za to decyzję o okrojeniu finansowania na badania diagnostyczne. W efekcie np. w Zamościu wstrzymano badania rezonansem magnetycznym i tomografię komputerową, ponieważ wyczerpano limit finansowania na cały rok... już w kwietniu. Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Warszawie zawiesił rejestrację na tomografię komputerową serca. Do odwołania.

Drastyczne obniżenie środków na fundamentalne badanie, jakim jest kolonoskopia, spowodowało przesunięcie zleconych pacjentom badań nawet na 2028 r. Niektóre szpitale publiczne zadecydowały o wprowadzeniu płatności za część badań – w Lubartowie gastroskopię można zrobić za 500 zł, a kolonoskopię – za 1,4 tys. zł

Aby dziś przebrnąć przez ścieżkę od wizyty u lekarza podstawowej opieki zdrowotnej do operacji usunięcia żylaków kończyn dolnych, mija 30,5 miesiąca. Do operacji wymiany zastawki serca – 19,5 miesiąca

W wielu szpitalach nieużywany jest sprzęt, który powinien pracować w ramach NFZ. Stoi niepodłączony, bo Fundusz wprowadził limity na badania, a za nadwykonania zapłaci tylko część stawki.

O rekordowo licznie zamykanych porodówkach czy oszczędnościach na szpitalnych posiłkach nie ma już nawet co wspominać.

Pani minister urzęduje ledwie 10 miesięcy, a już trwają spekulacje, kto ją niebawem zastąpi. Głośno dywagują nad tym nawet koalicjanci (na Lewicy powtarzają nazwisko poseł Joanny Wichy, z zawodu pielęgniarki).

Czy Jolanta Sobierańska-Grenda jest zatem najgorszym ministrem rządu Donalda Tuska? Są mocne przesłanki, by stawiać taką tezę. I nie trzeba robić sondy na szpitalnych korytarzach. Ochrona zdrowia to absolutnie najważniejszy obszar, za który – według badanych – powinien zabrać się rząd. Wskazuje tak 84 proc. Polaków. W raportach zdrowie wyprzedza nawet kwestię bezpieczeństwa.

Dramatyzm sytuacji widać też w rankingu zaufania do polityków, sporządzanym rzez CBOS. W tym najnowszym, majowym, po raz pierwszy pojawiła się Jolanta Sobierańska-Grenda. Nie ma jednak powodów do radości, bo pani minister debiutuje na ostatniej pozycji. Ufa jej zaledwie 11 proc. ankietowanych (o połowę mniej niż np. Grzegorzowi Braunowi czy Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz, trzykrotnie mniej niż np. Adrianowi Zandbergowi i czterokrotnie mniej niż Radosławowi Sikorskiemu; na czele listy – ciesząc się zaufaniem 48 proc. Polaków – wciąż znajduje się prezydent Karol Nawrocki).

Czy to może dziwić? Nie ma tygodnia bez doniesień o kolejnych zamykanych szpitalnych oddziałach, rekordowym zadłużeniu placówek medycznych i czasie oczekiwania w kolejkach do specjalistów albo uderzających w pacjentów kolejnych pomysłach ministerstwa.

A wszystkiemu towarzyszy tyleż irracjonalny, co irytujący dobry humor pani minister. Pokazuje, że po Sobierańskiej-Grendzie ta krytyka spływa. Kompletnie jej nie interesuje, jak zostanie zapamiętana przez Polaków. Ma wykonać zadanie: wszelkimi dostępnymi metodami ograniczyć wydatki na ochronę zdrowia. Zlikwidować, co się da. Nazwać to jakoś ładnie – konsolidacją, komercjalizacją, optymalizacją – i pozamykać oddziały, a nawet całe placówki. Los pacjentów się tu nie liczy. Mają się tylko zgadzać tabelki w arkuszu kalkulacyjnym, a zadowoleni z oszczędności mają być premier oraz minister finansów.

PREMIA ZA LIKWIDACJĘ

„Jedna z dużych firm medycznych ogłosiła program płacenia na raty za badania diagnostyczne, bo ludzie tam idą przez to, że nie mogą się doczekać

na badania w szpitalach. Czy tak to ma wyglądać? Ludzie mają brać chwilówki, zadłużać się po to, żeby ratować życie?" – pytał 12 maja w Sejmie Adrian Zandberg w trakcie debaty nad odwołaniem Sobierańskiej-Grendy. Odpowiedź brzmi: tak! W zasadzie już wygląda. Firmy lichwiarskie niczym sępy rzuciły się na zdesperowanych pacjentów, na których państwo się wypina. Oto kilka cytatów z ich stron internetowych:

„Pożyczka »na chwilę« z RRSO 0% pozwoli na przykład opłacić niezbędną diagnostykę i szybko zareagować w razie ewentualnej choroby".

„Bardzo często zdarza się tak, że leczenie w państwowych placówkach wiąże się z długimi kolejkami do specjalistów. Są jednak sytuacje, w których nie można czekać kilku tygodni, miesięcy czy lat".

„Bardzo często najważniejszy jest czas, a jak wiadomo, kolejki ciągną się w nieskończoność. W takich sytuacjach nieraz musimy skorzystać z prywatnego leczenia. Jednak skąd wziąć na to pieniądze? [...] najlepszym rozwiązaniem może okazać się bezpieczna pożyczka ratalna".

„Bolączki i niedobory w polskiej służbie zdrowia wcześniej czy później dotykają każdego z nas. Bardzo często dostęp do specjalistów jest ograniczony, a pakiet dodatkowych badań można wykonać tylko za dodatkową opłatą. Nawet jeśli usługi specjalistyczne są dostępne, to limity przyjęć są niewystarczające, a kolejki do specjalistów ciągną się miesiącami [...] odkładanie leczenia może się dla nas skończyć nie tylko większymi problemami zdrowotnymi lub powikłaniami wynikającymi z braku interwencji lekarza, ale też wyższymi kosztami leczenia".

To już wręcz nowa gałąź dla parabanków, do których trafiają najbardziej zrozpaczeni.

Lichwiarze zacierają ręce, bo wpadną w nie nie tylko pacjenci. Szefowa medycznej Solidarności alarmowała niedawno w Radiu Wnet, że zadłużenie zmusza szpitale do zaciągania ryzykownych pożyczek. „Parabanki, pożyczając pieniądze, liczą na to, że procesy dotyczące przekształceń własnościowych nabiorą tempa. Chcą po prostu zostać udziałowcami tych przedsięwzięć" – ostrzegła Maria Ochman. Niektóre z firm lichwiarskich żądają od starostów gruntów szpitalnych jako gwarancji pożyczek. Po szpitalu może zatem nie pozostać nawet plac.

Od przedstawicieli obozu władzy często słyszymy, że to samorządy zamykają oddziały, choć nie słyszymy, że są one do tego zmuszane przez centralę – ministerstwo i NFZ. Nie mają wyjścia, bo tylko tak są w stanie jeszcze jakoś ciągnąć.

> Po Sobierańskiej-Grendzie wszelka krytyka spływa. Ona ma wykonać zadanie: wszystkimi dostępnymi metodami ograniczyć wydatki na ochronę zdrowia. Zlikwidować, co się da. Nazwać to jakoś ładnie – konsolidacją, komercjalizacją, optymalizacją – i pozamykać oddziały, a nawet całe placówki

Zdecydowano się nawet na skrajnie absurdalny krok, który pokazuje, że w całym tym interesie pacjent jest kulą u nogi. W styczniu NFZ wydał zarządzenie, które premiuje zamykanie oddziałów, a nie ich ratowanie. Dotychczas likwidacja oddziału oznaczała po prostu koniec kontraktu z Funduszem. Teraz placówka otrzymuje nagrodę: przez dwa lata będzie dostawać połowę dotychczasowego kontraktu.

Nikt nie powinien być zdziwiony, bo pani minister krótko po objęciu urzędu oznajmiła, że „30 proc. szpitali w naszym kraju to jest nadmiar". A zatem co trzecia placówka – a chodzi zwłaszcza o te powiatowe – jej zdaniem powinna zostać zlikwidowana.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy obowiązywania tych skandalicznych przepisów wniosek do NFZ o likwidację oddziału całodobowego (najczęściej ginekologiczno-położniczego, okulistycznego i chirurgicznego) w zamian za 50 proc. ryczałtu przez kolejne dwa lata złożyło 25 szpitali, z czego 7 otrzymało decyzję pozytywną. Cięcia dotyczą placówek we wspomnianym Lesku, Leżajsku, Chodzieży, Radzyniu Podlaskim, Pile czy Kędzierzynie-Koźlu. Największe z tych miast liczy 68 tys. mieszkańców, co potwierdza kierunek polityki Sobierańskiej-Grendy.

PACJENT POZYCJĄ W EXCELU

Jedyne wyjście, jakie widzi dla upadających placówek pani minister, to komercjalizacja i konsolidacja. Swój autorski Pomorski Model Restrukturyzacji Podmiotów Leczniczych wdrażała jako wieloletnia dyrektor Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego. Polegał on na zamianie zadłużonych publicznych placówek w spółki prawa handlowego, a następnie łączeniu ich w jeden duży podmiot. Tak powstała spółka Szpitale Pomorskie sp. z o.o. Na jej czele stanęła sama Sobierańska-Grenda.

Czy to się opłacało? Zależy komu. Jej na pewno, bo pensja w porównaniu z tą urzędową wzrosła ponadtrzykrotnie. Szefostwo spółki objęła w kwietniu 2017 r. Do grudnia zarobiła ok. 180 tys. zł. W kolejnych latach jej wynagrodzenie znacząco rosło: 2018 – 280 tys. zł, 2019 – 320 tys. zł, 2020 – 350 tys. zł, 2021 – 406 tys. zł, 2022 – 455 tys. zł, 2023 – 488 tys. zł i w 2024 – 569 tys. zł.

Nasza bohaterka stała się tym samym jednym z najlepiej zarabiających menedżerów w sektorze medycznym na Pomorzu. A to nie wszystko. Bo do podstawowej pensji ze spółki Szpitale Pomorskie należy jeszcze doliczyć kwoty z umów o dzieło i zleceń (np.

eprasa.pl b471be45b5

w 2025 r. było to dodatkowe 155 tys. zł). Za co? Np. za wykłady akademickie, a także doradztwo w zakresie oddłużania szpitali (czyli właśnie ich komercjalizacji i konsolidacji).

Tu pojawiają się pytania o prawdopodobny konflikt interesów, sięgający jeszcze czasów, gdy nadzorowała obszar zdrowia w pomorskim Urzędzie Marszałkowskim, a jednocześnie świadczyła usługi prawne, doradzając podmiotom z obszaru ochrony zdrowia. Gdy zapytaliśmy o to w resorcie zdrowia, usłyszeliśmy, że wszystko odbywało się zgodnie z prawem i etyką, bo „świadczenie pomocy prawnej nie dotyczyło podmiotów powiązanych z samorządem województwa pomorskiego ani uczestniczących w systemie samorządowej ochrony zdrowia". Ale listy klientów pani Sobierańskiej-Grendy nie otrzymaliśmy.

– Cała operacja komercjalizacji polega na zdejmowaniu odpowiedzialności politycznej. W efekcie wszelkie potknięcia, błędy, kiepskie leczenie spadają najpierw na zarząd, później na radę nadzorczą, a na końcu ewentualnie marszałek dokona jakiejś wymiany kadr, samemu pozostając czystym. I tak ten ciężar bezpośredniej odpowiedzialności za funkcjonowanie spółki prawa handlowego rozkłada się na organy korporacyjne, które stanowią bufor przed odpowiedzialnością konstytucyjną – komentuje Marek Formela, wydawca „Gazety Gdańskiej", który szeroko opisywał pomorską działalność Sobierańskiej-Grendy.

Wśród pozytywnych efektów jej działań należy wymienić ustabilizowanie sytuacji finansowej szpitali czy tańsze zakupy (bo dokonywane wspólnie przez połączone placówki). Jednocześnie pogorszyły się warunki pracy personelu (poprzez zwiększenie obowiązków) oraz irytujące opinię publiczną wspomniane wysokie zarobki dyrektorów jednostek-molochów.

A czy opłaciło się to tym, dla których istnieje system ochrony zdrowia? Niekoniecznie. Połączenie oddziałów zmusiło bowiem część pacjentów do dalszych dojazdów na leczenie. Likwidacja powtarzających się oddziałów oznaczała w sumie mniej łóżek dla chorych (w ramach optymalizacji kosztów zamknięto wiele stałych, całodobowych łóżek szpitalnych, a część z nich zastąpiono tzw. łóżkami dziennymi). Po zabiegu pacjent był wypisywany do domu znacznie szybciej niż dawniej. Ograniczenie liczby tradycyjnych miejsc na oddziałach utrudniło też znalezienie wolnego łóżka w nagłych przypadkach. Wydłużyły się kolejki w izbach przyjęć.

Pacjent stał się po prostu „pozycją w tabeli Excela". Szpitale zaczęły unikać procedur medycznych, które były słabo wyceniane przez NFZ i generowały straty, skupiając się na bardziej opłacalnych zabiegach.

> Nikt nie powinien być zdziwiony, bo pani minister krótko po objęciu urzędu oznajmiła, że „30 proc. szpitali w naszym kraju to jest nadmiar". A zatem co trzecia placówka – a chodzi zwłaszcza o te powiatowe – jej zdaniem powinna zostać zlikwidowana. I to się dzieje

Zasadnicza zmiana, jaką przyniosło przekształcenie szpitali w spółki prawa handlowego, polegała na zmianie celu ich działania – dyrektorzy zaczęli być rozliczani przede wszystkim z wyników finansowych, a nie tylko z liczby wyleczonych osób.

Na Pomorzu powstały dwa duże podmioty lecznicze oparte na planie Sobierańskiej-Grendy. Poza operującą w Gdyni i Wejherowie spółką Szpitale Pomorskie pojawił się pięknie nazwany Copernicus, konsolidujący placówki w Gdańsku. Od początku zarządza nim Dariusz Kostrzewa. Jego zarobki są porównywalnie do tych, którymi cieszyła się dzisiejsza minister.

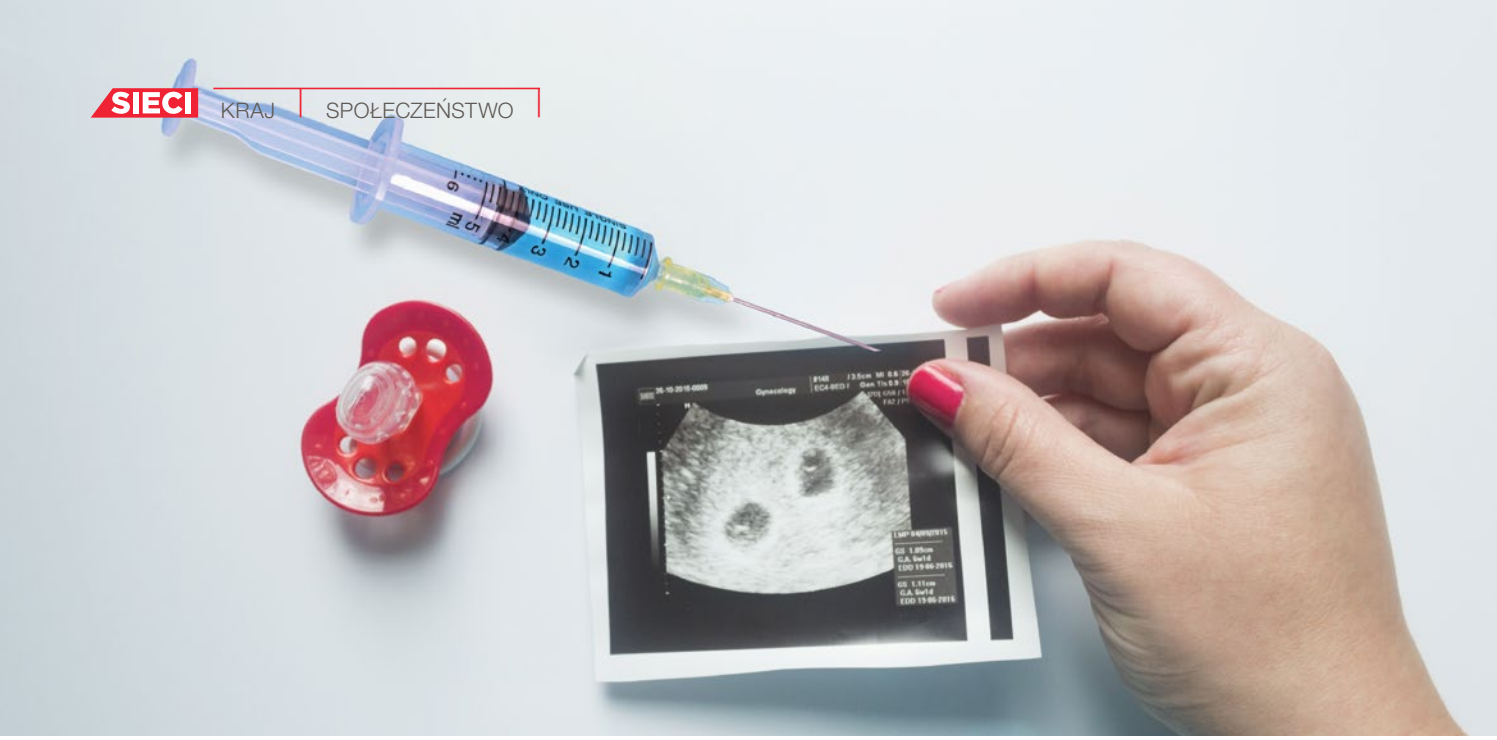
– Czytałem sprawozdania obu tych spółek. Bardzo mało się w nich pisze o leczeniu. Pamiętam za to, jak w 2023 r., po pandemii, pani Sobierańska-Grenda występowała z marszałkiem Mieczysławem Strukiem na konferencji, domagając się od rządu dodatkowych pieniędzy. Powiedziała wówczas słynne zdanie: „My mamy koszty, mamy straty". Kłamała w biały dzień, bo każdy rok jej spółka kończyła na plusie. Ale że wyniki były trochę gorsze, to domagali się od ministra kolejnych środków. Kiedyś obiecywała, że do przekształconych szpitali będą przyjeżdżać na leczenie Szwedzi, Finowie, Rosjanie, Ukraińcy. To były bajki. Cały ten system żyje na składce, z której oni wypłacają sobie bardzo wysokie pensje – mówi Marek Formela.

Po co obecna minister zdrowia przyszła do rządu? Ma wykonać bardzo konkretne zadanie: zlikwidować, co tylko się da, by w dziurawym systemie zaoszczędzić jak najwięcej. W najbardziej platformerskim regionie przeprowadziła pilotaż, który teraz ma rozszerzyć na cały kraj. A po kadencji zapewne wróci na rynek, by znów zarabiać olbrzymie pieniądze.

Jej praca doktorska nosiła tytuł „Hipoteza nieefektywności zarządzania – weryfikacja empiryczna na przykładzie procesu restrukturyzacji podmiotów leczniczych samorządu województwa pomorskiego w latach 2011–2019". Obroniła ją. Ale w jednej z jej dwóch recenzji znajdujemy taką uwagę: „Placówki medyczne nie powinny kierować się wyłącznie celem finansowym. W tym względzie należy podkreślić, iż rozprawa doktorska mgr Jolanty Sobierańskiej-Grendy nie porusza tematu misji systemu ochrony zdrowia, jaką jest poprawa zdrowia".

Nie porusza, bo ta misja pani minister nie interesuje. Kluczowa jest kasa, a nie pacjent.

eprasa.pl b471be45b5



Eugenika po polsku



DOROTA ŁOSIEWICZ

Działaczki lewackiego feministycznego Aborcyjnego Dream Teamu poinformowały niedawno, że pomogły dokonać tzw. selektywnej aborcji ciąży bliźniaczej, w dodatku bez wskazań medycznych. Sprawę opisała m.in. Fundacja Życie i Rodzina, a historia wywołała w Polsce szok, niestety tylko u części opinii publicznej. Została przekroczona kolejna granica, która jeszcze do niedawna wydawała się nieprzekraczalna nawet dla wielu zwolenników „liberalizacji prawa aborcyjnego".

IDEOLOGIA ABSOLUTNEGO WYBORU

Mówimy o tzw. selektywnej aborcji ciąży bliźniaczej. W praktyce oznacza to zabicie jednego dziecka w łonie matki i pozostawienie przy życiu drugiego. Nie dlatego, że jedno z dzieci było chore.

Jaka matka skazuje jedno ze swoich dzieci na śmierć tylko dlatego, że „nie planowała dwójki"? Jak bardzo trzeba znieczulić sumienie społeczeństwa, by można było publicznie opowiadać o zabiciu jednego z bliźniąt z uśmiechem, spokojem i poczuciem dobrze wykonanej „usługi"?

Nie dlatego, że ciąża zagrażała życiu matki. Powód miał być jeden: rodzice chcieli mieć jedno dziecko, a nie dwoje.

Właśnie o takiej sytuacji opowiadała publicznie Justyna Wydrzyńska z Aborcyjnego Dream Teamu i Aborcji Bez Granic. W nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych mówiła: „Zadzwoniła do nas dzisiaj osoba w dziesiątym tygodniu ciąży bliźniaczej i zaczęła nas pytać na temat dostępności klinik aborcyjnych w Czechach, na Słowacji. Ta osoba jest w chcianej, planowanej ciąży, ale ponieważ jest to ciąża bliźniacza, trochę ich to zaskoczyło jako parę. Oni nie planowali, nigdy nie myśleli o tym, żeby mieć dwójkę dzieci zamiast jednego. Więc tak naprawdę ich pierwszym pomysłem była aborcja selektywna".

I właśnie ten fragment pokazuje całą przepaść moralną, do której prowadzi ideologia absolutnego wyboru. Skoro człowiek uznaje, że dziecko jest wyłącznie elementem życiowego planu, projektem do zaakceptowania albo odrzucenia, wcześniej czy później dochodzi do sytuacji, w której można zdecydować: to dziecko ma żyć, a to ma umrzeć.

Najbardziej przerażające jest jednak to, że działaczka ADT nie opowiadała o tej historii w tonie dramatu, tragedii czy moralnego konfliktu. Wręcz przeciwnie. Mówiła o niej jak o kolejnym logistycznym problemie do rozwiązania. Jakby chodziło o zmianę wakacyjnej rezerwacji, a nie o decyzję dotyczącą życia i śmierci. „Uzyskała komplet informacji, które pozwoliły, aby jej życie było spełnione" – stwierdziła Wydrzyńska.

Spełnione życie? Kosztem którego dziecka? Tego, które przeżyje? Czy może tego, któremu wbije się igłę

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b471be45b5

w serce tylko dlatego, że okazało się „nadmiarem"? Właśnie tak wygląda język współczesnej cywilizacji śmierci – śmierć dziecka jest opisywana jako droga do komfortu, samorealizacji i życiowego spełnienia.

JAK WYGLĄDA SELEKTYWNA ABORCJA?

Fundacja Życie i Rodzina przypomniała, że procedura tzw. redukcji ciąży mnogiej polega na podaniu jednemu z dzieci zastrzyku z chlorku potasu prosto w serce. Trudno czytać taki opis bez grozy. Trudno też nie zadawać sobie pytania, co dzieje się z moralną wrażliwością społeczeństwa, skoro podobne historie są dziś przedstawiane jako element „opieki reprodukcyjnej".

„Jakim horrorem musi być taka procedura, zarówno dla zabijanego malucha, który ginie w straszliwych męczarniach, jak i jego braciszka lub siostrzyczki, będących tuż obok – nie sposób sobie nawet wyobrazić" – pisała fundacja.

Co szczególnie znamienne, nawet część środowisk proaborcyjnych przyznaje, że selektywna aborcja zdrowego bliźniaka budzi ogromne kontrowersje. „Rzeczpospolita" opisała rozmowę z przedstawicielką jednej z czeskich klinik aborcyjnych, która miała stwierdzić wprost: „W Czechach nie wykonuje się redukcji ciąży mnogiej, jeśli nie ma wad".

Kobieta dopytywana o możliwość wykonania takiego zabiegu wskazała Holandię jako jedyne realne miejsce w Europie. Dlaczego? Ponieważ nawet lekarze wykonujący aborcje wiedzą, że zabicie jednego zdrowego dziecka tylko dlatego, że rodzice „nie chcieli dwójki", przekracza granice etyczne.

SPOŁECZNE OBURZENIE I GŁOSY SPRZECIWU

Właśnie dlatego sprawa wywołała tak wielkie oburzenie opinii publicznej. Bp Artur Ważny powiedział: „Nie potrafię spokojnie słuchać historii, w której jedno z bliźniąt zostaje skazane na śmierć, bo okazało się »niepotrzebne«. Jest we mnie głęboki sprzeciw wobec świata, który uczy się mówić o śmierci dziecka językiem komfortu, wyboru i »rozwiązania problemu«. Bo żadne życie nie jest nadmiarem".

To niezwykle ważne słowa. Właśnie tego dotyczy dziś spór cywilizacyjny – czy człowiek ma wartość samą w sobie, czy też jego życie zależy wyłącznie od decyzji innych ludzi. Równie mocno wypowiedział się Sławomir Mentzen: „Aborcyjny Dream Team chwali się, że pomógł kobiecie dokonać aborcji selektywnej, czyli zabić jedno z dwojga zdrowych bliźniąt. Jedynym powodem było to, że kobieta chciała mieć dziecko, ale tylko jedno. Tak kończy się mówienie, że zabicie dziecka jest prawem kobiety, możliwością wyboru". Mentzen zwrócił uwagę na rzecz fundamentalną. Opinii publicznej przez lata wmawiano, że aborcja dotyczy wyłącznie dramatycznych sytuacji: ciężkiej choroby, gwałtu, zagrożenia życia. Tymczasem logika „pełnej autonomii wyboru" prowadzi dalej – do selekcji dzieci według wygody, planów życiowych czy subiektywnych preferencji. Jeśli można zabić dziecko dlatego, że jest chore, to dlaczego nie z tego powodu, że jest „nieplanowane"? Jeśli można decydować o tym, które życie ma wartość, a które nie, to gdzie kończy się ta logika?

Marcin Darmas, dziennikarz Zero.pl, zwrócił uwagę na jeszcze jeden dramatyczny wymiar tej historii: „Prawdziwej tragedii zazna bliźniak, który przyjdzie w końcu na świat. Ktoś mu kiedyś opowie historię o tym, że mógłby mieć brata". To pytanie będzie wracało przez całe życie. Dlaczego ja przeżyłem? Dlaczego moje rodzeństwo zostało skazane na śmierć? Jak żyć ze świadomością, że o życiu jednego dziecka zdecydowała kalkulacja wygody?

KTO FINANSUJE ABORCYJNY DREAM TEAM?

Szczególnie bulwersujące jest również to, że organizacje zaangażowane w promocję aborcji otrzymują ogromne środki finansowe z zagranicy.

Jak wynika z ujawnionych w mediach informacji, Aborcję Bez Granic wspierały grantami m.in. rządy Belgii i Francji. Belgowie przekazali organizacji łącznie 30 tys. euro w latach 2021–2022, natomiast Francja 60 tys. euro. Oficjalnie środki miały służyć głównie finansowaniu aborcji dla Ukrainek przebywających w Polsce.

Stałym fundatorem środowisk związanych z Aborcyjnym Dream Teamem pozostaje również holenderska fundacja Mama Cash. Organizacja od lat wspiera feministyczne i proaborcyjne inicjatywy na całym świecie. W 2021 r. miała przekazać ADT ok. 20 tys. euro, a współpraca trwała także w kolejnych latach. Co istotne, Mama Cash jest w ogromnym stopniu finansowana z pieniędzy publicznych, przede wszystkim z budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych Holandii, a także ze środków pochodzących od rządów Szwecji i Kanady.

Trzeba postawić pytanie wprost: czy Polacy mają się godzić na sytuację, w której zagraniczne fundacje i obce rządy finansują działalność prowadzącą do zabijania nienarodzonych dzieci? Czy naprawdę na tym ma polegać nowoczesna „europejska solidarność"?

PRZYZWYCZAJANIE DO ZŁA

Najbardziej przeraża jednak coś jeszcze. Nie sama radykalność aktywistek, lecz stopniowe oswajanie społeczeństwa z podobnymi historiami. Jeszcze kilka lat temu selektywną aborcję zdrowego bliźniaka niemal powszechnie uznano by za moralny koszmar. Dziś część opinii publicznej próbuje przedstawiać ją jako „trudną decyzję reprodukcyjną". To pokazuje, jak działa rewolucja kulturowa. Najpierw przesuwa granice języka, później granice prawa, a na końcu granice sumienia.

Dlatego sprawa opisana przez Aborcyjny Dream Team powinna stać się momentem otrzeźwienia. Nie chodzi wyłącznie o jeden dramatyczny przypadek. Chodzi o kierunek, w którym zmierza współczesna kultura. Kultura, która dziecko traktuje jak produkt. Kultura, która rodzicielstwo podporządkowuje wygodzie. Kultura, która śmierć nazywa „rozwiązaniem problemu". A przecież każde dziecko – także to najmniejsze, nienarodzone, bezbronne – ma prawo do życia. Nie dlatego, że zostało zaplanowane. Nie dlatego, że pasuje do czyjegoś scenariusza. Tylko dlatego, że jest człowiekiem.

I właśnie z tego powodu tak wielu ludzi zareagowało na tę historię gniewem, bólem i autentycznym moralnym sprzeciwem. Bo istnieją jeszcze granice, których przekroczenie budzi w człowieku naturalny odruch protestu. I jako społeczeństwo musimy tych granic bronić.

eprasa.pl b471be45b5



Alarm demograficzny

Albo symbolem polityki rodzinnej Polski XXI w. będą dosercowe zastrzyki z fenolu robione niemowlętom, albo siła naszej miłości do dzieci umocni naszą wspólnotę w tych niespokojnych czasach

Trzeba to nieustannie powtarzać, trąbić o tym, aby wbiło się w pamięć i świadomość obywateli oraz wyczuliło na ten problem rządzących – jest nas za mało, ciągle mniej, zbyt mało, by państwo polskie utrzymało w nieodległej przyszłości swoją pozycję polityczną, gospodarczą i społeczną w Unii Europejskiej.

Marna to dla nas pociecha, że jesteśmy w czołówce „nadganiania gospodarek zachodnich", skoro zostaliśmy prawdziwymi prymusami zachodniej liberalnej obyczajowości, co znalazło odbicie w niechlubnej demografii.

Warto wspomnieć, że nie tak dawno nawet media współodpowiedzialne za relatywizowanie macierzyństwa, lansujące za to przeróżne dziwaczne postawy i wybory alternatywne dla rodziny, zaczęły przebąkiwać o niebezpieczeństwie utraty ciągłości demograficznej. Przy chwalbie „niewinnej" różnorodności seksualnej, nie czując się za to ani trochę odpowiedzialne, całkowicie odcinając się od plonów sianych przez siebie idei.

O tym, jak trudno walczyć z antyrodzinną propagandą, przekonaliśmy się przy okazji programów 500+ i 800+. Nagonka na pomysłodawców, dzięki którym zlikwidowano ubóstwo dzieci, nagonka na rodziny wielodzietne, nagonka na rodziny mniej zaradne życiowo! A przecież chcemy, by nasze dzieci kochała i pomagała je wychowywać cała wioska.

Przecież art. 68 konstytucji mówi, że „władze publiczne są zobowiązane do zapewnienia szczególnej opieki zdrowotnej dzieciom, kobietom ciężarnym".

To ważne i potrzebne, że redaktor Jacek Karnowski i socjolog Marek Grabowski podjęli ten temat. U podstaw tej swoistej petycji narodowej leżą zatrważające, pogarszające się statystki dzietności, z których wprost wynika nieuchronne osłabianie potencjału społecznego naszego państwa. Mniej nas w Polsce, mniej Polski w Europie, na Starym – *nomen omen* – Kontynencie rozbieżnych interesów i emocji. Ale to już wyzwanie polityczne, wobec którego milczenie rządu i parlamentu trudno akceptować.

Dobrze, że na stole pojawiła się konkretna propozycja rozwiązań zawartych w Dekalogu Narodowego Przetrwania. 10 punktów bardzo trafnych, a także kontrowersyjnych, w których przewija się dobra emocja do podjęcia natychmiastowego działania w celu naprawienia tak złego stanu rzeczy. Ale czy można to wprowadzić od ręki? To 10 propozycji, które warto jeszcze przegadać i uzupełnić, aby trafiały do serc, umysłów, a może także kieszeni Polek i Polaków.

Chętnie biorę udział w dyskusji na ten temat z nadzieją, że wniosę jakąś ciekawą, możliwą do wykorzystania myśl, dołączając się do postulatów Jacka Karnowskiego i Marka Grabowskiego.

Znając cokolwiek naturę ludzką z racji wykształcenia i praktyki zawodowej, mając za sobą 30 lat prowadzenia warsztatów z rozwoju osobistego dla osób w kryzysie, wiem, że trudno uogólnić i dotrzeć z takim przesłaniem jak Deka-

eprasa.pl b471be45b5

log Narodowego Przetrwania do wszystkich obywateli, niezależnie od wieku czy wykształcenia. Dlatego zaczęłabym od tego, co moim zdaniem możliwe, co może być skuteczne. Zamiast zakazywania propagandy przeciwrodzinnej postulowałabym konsekwentne i odważne propagowanie wartości rodzinnych. Zamiast zakazu, który rodzi opór, ukazywanie rodziny jako najbardziej pożądanej i właściwej możliwości współżycia społecznego, dającej radość, siłę, poczucie sensu. O tym mówią też wszystkie statystyki dotyczące długości i satysfakcji z życia. Można to czynić od zaraz we wszystkich dostępnych mediach. Ich krajobraz bardzo się zmienił, silne konserwatywne stacje i czasopisma pozwalają na więcej optymizmu...

Zadaniem politycznym byłoby natomiast przemówienie do portfela rodziców, do ekonomii młodej rodziny z dziećmi. Zabezpieczenie jej sytuacji bytowej, podstaw jej egzystencji, to nie wydatek – to inwestycja w siłę państwa polskiego, w jego przyszłość.

PREKARIAT SPOŁECZNY

Exodus ludności z małych miasteczek i wsi za pracą oraz lepszym życiem do kilku polskich dużych miast, które dzięki migracjom notują przyrost liczby mieszkańców, to jedna z przyczyn zahamowania dzietności. Część przybyłych do aglomeracji dzielnie walczy o poprawę swojego statusu materialnego, o prawo do udziału w modnej konsumpcji, a jednocześnie twardo broni się przed zakwalifikowaniem do ekonomicznego prekariatu i niepostrzeżenie tworzy prekariat społeczny: wyspy samotności, egoizmu, dość prowizorycznej sytości, lecz pozbawione biologicznej żywotności.

Brak mieszkań, gnieżdżenie się w pokojach z przypadkowymi sublokatorami, brak pewności jutra skutecznie odstraszają od wybiegania w przyszłość i zakładania rodzin. Dobrą inspiracją do zachęcenia młodych kobiet i mężczyzn do zakładania rodzin i rodzenia dzieci byłoby – zgodnie z konstytucją RP – wzięcie przez państwo większej odpowiedzialności za dostępność mieszkań komunalnych. W tej dziedzinie państwo polskie abdykowało, przekazując budownictwo mieszkaniowe w zarząd firmom komercyjnym.

Przy okazji przypomnę, że w latach 70. i 80. ub.w. przy uczelniach powstawały domy i hotele studenckie, w których tworzono warunki do życia dla młodych rodzin z dziećmi. To był czas „baby boom", wyżu urodzeń. W latach 80. w takich relatywnie komfortowych socjalnie warunkach mieszkał i wychowywał dzieci premier Tusk, który – mimo że liberał – korzystał ze wsparcia państwa przez dziewięć lat.

POMOC W OPIECE NAD MAŁOLETNIMI

Niektóre rozwiązania socjalne z przeszłości warto więc podpatrzeć i ulepszyć. Bezpłatne żłobki i przedszkola z elastycznymi godzinami przebywania w nich maluchów, aby rodzice mogli pracować, realizować się nie gorzej niż osoby bezdzietne. Zapewnienie wsparcia rodzicom, w tym np. przez turnusy wakacyjne refundowane ze środków publicznych. Rozważenia wymaga też kwestia refundowania przez państwo wynagrodzenia mam przez okres do trzech lat po narodzinach potomka.

> Mniej nas w Polsce, mniej Polski w Europie, na Starym – *nomen omen* – Kontynencie rozbieżnych interesów i emocji. Ale to już wyzwanie polityczne, wobec którego milczenie rządu i parlamentu trudno akceptować

Proponuję również rzeczywiście bezpłatną opiekę dla kobiet w ciąży i zapewnienie jej komfortowych warunków rodzenia, a następnie kompleksowej opieki medycznej dla dzieci i ich matek. To powinien być symbol odpowiedzialnej polityki prorodzinnej państwa, zapisanej w art. 68 konstytucji RP, a nie zastrzyki dosercowe z fenolem i uśmiercanie dzieci na podstawie przesłanek letalnych, które na etapie życia płodowego nie są definitywnie sprecyzowane.

Kampanie społeczne: jak fajnie być rodzicem, pieniądze to nie wszystko, dzieci są OK itp. Z takim przesłaniem można wystąpić do par niezdecydowanych na dzieci, mieszkających na kredyt na mniej lub bardziej eleganckich nowych osiedlach (bez potępiania i oceniania), które obawiają się obniżenia statusu materialnego. Tam placyki zabaw straszą dziś pustkami.

NIE ŚPIJ, BO BĘDZIE ZA PÓŹNO NA DZIECI

Zacznijmy od zburzenia niemądrego założenia, że dzieci zatruwają planetę i są odpowiedzialne za ocieplenie klimatu. Chyba tylko premier Tusk uważał, że macierzyństwo i dzieci są udręką na lata, ale może to kwestia odrębnej wrażliwości. Należy raczej podkreślać, że dzieci od wieków nadają naszemu życiu sens. Trzeba więc jasno sygnalizować, że psiecko to nie dziecko i nawet najwspanialsze psy są tylko przyjaciółmi ludzi (w domach też mruczą koty) i nie daje im szczęścia wożenie w wózkach dla niemowląt. Na pewno mniej niż rzucony patyk.

Proponuję szeroką akcję promującą dzietność, w którą powinny włączyć się też samorządy, począwszy od wymiany haseł na autobusach: zamiast „Nie śpij, bo cię przegłosują" – „Nie śpij, bo będzie za późno na dzieci". Zamiast jak w Gdańsku: „Odpalamy święta" – „Kochajmy nasze dzieci". Tylko tak można uratować nasz naród, umocnić pozycję naszego państwa w Europie.

Jest zagadką, jak wciągnąć w tę akcję media liberalno-lewicowe, ale zacznijmy od siebie, bo pozytywne myślenie o macierzyństwie powinno być zaraźliwe. W przeciwnym wypadku nawet feministki nie mają przyszłości.

Joanna Formela
Autorka tekstu jest pedagogiem, coachem, trenerem personalnym, współautorem podręcznika MRP i PS dla doradców zawodowych.

eprasa.pl b471be45b5

Sławosz zakneblowany



Szefowa Polskiej Agencji Kosmicznej domaga się zamknięcia ust Sławoszowi Uznańskiemu-Wiśniewskiemu. Nasz astronauta przyznał bowiem, że projekt realizowany przez agencję nie służy państwu polskiemu, lecz rządom Niemiec i Francji



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nie będzie wielką przesadą stwierdzenie, że współczesna demokracja liberalna coraz bardziej jest demokracją z nazwy niż z ducha. Dla osób, które pamiętają PRL i rozumieją cokolwiek z otaczającej je rzeczywistości, powinno być to oczywiste.

I nie chodzi wyłącznie o pojawiające się pod rządami Tuska elementy twardych represji w rodzaju aresztów wydobywczych, wykorzystywania służb państwowych do walki z opozycją czy o pacyfikowanie różnych instytucji publicznych. Poza nimi istnieje bowiem jeszcze znacznie szerszy i z tego powodu nieco mniej uchwytny repertuar miękkich szykan.

Przykładem pierwszym z brzegu może być niedawne referendum w Krakowie, które skończyło się odwołaniem Aleksandra Miszalskiego z urzędu prezydenta miasta. To wydarzenie bardzo niewygodne dla obecnej władzy,

Fot. Axiom Space, Shutterstock

o potencjalnie poważnych konsekwencjach dla całego kraju.

W demokratycznym państwie powinien to być jeden z najważniejszych tematów. Tymczasem u nas w większości mediów głównego nurtu zapadła absolutna cisza. W PRL podobna cisza zapadała zawsze, gdy wydarzyło się coś niekorzystnego dla władzy, np. gdzieś wybuchły strajki, doszło do jakiejś katastrofy lub pojawiła się afera, w którą byli zamieszani funkcjonariusze partyjni. O takich sprawach media zawsze milczały.

Dziś, w epoce internetu, nie da się całkiem ukryć rzeczywistości, ale mechanizmy cenzurowania informacji nadal działają. I są wykorzystywane coraz częściej.

DONOS NA ASTRONAUTĘ

Cenzura ma różne oblicza. Niekiedy chodzi o blokadę informacji, ale bywa też tak, że komuś trzeba zamknąć usta. Przekonał się o tym niedawno polski astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski, który w swojej naiwności najwyraźniej uwierzył, że w Polsce pod rządami Tuska kwitnie demokracja i nieskrępowana wolność słowa.

Poszło o wypowiedź Uznańskiego-Wiśniewskiego w trakcie posiedzenia rady Polskiej Agencji Kosmicznej POLSA, na którą został zaproszony jako ekspert. Rozmawiano o finansowaniu sektora kosmicznego oraz o programie IRIS2. Pod tym skrótem kryje się inicjatywa unijna, której celem jest budowa europejskiej konstelacji satelitów telekomunikacyjnych zapewniających państwom UE dostęp do własnej zaszyfrowanej łączności satelitarnej dla administracji rządowej, sił zbrojnych i infrastruktury krytycznej.

Według prezes Marty Wachowicz, stojącej na czele POLSA, astronauta nie tylko „zakwestionował zaangażowanie Polskiej Agencji Kosmicznej w realizację programu IRIS2", lecz także pozwolił sobie na obrazoburcze stwierdzenie, że „projekt nie służy państwu polskiemu, lecz rządom Niemiec i Francji".

Prezes POLSA uznała te słowa za „jednoznacznie polityczne" i oceniła, że „wypowiedzi pana Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego przekroczyły granice dozwolonego komentarza". W związku z tym wystosowała pismo, które trafiło już na biurko ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego, ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego oraz szefa KPRM Jana Grabca. Zaapelowała w nim do władz, aby podjęły „niezwłoczne, stanowcze działania" mające na celu „doprowadzenie do zaprzestania przez pana Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego publicznego komentowania kwestii związanych z działalnością Agencji, projektami strategicznymi, bezpieczeństwem państwa oraz współpracą międzynarodową". Ministerstwo Rozwoju i Technologii, które nadzoruje POLSA, potwierdziło, że list (czy może raczej donos) pani prezes będzie omawiany na najbliższym posiedzeniu rady Agencji w czerwcu.

> Pod rządami Tuska mamy dziś jedną, obowiązującą linię partii i każde odstępstwo od niej może być potraktowane w najlepszym razie za przejaw nielojalności, który musi zostać ukarany

Mówiąc krótko, jakakolwiek sugestia, że Polska realizuje dziś interesy Niemiec, jest niedopuszczalna i stanowi – jak można rozumieć z pisma pani prezes – zagrożenie dla polityki państwa. Po raz kolejny przychodzą tu na myśl skojarzenia z okresem PRL, gdy podważanie braterskich więzi ze Związkiem Radzieckim było ciężkim przestępstwem i wręcz zamachem na władzę ludową.

W reakcji na zarzuty Sławosz Uznański-Wiśniewski opublikował odpowiedź w mediach społecznościowych. „Odbieram żądanie dla mnie zakazu wypowiedzi przez prezes POLSA jako próbę cenzury, marginalizowania i uciszania głosów krytycznych wobec braku strategicznych kompetencji i zaniechań prezes POLSA, które mogą osłabiać pozycję Polski w sektorze kosmicznym" – napisał. „Moja wypowiedź dotyczyła tego, że większość środków przeznaczonych na program IRIS2 trafi do firm spoza Polski, gdzie głównymi beneficjentami będą firmy z Niemiec i Francji z powodu braku wystarczających możliwości technologicznych polskich firm w budowie satelitów telekomunikacyjnych" – wyjaśnił.

ZAPLĄTANY W POLITYKĘ

Uderzające w tym wszystkim jest to, że Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w żaden sposób nie można uznać za przeciwnika obecnego reżimu. Żonaty ze znaną posłanką Koalicji Obywatelskiej, bez większego szemrania biorący udział w promocyjnej szopce, której kulminacją stało się jedzenie pierogów na orbicie, z pewnością nigdy nawet nie pomyślał o jakimkolwiek politycznym zwarciu z rządem. To raczej – jak się zdaje – miły, spolegliwy człowiek, skoncentrowany bardziej na swoich pasjach naukowych niż na karierze celebryty. Trudno więc uwierzyć w to, że nagle postanowił zaatakować rząd, podważając stosunki wewnątrz Unii i uderzając tym samym w „przyjaźń polsko-niemiecką". Stawianie mu takich zarzutów jest wręcz śmieszne.

Świadczy o tym chociażby jego – dość naiwne – przekonanie, że w obecnych warunkach politycznych może sobie pozwolić na szczerą ocenę sytuacji. Być może Uznański-Wiśniewski rzeczywiście buja w obłokach i żyje myślami na innej planecie, skoro uwierzył, że w Polsce rządzą dziś kompetencje, a władza jest otwarta na różne poglądy i merytoryczną dyskusję. Przecież powinno być jasne, że krytykując politykę agencji kosmicznej, kierował się dobrymi intencjami i troską o interes własnego państwa.

Tymczasem wiele wskazuje na to, że w ten sposób astronauta nadepnął komuś

na odcisk. Jak sam sugeruje w swojej odpowiedzi, prawdopodobnie poszło o spory ambicjonalne, a pani prezes poczuła się zagrożona krytyczną oceną jej pracy. Aby zrozumieć pełny kontekst, należy bowiem wspomnieć, że w Polskiej Agencji Kosmicznej trwa wewnętrzny konflikt w związku z prowadzoną tam restrukturyzacją. Pracownicy POLSA wysłali w tej sprawie list do ministra finansów, twierdząc w nim, że wskutek „demontażu" agencji pracę straciła jedna trzecia zatrudnionych. Prezes stanowczo temu zaprzecza. „Zostało zwolnionych bądź odeszło na własne życzenie tylko kilku pracowników" – zapewniła.

Niewykluczone więc, że pani prezes, broniąc swojej pozycji, postanowiła ruszyć do ataku. Sławosz Uznański-Wiśniewski uchodzi przecież – choćby ze względu na wspomniane małżeństwo z posłanką Aleksandrą Wiśniewską – za osobę dość dobrze ustosunkowaną w kręgach obecnych władz. Z tego powodu krytyka z jego strony ma swoją wagę, bo może dotrzeć do najważniejszych uszu w rządzie. W tym kontekście stawianie mu zarzutu podkopywania polityki państwa może być próbą podważenia jego wiarygodności. A osoby niewiarygodne – jak wiadomo – nie stanowią zagrożenia.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Konflikt pomiędzy Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim a szefową Polskiej Agencji Kosmicznej – pomijając kwestie personalne – stanowi dobrą ilustrację dzisiejszej Polski oraz mechanizmów funkcjonujących w naszym państwie. Oto bowiem powracamy do czasów, w których zarzut nieprawomyślności znowu staje się poręcznym instrumentem w walce o wpływy i stanowiska.

To niezaprzeczalny dowód na to, że główne atrybuty demokracji liberalnej, takie jak demokracja, wolność opinii czy równość wobec prawa, nabierają w dzisiejszej Polsce charakteru wyłącznie deklaratywnego. Bo oto pod rządami Tuska mamy dziś jedną, obowiązującą linię partii i każde odstępstwo od niej może być potraktowane w najlepszym razie za przejaw nielojalności, który musi zostać ukarany. Gdyby było inaczej, to przecież nikt nie robiłby Uznańskiemu-Wiśniewskiemu zarzutu z tego, że zauważył i skrytykował nierównoprawność relacji pomiędzy Polską i Niemcami.

Cała polityka obecnego rządu jest w istocie podporządkowana Niemcom, ale w oficjalnym przekazie zaprzecza się tym oczywistym faktom. Sławosz Uznański-Wiśniewski właśnie się przekonał, że za podważanie tej linii można zostać uznanym za politycznego wroga. A polityczny wróg to przecież pisowiec i populista.

Dla człowieka funkcjonującego na państwowej posadzie czy obracającego się w środowiskach liberalnych takie zarzuty często oznaczają śmierć cywilną. Nikt więc nie będzie wychodził przed szereg i krytykował partii rządzącej – niezależnie od tego, co tak naprawdę o niej myśli. To stopniowy powrót do PRL-owskich standardów, gdy promowano osoby opisywane skrótem bmw: bierny, mierny, ale wierny. Dziś w strukturach władzy takich osób jest coraz więcej, a sądząc po dotychczasowych efektach rządów Tuska, zaczęły już dominować.

A gdy niekompetentni karierowicze całkiem przejmą kontrolę nad sferą decyzyjną, zmieni się mechanizm funkcjonowania państwa. Kryteria merytoryczne przestaną odgrywać jakąkolwiek rolę, a ich miejsce zajmie służalczość i polityczna gorliwość. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach donosy i zarzut nieprawomyślności stają się podstawowymi narzędziami rozwiązywania sporów.

> Być może Uznański-Wiśniewski rzeczywiście buja w obłokach i żyje myślami na innej planecie, skoro uwierzył, że w Polsce rządzą dziś kompetencje, a władza jest otwarta na merytoryczną dyskusję



DEZAKTYWACJA OBYWATELI

Sławosz Uznański-Wiśniewski już wie, że istnieją granice dopuszczalnej krytyki. W przypadku obecnego rządu i jego polityki są one bardzo wąskie, o ile oczywiście ktoś chce funkcjonować w liberalnym obiegu. Za to do woli można – a nawet trzeba – krytykować stronę przeciwną, najlepiej gorliwie i bez żadnych zahamowań. Brak takiej krytyki może być nawet powodem do podejrzeń.

Standardy życia publicznego w Polsce Tuska są budowane przez ludzi pokroju Witolda Zembaczyńskiego, trolli internetowych spod znaku ośmiu gwiazdek oraz media z neo-TVP i TVN na czele. Konsekwencją będzie – już jest – wycofywanie się normalnych ludzi z odpowiedzialności za losy kraju i pozostawienie ich w rękach wariatów, cynicznych karierowiczów oraz niekompetentnych prostaków.

Zresztą niewykluczone, że obecnemu rządowi właśnie o to chodzi – aby wyłączyć aktywność publiczną większości obywateli, bo przecież wtedy nikt nie będzie już recenzował władzy. W tym sensie można dostrzec pewne analogie z epoką PRL. Finał takiej polityki może się jednak okazać – tak jak wtedy – fatalny dla państwa.

Fot. ESA, Shutterstock



Sekretarz obrony USA Pete Hegseth i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz z amerykańskimi żołnierzami w Powidzu

Fot. Adam Burakowski/East News

Donaldzie, oddaj mi te brygady

Rząd jest ślepy, głuchy i tępy. Nie ma pojęcia, czy tysiące amerykańskich żołnierzy przybywa do Polski, czy ją opuszcza, ilu ich u nas jest i ilu ma być



DARIUSZ MATUSZAK

Epopeja wojsk amerykańskich w Polsce zaczyna być pasjonująca jak „Wyprawa Cyrusa", w której Ksenofont opisał marsz przez Persję 10 tys. greckich żołnierzy wracających do ojczystej Hellady. Kilkaset lat później, w 9 r. n.e., na wieść o tym, że w Lesie Teutoburskim Germanie wyrżnęli trzy rzymskie legiony dowodzone przez Kwinktyliusza Warusa, Oktawian August miał rozpaczliwie wołać: „Warusie, oddaj mi moje legiony. Gdzie są moje legiony?".

Pytanie o legiony miało wymiar dramatyczny. Pytanie, gdzie są wojska naszego sojusznika, brzmi jak z filmu Barei. W ciągu kilkunastu dni polski rząd zgubił 4 tys., a praktycznie 8 tys. amerykańskich żołnierzy, potem zaś odnalazł z dodatkowymi 5 tys., które obiecał Donald Trump. Przez wiele dni szef MON i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, wiceminister obrony Cezary Tomczyk i rząd nie mieli pojęcia, czy do Polski jest przerzucanych wraz ze sprzętem 4 tys. żołnierzy, czy nie. Jaki poziom nieudolności, rozkładu struktur państwa trzeba osiągnąć, by o tym nie wiedzieć? To się nie mieści tam, gdzie Trzaskowskiemu coś tam się nie mieści.

„NIE DOTYCZY POLSKI"

Oto sekwencja zdarzeń: 1 maja br. w Fort Cavazos w Teksasie odbywa się ceremonia pożegnania 2. Pancernej Brygady Bojowej, zwanej Black Jack Brigade, z 1. Dywizji Kawalerii. Informacje o tym i zdjęcia trafiają na portal jednostki i do mediów społecznościowych. 4 tys. żołnierzy wycałowało żony, dzieci oraz kochanki i szykuje się do podróży do Polski, by zluzować 4 tys. kolegów, którzy wrócą do Ameryki. To część rutynowej operacji Atlantic Resolve (OAR) – rotowania jednostek stacjonujących w Europie. W ruchu jest więc 8 tys. żołnierzy ze sprzętem – 4 tys. w Ameryce szykuje się do wyjazdu do Polski, 4 tys. w Polsce przygotowuje się do powrotu do Ameryki.

eprasa.pl b471be45b5

13 maja portal portal Army Times i „The Wall Street Journal" informują o wstrzymaniu operacji. Portal podaje szczegóły. Tego dnia część wojsk już jest w Polsce, część w drodze i zawraca, a część zostaje zatrzymana w Teksasie. Jeszcze przed decyzją o zablokowaniu przerzutu ciężki sprzęt, w tym czołgi Abrams i wozy bojowe Bradley, został załadowany na statki i wysłany do Europy. Okręty są na Atlantyku, a amerykańscy logistycy w portach szykują się do odbioru transportu. Najpewniej to Gdynia i Gdańsk albo Antwerpia czy Vlissingen w Holandii. Musiał być już gotowy transport kołowy, który miał zawieźć ten towar – nie będą się przecież czołgami rozbijać po autostradach. Po informacji o wstrzymaniu operacji logistycy odwołują działania w portach, konwoje i zmieniają kurs jednostek. W bazach w Polsce musiały być też odwołane przygotowania do przyjęcia 4 tys. zmienników. Zwijana jest również osłona kontrwywiadowcza przedsięwzięcia.

To wszystko się dzieje, tymczasem 13 i 14 maja w Polsce nikt nic nie wie i trwa spór o to, czy wiadomości o wstrzymaniu przerzutu są prawdziwe. Wiceminister Tomczyk pisze na platformie X: „To nieprawda. Ten komunikat dotyczy Niemiec. Nie dotyczy Polski. Polska sukcesywnie zabiega o zwiększenie obecności wojsk amerykańskich". I na potwierdzenie podaje jeszcze link do artykułu z Army Times, w którym jest wyraźnie napisane, że chodzi właśnie o Polskę. A jego szef, czyli Kosiniak-Kamysz, pisze: „Ta sprawa nie dotyczy Polski – wiąże się z zapowiadaną wcześniej zmianą obecności części Sił Zbrojnych USA w Europie". Nasz kraj ma nawet specjalnego ministra od służb specjalnych, Tomasza Siemoniaka, który podaje wpisy Kosiniaka-Kamysza i jako najwyższy w Polsce depozytariusz tajnej wiedzy uroczyście zapewnia: „Bardzo ważne! Odwołanie rotacji US Army nie dotyczy Polski".

Tego samego dnia szef MSZ Radosław Sikorski spotyka się z amerykańskim ambasadorem Tomem Rose'em i resort wydaje komunikat, że Polska jest gotowa na przyjęcie dodatkowych żołnierzy USA. Wszyscy rozumieją, że to w kontekście zapowiedzi wycofania 5 tys. Amerykanów z Niemiec. Sikorski mówi więc dokładnie odwrotnie niż Donald Tusk, który pytany o przyjęcie żołnierzy wycofywanych z Niemiec odpowiedział: „Chyba nie powinniśmy jako państwo podbierać [żołnierzy amerykańskich]. Ja nie pozwolę na to, żeby Polska była w jakikolwiek sposób wykorzystywana do łamania solidarności czy współpracy na poziomie europejskim".

Ledwie 10 dni wcześniej, 24 kwietnia, premier mówił w rozmowie z „Financial Times", że Rosja napadnie na Europę w ciągu kilku miesięcy. Wojna za płotem i niby na dniach u nas, a jemu wcale nie zależy na 5 tys. żołnierzy. W końcu się zorientował, jak głupia i szkodliwa była wypowiedź o niepodbieraniu Niemcom Amerykanów, więc Sikorskiemu wolno wydać komunikat o gotowości do ich przyjęcia.

Nie wiadomo jednak, czy ambasador Rose nie wiedział o wstrzymaniu operacji, czy wiedział, ale nie powiedział Sikorskiemu, czy też powiedział, ale ten nie wiedział, co ma mówić, bo jego towarzysze z rządu już drugi dzień opowiadają, że chodzi o Niemcy. Tak czy owak szef MSZ milczy w tej sprawie, jakby w ogóle nie było problemu. A co robi nasz premier, kiedy pojawiają się problemy? To, co zawsze – znika, chowa się.

Mijają kolejne 24 godziny. 15 maja CNN podaje, że to sekretarz wojny Pete Hegsheth zdecydował o wstrzymaniu przerzutu żołnierzy. Tego dnia w Kongresie członkowie Komitetu Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów odpytują ludzi z administracji Trumpa i wojskowych na temat budżetu armii. Pojawia się też polski wątek. Daniel Driscoll, sekretarz armii, i gen. Christopher LaNeve, pełniący obowiązki szefa sztabu, wszystko potwierdzają. Może 15 maja w naszym rządzie z jego resortem obrony, z tajnymi służbami, ktoś akurat oglądał CNN albo transmisję z Kongresu na C-SPAN, złapał się za łeb i pobiegł do Kosiniaka-Kamysza i Tomczyka z okrzykiem: „Włączcie telewizor. W telewizji mówią, że Amerykanie do nas nie przyjadą". No to włączają i ktoś im może nawet tłumaczy, co mówi gen. LaNeve. Ten opowiada (a amerykańskie media o tym piszą), że kilkuset żołnierzy z tzw. advance echelon (grupa wysunięta) przyleciało już do Polski samolotami transportowymi, głównie Boeing C-17 i C-5 Galaxy. Jednak advance echelon, zamiast przygotowywać się do przyjęcia zasadniczej grupy i skoordynowania wszystkiego z sojusznikami, czyli z nami, zaczął się szykować do powrotu do Ameryki.

Po kolejnych 24 godzinach premier Tusk mógł wychynąć i próbować sprawiać wrażenie, że wie, co się dzieje, ale poplątał się w bajaniach. Na konferencji w Otwocku przekazuje sprzeczne informacje – że to takie tam operacje logistyczne i jednocześnie, że to redukcja obecności amerykańskich wojsk. Pierwsza opowiastka: „Otrzymałem zapewnienie, że te decyzje mają charakter logistyczny i one nie wpływają bezpośrednio na możliwości odstraszania i nasze bezpieczeństwo". Druga opowiastka: „W związku z sygnałami o ewentualnych redukcjach ze strony naszego amerykańskiego sojusznika jesteśmy w stałym kontakcie z dowódcą amerykańskim wojsk NATO-owskich, wojsk amerykańskich, z gen. Grynkewichem i chcę wszystkich uspokoić – spodziewaliśmy się od wielu miesięcy pewnych decyzji dotyczących Europy". Najlepsze fragmenty: „Wszystko jest pod kontrolą", „Chcę wszystkich uspokoić – spodziewaliśmy się od wielu miesięcy decyzji dotyczących Europy".

Rozumieją państwo: Tusk od miesięcy wiedział o nagłej i niespodziewanej decyzji Hegsetha podjętej po 1 maja, ale zapomniał powiedzieć Tomczykowi, więc ten opowiadał, że chodzi o Niemcy.

KUKULE UGRZĘZŁO

Tak więc po kilkunastu rutynowych OAR i po jej nagłym wstrzymaniu Tusk, Kosiniak-Kamysz, Tomczyk, Sikorski i nikt w rządzie nie ma pojęcia, czy do Polski przyleciały jakieś samoloty ze zmianą żołnierzy i czy przylecą kolejne, czy nie. Czy coś się opóźnia, czy idzie wedle planu, więc orkiestra wojskowa pucuje trąby, chleb na powitanie już się piecze, kwiaty zamówione. Nie mieli także pojęcia, co robi kolejne 4 tys. Amerykanów już stacjonujących w Polsce, którzy powinni przygotowywać się do powrotu. Ktoś przecież musiał szykować pożegnanie, organizować konwoje dla sprzętu, który mieli ze sobą zabrać itp.

eprasa.pl b471be45b5

Oczywiście kogoś trzeba obwinić za zamieszanie, więc na ofiarę wytypowano gen. Wiesława Kukułę. Nadawał się, bo ostatnio szef Konfederacji Sławomir Mentzen mówił, że jest nienormalny, więc nawet część prawicowego elektoratu mogłaby uwierzyć w idiotyczną opowiastkę. Niemcy w jakimś celu utrzymują ekspozytury w Polsce, więc Onet pisze: „Choć Pentagon już w nocy z poniedziałku na wtorek (11/12 maja) przekazał do Sztabu Generalnego informację o wstrzymaniu rotacji amerykańskiej brygady pancernej, wiadomość ugrzęzła w poczcie niejawnej szefa sztabu gen. Wiesława Kukuły. W efekcie kierownictwo MON o zmianie planów swojego najważniejszego sojusznika dowiedziało się z amerykańskich mediów". Ostanie zdanie jest prawdziwe, reszta to brednie. Że niby rząd, szefostwo MON nie miały bladego pojęcia, czy trwa przerzut 8 tys. żołnierzy do Polski i z Polski, bo szefowi Sztabu Generalnego coś ugrzęzło, zawieruszyło się, spadło z biurka czy co tam? Potem te brednie puszcza w świat „Politico", także należące do niemieckiego koncernu Ringier Axel Springer, i pokazuje: niezły sojusznik z tej Polski, co?

W rządzie wybucha panika. Organizowana jest wyprawa do Waszyngtonu wiceministrów MON Cezarego Tomczyka i Pawła Zalewskiego, by dowiedzieli się, co się dzieje z tymi tysiącami, które miały przybyć do naszego kraju. Czy to ich chwilowe odwołanie, czy na zawsze i czy teraz te 4 tys., które miały być zluzowane, wyjedzie z Polski, więc liczba amerykańskich żołnierzy stacjonujących u nas spadnie z 10 do 6 tys.? „Jadę do Stanów Zjednoczonych z wiadomością od premiera Donalda Tuska i od ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza, że Polska jest gotowa na zwiększenie obecności amerykańskiej w Polsce i że to jest oficjalne stanowisko rządu" – oznajmia Tomczyk. Wiadomo więc również, że jechali, by gorliwie przepraszać za słowa Tuska, iż Polska nie będzie podbierać Niemcom amerykańskich żołnierzy. Pewnie pomyślano, że zablokowanie OAR to upomnienie, pokaz siły, nacisk polityczny w stylu: nie chcecie naszych żołnierzy, to nie. Łaski nie robicie. Nie dostaniecie też tych 4 tys., które są w drodze do was.

Minął weekend, wszyscy odpoczywali po tygodniu pełnym znoju, więc dopiero w poniedziałek 18 maja Tomczyk i Zalewski lądują w Waszyngtonie, robią zdjęcia z kierownikiem naszej placówki w USA Bogdanem Klichem i rozmawiają z Andrew Bakerem, zastępcą doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa, gen. Brettem Sylvią, szefem planowania Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych USA, oraz kongresmenami. Kosiniak-Kamysz zaś telefonicznie kontaktuje się z sekretarzem Hegsethem i w Warszawie z gen. Christopherem Mahoneyem, wiceprzewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Sił Zbrojnych USA. Sikorski był w Szwecji i może z kimś rozmawiał – na zbiorowym zdjęciu ze spotkania szefów dyplomacji krajów NATO widać go w ostatnim rzędzie. Tusk nie rozmawiał z nikim.

> 13 maja portal Army Times i „The Wall Street Journal" informują o wstrzymaniu operacji. Tego dnia część wojsk jest już w naszym kraju, część w drodze i zawraca, a część zostaje zatrzymana w Teksasie. Tymczasem 13 i 14 maja w Polsce nikt nic nie wie

20 maja wreszcie się dowiadujemy. Pentagon wydaje oświadczenie, że wstrzymanie rotacji do Polski jest chwilowe i stanowi część planowanej redukcji brygadowych zespołów bojowych (BCT) stacjonujących w Europie z 4 do 3. To powrót do poziomu z 2021 r. Co prawda 4 tys. żołnierzy amerykańskich nie przyjedzie teraz do Polski, ale 4 tys. z niej nie wyjedzie. Bilans wychodzi więc na zero.

DYWIZJA PODEBRANYCH

Kolejna bomba wybucha 21 maja. Donald Trump informuje w mediach społecznościowych: „W związku z sukcesem wyborczym obecnego prezydenta Polski Karola Nawrockiego, którego z dumą poparłem, oraz naszymi relacjami z nim z przyjemnością ogłaszam, że Stany Zjednoczone wyślą do Polski dodatkowe 5 tys. żołnierzy. Dziękuję za uwagę".

I wszystko by było wspaniale, a „Gazeta Wyborcza", TVN, TVP w likwidacji i co tam jeszcze mogłyby trąbić o wielkim sukcesie rządu, gdyby nie to, że we wpisie pojawił się ten Nawrocki, więc jak tu zrobić, żeby nie okazało się, że to dzięki niemu? Wirtuozerią w kalekim myśleniu wykazała się Dominika Wielowieyska, która oznajmiła, że to sukces Tomczyka i niespotykanie proamerykańskiego człowieka – Tuska, a Nawrocki tylko lobbował, żeby Trump o nim napisał. Zresztą prezydent USA jest infantylny i kapryśny. W koalicji rządzącej i jej mediach obowiązuje niemiecka interpretacja zdarzeń. „Süddeutsche Zeitung" pisze: „Dla Trumpa amerykańscy żołnierze są jak cukierki – rozdaje je według uznania grzecznym dzieciom, a niegrzecznym zabiera". Więc może przysłać żołnierzy, gdy kogoś lubi, jak Nawrockiego, i zabrać, jeśli nie lubi.

Prymitywom nie przyjdzie do głowy, że nie chodzi o prezydenta Nawrockiego, którego Trump ma powody cenić, ale o coś więcej. O to, że jego zwycięstwo oznacza, iż w Polsce są siły zdolne, by zdobyć władzę i nie reprezentować sobą tępej, antyamerykańskiej postawy. Że są ludzie, na których można liczyć, a rząd Tuska może jest przejściowym wybrykiem.

Nie wiadomo, kiedy ci żołnierze mieliby przybyć, czy to te 5 tys., które mają opuścić Niemcy, a więc ich podbieramy, i czy oznacza to budowę stałej bazy, za którą teraz rząd Tuska na wyprzódki gorliwie gardłuje. Ale wiemy jedno: rządzą nami skrajne ofermy. Można być zwykłym gamoniem, który nie potrafi analizować i przewidywać, odróżniać blefu od zamiaru, groźby od stwierdzenia faktu, ale żeby być tak skrajnym patałachem, by rządzić i nie wiedzieć, czy 8 tys. żołnierzy jest akurat w drodze i wjeżdża, czy nie wyjeżdża do Polski albo z Polski – tego jeszcze w III RP nie było.

eprasa.pl b471be45b5

Gdzie się podział „czuły n

Wypowiedzi Olgi Tokarczuk na temat sztucznej inteligencji odsłoniły sprzeczności dotyczące jej samej. Która jest prawdziwa? Ta przypominająca o roli „czułego narratora”? A może ta zachwalająca pogaduchy z chatbotem AI i lekkomyślnie odtrąbiająca koniec literatury?



MACIEJ WALASZCZYK

Po tym, jak Jamirowi Nazirowi z Trynidadu i Tobago na Karaibach przyznano prestiżową literacką nagrodę Wspólnoty Narodów, pisarz został oskarżony o to, że przy pisaniu książki „Wąż w gaju” korzystał ze sztucznej inteligencji. Wydawca i londyńska Commonwealth Foundation badają sprawę, ale różne ślady wskazują, że zarzuty mogą być prawdziwe. Np. prof. Ethan Mollick z Uniwersytetu Pensylwanii napisał wprost, że opowieść jest w 100 proc. wygenerowana przez AI. Chodzi o styl, składnię, budowę, a także mętne wyjaśnienia składane przez egzotycznego literata, który podobno ze względów zdrowotnych najpierw miał dyktować treść do smartfona, a potem, spisaną automatycznie, poprawiać. Niektórzy nie mają nawet pewności, czy Nazir w ogóle istnieje.

Jeszcze lepszy numer wycięła Olga Tokarczuk, gdy zdała bezceremonialną relację z babskich pogaduch z chatbotem AI, które miała sobie ucinać w czasie prac nad powieścią. Do tego oświadczyła, że właśnie z tego powodu literatura, którą znamy, odchodzi bezpowrotnie do lamusa.

KOCHANA SZTUCZNA INTELIGENCJO

Nie po raz pierwszy okazało się, że jeśli pozwolimy przemawiać pisarce wyniesionej ponad szczyty Parnasu, zaczyna się robić ciekawie. I nie chodzi tu tylko o jej polityczne uprzedzenia albo teorie na temat polskich kolonii, zbiorowych win czy pożytków z imigracji, niejedzenia mięsa i psychoanalizy. Idzie o hektolitry wody sodowej, rozlewające się, gdy zaczyna orzekać. Tak jak cztery lata temu w czasie festiwalu Góry Literatury, gdy stwierdziła, że literatura nie jest dla idiotów i aby czytać, trzeba mieć „jakąś kompetencję, pewną wrażliwość”. Albo ostatnio, podczas dorocznego targowiska próżności, czyli wydarzenia Impact w Poznaniu, gdzie podczas rozmowy ze Sławomirem Sierakowskim („Krytyka Polityczna”) zapowiedziała schyłek literatury. „Świat ze swoim pędem nie zasługuje już na duże, wymagające powieści. Po prostu nikt tego już nie przeczyta. Nie wiem, czy ktoś przeczytał do końca »Księgi Jakubowe«” – zastanawiała się pisarka.

Do tego doszły jej przemyślenia na temat opłacalności bycia pisarzem. „Zapewniam was, że gdyby rzetelnie przeliczyć gigantyczny trud oraz tysiące morderczych godzin spędzonych na tworzeniu »Ksiąg Jakubowych«, to moja pensja w systemie godzinowym zapewniłaby mi górniczą emeryturę” – mówiła. Chodzi o to, że po spędzeniu siedmiu lat na pisaniu tej książki, autorka poczuła się fizycznie wykończona „ślęczeniem przy klawiaturze komputera”. Każdy górnik dołowy z pewnością mógłby dodać, że aby dorobić się zawodowej emerytury po pracy „w szczególnych warunkach”, trzeba do niej dożyć. Tokarczuk narzekała też, że za pisaną latami książkę nikt nie jest w stanie odpowiednio zapłacić. Mówiła to osoba nachalnie promowana przez media, od lat nagradzana i sowicie premiowana finansowo, tłumaczona na dziesiątki języków. Mimo to zapowiedziała, że w tej sytuacji zrezygnuje z pisania długich powieści, przerzuci się na opowiadania, a do tego być może rozpocznie na stałe „symbiotyczną” współpracę ze sztuczną inteligencją.

„Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: »Kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?«” – wypaliła. I tu kolejny szok! Jej zdaniem obawy przed nową technologią są zbędne, bo taka współpraca może pozytywnie wpływać na proces twórczy – według jej słów – rozszerzać perspektywy i stymulować kreatywność. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że wykupiła najbardziej zaawansowaną wersję jednego z tzw. modeli językowych i testowała algorytm podczas pracy nad swoją najnowszą powieścią, której premiera jest zaplanowana jesienią. To znaczy – według tego, co pierwotnie mówiła – korzystała z niego „tylko do researchu, ale również budowania fabuły swoich powieści”. Algorytm miał się sprawdzić w budowie „płynnej literackiej fikcji”, stanowiąc przy pracy niewiarygodny atut. „Bywam w głębokim szoku, patrząc na to, jak fantastycznie powiększa on horyzonty i pogłębia myślenie kreatywne” – mówiła, dodając też, że maszyna popełnia błędy i miewa halucynacje.

NERWOWA REAKCJA

Wypowiedź noblistki dość szybko rozniosła się na krańce internetu. Również otoczenie autorki zareagowało natychmiast,

eprasa.pl b471be45b5

arrator”?

bo sprawa dotyczy gorącej zapowiedzi wydawniczej. Naprędce zmontowano front obrony pisarki, oskarżając atakujących i prześmiewców o podsycanie nienawiści, zazdrość i inne grzechy przypisywane polskiemu ciemnogrodowi. W specjalnym oświadczeniu Tokarczuk tłumaczyła, że jej wypowiedzi zostały źle zrozumiane i zapewniła, że nic, co dotychczas napisała – także zapowiadana powieść – nie powstało za pomocą AI.

Skoro tak ciężko żyć z pisania, być może szukano rozgłosu? 10 lipca w okolicach Nowej Rudy rozpocznie się kolejna edycja festiwalu Góry Literatury. Na inauguracyjny wieczór zapowiedziano wydarzenie promocyjne pt. „Głośna lektura fragmentów w wykonaniu autorki, ujawnienie tytułu i projektu okładki”. Wszystko to będzie można oczywiście zobaczyć i usłyszeć, kupując bilety. Następnego dnia odbędzie się głośna lektura opowiadania „Schronienie”. Wspólnie z aktorką Mają Ostaszewską zaprezentują nieznany tekst napisany podczas „rezydencji artystycznej organizowanej przez Muzeum Prado” w 2024 r. Zapewne przy tej okazji pisarka nie musiała narzekać na warunki socjalne i finansowe, korzystając ze współczesnego, a znanego w czasach PRL ośrodka pracy twórczej.

„Z racji oburzającej nagonki, która dotknęła pisarkę w związku z jej domniemanymi wypowiedziami o AI, postanowiliśmy zapoznać Państwa z tym utworem. Jego bohaterkami są bowiem... sztuczna inteligencja i stara pisarka. Niech literatura zabierze głos i odpowie na ten seans nienawiści” – czytamy w programie festiwalu.

AUTENTYCZNA KONSTERNACJA

Na razie głos zabrała „stara pisarka” i mimo zapewnień, że nową książkę pisze samodzielnie, wzięła udział w promocji cyfrowych narzędzi, które Szczepan Twardoch celnie porównał do nachalnego wciskania absurdalnie drogich garnków. Tokarczuk nie odważyła się



Fot. creativeneko/Shutterstock.com

eprasa.pl b471be45b5

bowiem przechwycić wydarzenia, rzucić jego uczestnikom w twarz kilku prawd, np. o tym, że to człowieka, a nie maszynę charakteryzuje nieuchwytne życie umysłowe albo że sztuczna inteligencja pasuje do literatury jak EPO do kolarstwa.

Wieści z Polski dotarły oczywiście za granicę, gdzie dominowała autentyczna konsternacja. Helen Charman, związana z Uniwersytetem Cambridge, ideologicznie bliska autorce, była rozczarowana jej stanowiskiem i obecnością na imprezie firmowanej przez wielkie korporacje i lansującej „cyfrową przyszłość", „technologie finansowe" czy „ekonomię AI". I choćby dlatego, że AI już teraz przyczynia się do dewaluacji literatury, także finansowo, prowadząc do przekraczania granicy oddzielającej twórczość artystyczną od wytwarzania literackich produktów na rynek, uznała, że jej postawa jest rozczarowaniem.

Występ Tokarczuk odebrano po prostu jako przejście do porządku dziennego nad obecnością sztucznej inteligencji w świecie, w którym jej obecność szkodzi. „Jak tak dalej pójdzie, zamiast dzieł stworzonych przez ludzi będziemy czytać tylko sztuczne bzdury, a zależność od sztucznej inteligencji jeszcze bardziej zuboży nas kulturowo i intelektualnie" – pisano w komentarzach jednego z dużych portali zajmujących się literaturą. Internauci podkreślali, że sztuczna inteligencja nawet na tak wczesnym etapie niepokojąco wpływa na postrzeganie tekstu, pisania, ujednolica język, prowadząc do spadku zdolności poznawczych.

POCHOPNY WYROK NA LITERATURĘ

Co w wypowiedzi Tokarczuk zaszokowało najbardziej? Apokaliptyczne w tonie wyroki, że epoka pisania książek w samotności znika bezpowrotnie, że nie będzie już literatury pisanej świadomie i indywidualnie, a ludzie przestaną czytać. Komercyjna produkcja masowa z pewnością zostanie pożarta przez komputerową inteligencję, zastępującą komercyjnych producentów czytadeł. Obserwując jednak reakcje ludzi kochających muzykę, film, poezję, malarstwo czy literaturę, widzimy, że choć widać obawę przed wdarciem się sztucznej inteligencji na pole kultury i pracy umysłowej, nikt nie mówi o kapitulacji. Ujawnia się świadomość wyjątkowości ludzkiej twórczości, głosy zachęcające do odręcznego pisania, podporządkowania cyfrowych narzędzi sobie, a nie na odwrót, czytania tradycyjnych papierowych książek, dawnych wydań nieocenzurowanych przez cyfrowych wydawców i lewicowych ideologów. Nie ma wątpliwości, że człowiek pozostaje tym, kim był zawsze – spiskowcem ducha.

Gdzie więc podział się ów „czuły narrator", który miał nas ocalić? Czy była to tylko intelektualna kreacja na użytek przyjęcia literackiego Nobla? W mowie wygłoszonej w 2019 r. pisarka wyznawała przecież, że na jej całe życie wpłynęła krótka rozmowa z mamą, której sens uświadomić miał jej własne istnienie – poza materialnością, przypadkowością, matematycznymi regułami i wszystkim, co sztuczne. „Umieściła je niejako poza czasem, w słodkim pobliżu wieczności, dając duszę, a więc wyposażając w najlepszego na świecie czułego narratora" – przekonywała. Więcej, protestowała przeciw banalizacji kultury i życia, która strąciła mieszkańców Olimpu do seriali telewizyjnych, a herosów zredukowała do rozmiarów Lary Croft. W jednym z wywiadów podkreślała, że literatura stawia pytania, na które „nie da się odpowiedzieć przy pomocy Wikipedii". Czy więc dziś pomoże odpowiadać na nie mechaniczna zabawka zwana chatbotem AI?

Mimo opublikowanego oświadczenia precyzującego, w jaki sposób mamy rozumieć to, co mówiła w czasie zapewne komercyjnego występu, upchanego między spotkania ze „speakerami", takimi jak Marta Cienkowska, Miłosz Motyka czy Jakub Rutnicki, sytuacja rodzi pytania o szczerość tego, co twierdzi pisarka.

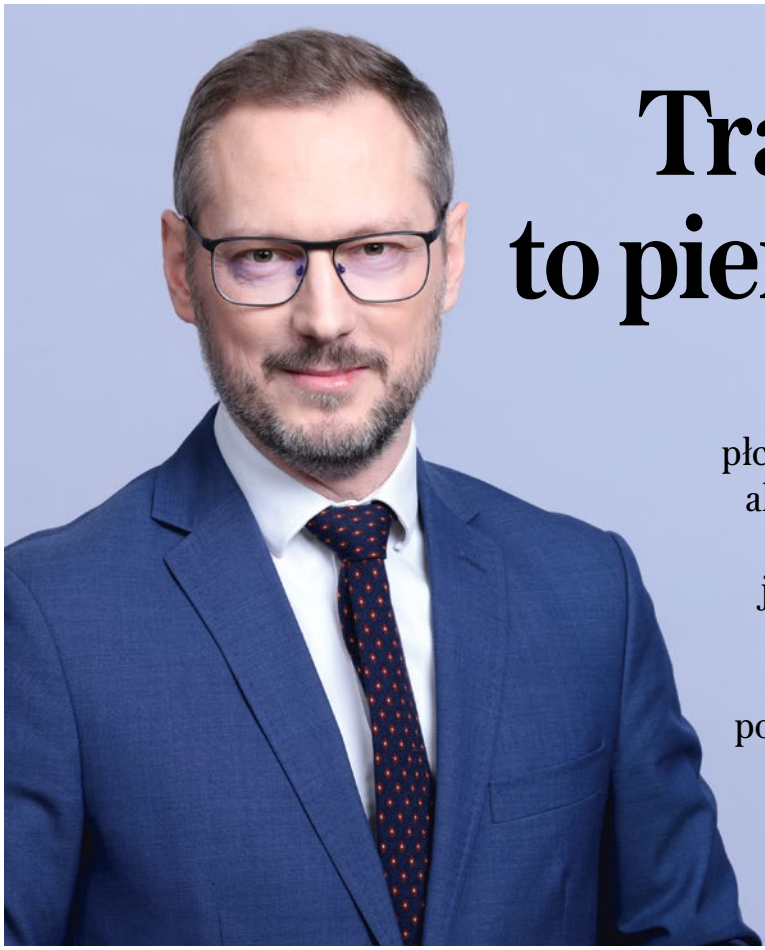
NOWOCZESNY KONFORMIZM?

Która Olga Tokarczuk jest prawdziwa? Ta potrafiąca opowiadać o tajemnicy istnienia, magii i psychologii? Autorka „Prawieku i innych czasów", opowieści z pogranicza jawy i snu, wyznawała kiedyś, że aby tworzyć, znalazła w sobie – zachowującego dystans także wobec niej samej – Obserwatora. Mieszała kabałę i alchemię, badała sens snów. Również w wydanym oświadczeniu przypomniała, że wciąż inspiruje się snami i że są to jej własne sny. „Tematy podróżują po świecie jak nasiona dmuchawca" – mówiła w 1999 r., wyjaśniając, że niektóre wątki ze swoich powieści znajduje u innych autorów. Wydając „Lalkę i perłę", wprost nawiązywała do dzieła Prusa, radząc, by szukać w niej tego, co wieloznaczne i zakotwiczone w nieświadomości. W czasach pozbawionych mitów próbowała zbudować własny mit.

Ks. Jerzy Szymik, poeta i teolog, zwracał uwagę, że jej literaturę można potraktować jak sejsmograf rejestrujący duchowe „ruchy tektoniczne" naszej epoki, bez względu na to, czy uważamy je za dobre, czy złe. Oczywiście nie wszyscy jej wierzyli. Już w latach 90. krytycy tacy jak Dariusz Nowacki demaskowali jej pisarstwo jako konformistyczne, a nawet kicz będący częścią show-biznesu. Dzisiaj autorka swoimi wypowiedziami o zarabianiu pieniędzy niejako potwierdza te sugestie.

Filozof Wawrzyniec Rymkiewicz, a także Tomasz Rowiński celnie obsadzili ją w roli reprezentantki kultury „nowego mieszczaństwa" postkomunistycznego uformowanego po 1989 r. Będącego w mniejszości, ale dominującego establishmentu. Tokarczuk ze swoim radykalnym ekologizmem, feminizmem, wielokulturowością i nieustannym przezwyciężaniem narodowych symboli stała się bowiem modnym wyrazicielem poglądów tej grupy, tak jak Rafał Trzaskowski uosobieniem jej politycznych aspiracji. Dlatego odniosła sukces. „Prawiek..." przyniósł Paszport „Polityki" i nagrodę nieistniejącej już „Machiny", Nagrodę Kościelskich, potem Nagrodę Literacką „Nike", a w końcu Nobla. By dopełnić obrazu, już wiele lat temu Tokarczuk odebrała niemiecką nagrodę Brücke Berlin w kategorii literatura i tłumaczenie. Po swym ślązakowskim coming oucie został nią uhonorowany także Szczepan Twardoch, a ostatnio Czeszka Radka Denemarková, która – podobnie jak Tokarczuk – porusza „tematy niewygodne", ale wygodne z perspektywy niemieckiej polityki historycznej, takie jak antysemityzm i „wypędzenie Niemców". Zapowiadana nowa powieść ma dotyczyć właśnie nowego spojrzenia tożsamość Ziem Odzyskanych.

eprasa.pl b471be45b5



Transkrypcja to pierwszy krok

Sama transkrypcja zagranicznych aktów „małżeństw" osób tej samej płci nie daje uprawnień małżeńskich, ale otwiera front sądowy, na którym uprawnienia mają być wyrywane jedno po drugim – przed Urzędem Skarbowym, ZUS, w sprawach spadkowych. Aż wreszcie ktoś powie: skoro te związki są już niemal małżeństwami, zalegalizujmy je formalnie. Stąd waga społecznego sprzeciwu

Z Rafałem Dorosińskim, członkiem Zarządu Instytutu Ordo Iuris, autorem książki „W obronie małżeństwa. Odpowiedź na uderzenie w fundament cywilizacji", rozmawia Goran Andrijanić

Urzędy stanu cywilnego w Warszawie i Wrocławiu dokonały pierwszych w Polsce transkrypcji zagranicznych aktów „małżeństw" osób tej samej płci. Według pana i innych ekspertów jest to działanie niekonstytucyjne. Na czym polega problem?

Rafał Dorosiński: Polskie prawo jest w tej kwestii jasne. Zarówno konstytucja w art. 18, jak i Kodeks rodzinny w art. 1 mówią o małżeństwie jako o związku kobiety i mężczyzny. Takie rozumienie małżeństwa należy do „podstawowych zasad porządku prawnego RP", co wynika zarówno z umieszczenia art. 18 w pierwszym rozdziale konstytucji, jak i z utrwalonego orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego. Zagraniczny akt „małżeństwa" osób tej samej płci jest więc sprzeczny z podstawowymi zasadami porządku prawnego RP, a skoro tak, to kierownik urzędu stanu cywilnego ma obowiązek odmowy jego transkrypcji, czyli przeniesienia do polskiego rejestru stanu cywilnego. Stanowi o tym wprost klauzula porządku publicznego zawarta w art. 107 prawa o aktach stanu cywilnego. Kierownik urzędu stanu cywilnego, który mimo to dokonuje takiej transkrypcji, łamie ustawę.

Prezydenci Warszawy i Wrocławia powołują się jednak na listopadowy wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie Cupriak-Trojan, zgodnie z którym państwa członkowskie mają obowiązek uznania małżeństwa dwojga obywateli UE zawartego w innym państwie członkowskim. Wielu ekspertów uważa, że TSUE w tym wyroku przekroczył kompetencje.

Bo przekroczył. To wynika wprost z brzmienia przepisów unijnych. Art. 5 ust. 2 traktatu o UE mówi: „Unia działa w granicach kompetencji przyznanych jej przez Państwa Członkowskie". Katalog tego, co zostało przekazane Unii – zawarty w art. 3 i 4 traktatu o funkcjonowaniu UE – nie obejmuje materialnego prawa małżeńskiego i rodzinnego. Jakby tego było mało, TSUE oparł rozstrzygnięcie m.in. na Karcie Praw Podstawowych UE, ignorując to, że w stosunku do Polski stosuje się protokół nr 30. Jest on integralną częścią prawa pierwotnego Unii i w art. 1 ust. 1 stanowi wprost, że Karta nie rozszerza zdolności TSUE do uznawania polskich regulacji za niezgodne potwierdzonymi w niej prawami i zasadami. TSUE zrobił dokładnie to, czego prawo pierwotne UE zakazuje mu robić.

Czyli TSUE uderzył w tej sprawie w suwerenność Rzeczypospolitej. Czy Polska może ją odzyskać?

Fot. Ordo Iuris

eprasa.pl b471be45b5

Bądźmy precyzyjni. Aby coś odzyskać, najpierw trzeba to stracić. A Polska nigdy nie pozbyła się suwerenności w tej materii. Nie idzie więc o odzyskiwanie, lecz o obronę czegoś, co chce się nam odebrać.

Co robić w tej sytuacji?

Sąd Najwyższy w uchwale z 3 grudnia 2025 r. wskazał, że niedopuszczalne jest powoływanie się na orzeczenia TSUE wydane ultra vires w celu odmowy zastosowania ustaw polskich w materiach zastrzeżonych dla polskiego ustawodawcy. To właściwa odpowiedź – niestosowanie wyroku TSUE. Nie jest to przy tym żadna polska ekstrawagancja. Sądy chociażby Danii, Czech czy Niemiec odmawiały już wykonania wyroków TSUE wykraczających poza przekazane kompetencje. Powoływanie się na zasadę przyznania kompetencji to nie bunt przeciwko prawu unijnemu, lecz jego obrona.

Tyle że w Polsce nie wszystkim na tym zależy. Przykładem jest Naczelny Sąd Administracyjny, który już kilkakrotnie zobowiązał urzędy stanu cywilnego do dokonania transkrypcji.

Nawet więcej. NSA wręcz sprowokował wyrok TSUE, „zachęcił" do jego wydania. Bo przecież cała sekwencja zdarzeń ma swój początek nie w Luksemburgu, lecz w Warszawie. Po tym, jak skarga na odmowę transkrypcji niemieckiego aktu „małżeństwa" trafiła do NSA, sąd ten powinien albo utrzymać odmowę w mocy – był bowiem związany uchwałą siedmiu sędziów NSA z 2019 r., uznającą transkrypcję takiego aktu za niedopuszczalną – albo w przypadku podjęcia wątpliwości zwrócić się do składu siódemkowego, do czego jest ustawowo zobowiązany. Nie zrobił ani tego, ani tego. Zwrócił się za to do TSUE z pytaniem prejudycjalnym sformułowanym tak, że już z samej jego treści można było wyczytać oczekiwaną odpowiedź. Sądy nie stanowią jednak prawa – wyrok NSA nie ma mocy prawotwórczej, jest wiążący tylko w konkretnej sprawie. Art. 18 konstytucji, art. 1 par. 1 KRiO, art. 107 pkt 3 PASC obowiązują w niezmienionym brzmieniu.



Mimo to rząd powołuje się na oba wyroki i zapowiada zmianę rozporządzenia określającego wzór aktu małżeństwa.

To prawda. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że oba te wyroki – TSUE i NSA – służyły właśnie temu, by uznawanie zagranicznych „małżeństw" jednopłciowych wyglądało nie na decyzję polityczną, lecz na konieczność dostosowania się do prawa europejskiego. Tymczasem rozporządzenie ministra cyfryzacji, które ma wprowadzić nowy wzór aktu małżeństwa z dwiema identycznymi rubrykami „Mężczyzna/Kobieta – wybrać odpowiednie", jest oczywiście niekonstytucyjne. Akt wykonawczy nie może modyfikować ani konstytucji, ani ustaw. Może wykonywać wyłącznie to, co wyraźnie nakazuje ustawa (art. 92 konstytucji). Tymczasem rozporządzenie próbuje zredefiniować samą instytucję małżeństwa.

Jakie są praktyczne konsekwencje tych posunięć koalicji rządzącej i czy można je cofnąć?

Co do samego rozporządzenia, będzie można wystąpić z wnioskiem o zbadanie jego zgodności z konstytucją. Może to zrobić m.in. grupa 50 posłów albo prezydent RP. Gdyby rozporządzenie się ostało, po wyborach nowy minister będzie mógł je zmienić jednym aktem. Do tego czasu zostanie jednak dokonana określona liczba transkrypcji. Część transkrybowanych aktów zostałaby zapewne unieważniona sądowo, ale część prawdopodobnie pozostanie. Dlatego kluczowe znaczenie ma zamknięcie drogi do wywodzenia z nich skutków materialnoprawnych. Jeżeli ustawodawca jednoznacznie potwierdzi to, co i tak wynika z art. 18 konstytucji – że taki związek jako sprzeczny z porządkiem prawnym RP nie ma na jej terytorium skutków przewidzianych dla małżeństwa – pozostałe w obiegu akty sprowadzą się do adnotacji bez konsekwencji prawnych. Martwa litera w rejestrze. W Ordo Iuris przygotowujemy projekt ustawy, który ma służyć właśnie temu. Podobny efekt może przynieść rozstrzygnięcie Trybunału Konstytucyjnego w toczącej się już sprawie K 10/26, w której TK ma rozstrzygnąć, czy NSA wyrokiem z 20 marca 2026 r. nie przekroczył granic władzy sądowniczej, tworząc – w drodze precedensu – normę prawną, której polski porządek konstytucyjny nie zna.

Zostawmy na chwilę transkrypcję. U jej źródła tak naprawdę leży głębszy spór – o to, co właściwie mówi art. 18 konstytucji. Pojawia się argument, że przepis ten obejmuje wprawdzie szczególną ochroną związek kobiety i mężczyzny, ale nie wyklucza ustawowego uregulowania innych form związków. Jak pan to ocenia?

To osobliwa próba interpretacyjna, która zakłada, że przepis konstytu-

Fot. Fratria

eprasa.pl b471be45b5

cyjny w istocie nic nie znaczy. Bazuje ona na rozumieniu „ochrony" w sposób w gruncie rzeczy bezobjawowy – ochrony, która nie wywołuje żadnych skutków prawnych. Tymczasem – co rozwijałem w swojej książce – orzecznictwo Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego pokazuje, że ochrona małżeństwa ma dwa wymiary: negatywny i pozytywny.

Wymiar negatywny to zasada wyłączności – uprawnienia przysługujące małżonkom nie przysługują innym związkom. Dopuszczenie „zamienników" – związku partnerskiego, sformalizowanego konkubinatu czy jakkolwiek byśmy tego nie nazwali – rozpoczyna proces szybkiego niwelowania różnic, prowadzący do stopniowej degradacji samego małżeństwa. Warunkiem ochrony jakiejkolwiek instytucji społecznej jest zachowanie jej wyłączności w jej właściwej domenie życia społecznego, co pozwala jej utrzymać strukturę, funkcje i kulturę (normy, „ducha"). Bez tego „ochrona" małżeństwa staje się jałowym pustosłowiem.

Wymiar pozytywny to konkretne przywileje przysługujące małżonkom – ulgi podatkowe, świadczenia rodzinne, prawo do odmowy zeznań, dziedziczenie ustawowe, prawo do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Im szersza grupa „uprzywilejowanych", tym przywilej mniej znaczy, a gdy staje się powszechny, w ogóle przestaje być przywilejem. Poza tym w przypadku małżeństwa społeczeństwo ma racjonalne powody, by te przywileje przyznawać – jest ono naturalną przestrzenią prokreacji i wychowania dzieci. W przypadku układów jednopłciowych takich powodów nie ma.

W obu więc wymiarach – negatywnym i pozytywnym – ochrona małżeństwa wymaga jego wyłączności. Inaczej *de facto* nie jest ochroną.

Rozmawialiśmy o prawie i o próbie reinterpretacji art. 18 konstytucji. Ale za tym wszystkim stoi określona ideologia – z własną historią i własnymi celami. Jak by pan ją opisał?

Warto sięgnąć do historii, by przekonać się, że prezentowany dziś obraz – jakoby środowiska homoseksualne od zawsze marzyły o małżeństwie, a opresyjne państwo im je odbierało – jest nieprawdziwy. Aktywiści i teoretycy homoseksualni od dziesięcioleci wyrażali krytyczne stanowisko wobec instytucji małżeństwa. Postrzegali ją jako narzędzie patriarchalnej i heteronormatywnej opresji, które utrwalało nierówności społeczne i ograniczało wolność jednostki. Przykładowo kluczowy dla ukształtowania ideologii „ruchu wyzwolenia gejów" manifest „Refugees from Amerika: A Gay Manifesto" z 1970 r. stwierdza: „Tradycyjne małżeństwo to zgniła, opresyjna instytucja. […] Małżeństwo to kontrakt, który dusi obie strony, zaprzecza ich potrzebom i stawia przed nimi niemożliwe do spełnienia wymagania".

> Zagraniczny akt „małżeństwa" osób tej samej płci jest więc sprzeczny z podstawowymi zasadami porządku prawnego RP, a skoro tak, to kierownik urzędu stanu cywilnego ma obowiązek odmowy jego transkrypcji

Cała historia tego ruchu w obszarze prawa rodzinnego koncentrowała się na podważaniu dominującej koncepcji rodziny i popularyzowaniu „pluralizmu rodzinnego", który promuje niekonwencjonalne i pozamałżeńskie formy rodzinne. Jej hasłem była rewolta, burzenie. Dlatego aktywiści sprzeciwiali się samej idei „małżeństwa jednopłciowego" – uważali, że domaganie się małżeństwa byłoby zdradą projektu rewolucji obyczajowej, bo oznaczałoby przyjęcie norm, które chcieli zniszczyć.

Mimo tego oporu dla części środowiska LGBT+ staje się jednak jasne, że polityka konfrontacyjna połączona z frontalnym atakiem na małżeństwo i postulatami jego likwidacji nie zdobywa poparcia społecznego. W 1990 r. następuje trzęsienie ziemi: ukazuje się książka „After the Ball", która wywraca do góry nogami podejście LGBT+. Rozpoczyna się od słów: „Homoseksualna rewolucja poniosła porażkę. Niecałkowitą i nieostateczną, ale jednak porażkę". Po czym autorzy, specjaliści od psychologii i marketingu, proponują: „praktyczny – podkreślmy, praktyczny – plan. […] Kampania, którą przedstawiamy w tej książce, choć złożona, opiera się głównie na programie bezwstydnej propagandy, mocno osadzonym w sprawdzonych zasadach psychologii i reklamy".

Książka doprowadza do wykrystalizowania się nowej doktryny politycznej środowisk homoseksualnych, która będzie konsekwentnie realizowana przez kolejne dekady – strategia dwóch celów. Cel pierwszy: stworzyć „rzeczywiste alternatywy dla małżeństwa", a więc osłabić je od zewnątrz przez wprowadzenie konkurencyjnych form prawnych („status osoby najbliższej w związku" czy związki partnerskie). Cel drugi: zredefiniować samo małżeństwo, dekonstruować je od środka. Nie chodzi o włączenie nowych osób do istniejącej instytucji, lecz o zmianę samej instytucji.

A jak ta strategia przekłada się na polską rzeczywistość? Czy transkrypcja, od której zaczęliśmy, jest w niej przypadkowym epizodem?

Wręcz przeciwnie. Sama nie daje uprawnień małżeńskich, ale otwiera front sądowy, na którym uprawnienia mają być wyrywane jedno po drugim – przed Urzędem Skarbowym, ZUS, w sprawach spadkowych. Aż wreszcie ktoś powie: skoro te związki są już niemal małżeństwami, zalegalizujmy je formalnie. Stąd waga społecznego sprzeciwu. Te zmiany udają się tam, gdzie ludzie ich nie zauważają, a są blokowane tam, gdzie społeczeństwo mówi „nie".

eprasa.pl b471be45b5

W obliczu bezprecedensowej rewolucji nowych technologii papież Leon XIV w swojej pierwszej encyklice „Magnifica humanitas” stawia na obronę godności osoby ludzkiej, podkreślając konieczność rozeznania moralnego w dobie rozwoju AI



PIOTR SŁABEK



Troska o człowieka w okresie rewolucji cyfrowej

To ważny głos Kościoła w szerokiej dyskusji. Podobnie jak Leon XIII w encyklice „Rerum novarum” odpowiedział na wyzwania rewolucji przemysłowej, Leon XIV podejmuje dziś refleksję nad przemianą cyfrową, wskazując, że rozwój technologii nie może być oddzielony od troski o człowieka, wspólnego dobra, sprawiedliwości i pokoju.

Zakres, wszechobecność, wręcz dominacja nowoczesnych technologii jest zupełnie wyjątkowa i niespotykana w dziejach ludzkości. Nowe technologie w większym stopniu niż wcześniej kształtują procesy myślenia, decyzje, głęboko oddziałują na wyobraźnię. Stwarzają nowe możliwości, lecz długofalowe skutki dokonywanych przez nie zmian są trudne do przewidzenia. Dzięki zdumiewającemu tempu rozwoju sztuczna inteligencja wyprzedza refleksje i uregulowania, które jej dotyczą.

Encyklika przypomina, że technologia sama w sobie nie jest wrogiem człowieka, ale nie jest też neutralna: przyjmuje oblicze tych, którzy ją projektują, finansują, regulują i wykorzystują.

„Wszyscy – także ci, którzy je projektują – niewiele wiemy o ich rzeczywistym funkcjonowaniu. Współczesne systemy sztucznej inteligencji są bowiem bardziej hodowane niż konstruowane: twórcy nie projektują bezpośrednio każdego ich szczegółu, lecz tworzą architekturę, na której AI się rozwija.

W konsekwencji podstawowe aspekty naukowe – takie jak wewnętrzne reprezentacje i procesy obliczeniowe tych systemów – pozostają obecnie nieznane.

Tym pilniej ujawnia się potrzeba podjęcia podwójnego wysiłku: z jednej strony pogłębiania badań naukowych, z drugiej – praktykowania rozeznawania moralnego i duchowego” („Magnifica humanitas”, 98).

Papież stwierdza: „Niegdyś to przede wszystkim państwa prowadziły i ukierunkowywały innowacje. Dziś natomiast głównymi motorami rozwoju są podmioty prywatne, często ponadnarodowe, dysponujące zasobami i zdolnością oddziaływania większymi niż wiele rządów. Władza technologiczna przybiera zatem nowe oblicze, w przeważającej mierze prywatne, a przez to jest jeszcze trudniejsza do rozeznania, uporządkowania i ukierunkowania ku dobru wspólnemu.

Dlatego trzeba podjąć wspólne rozeznanie, zdolne dotrzeć do duchowych i kulturowych korzeni dokonujących się przemian” („Magnifica humanitas”, 5, 6).

Ojciec święty ostrzega przed „iluzją relacji”, erozją więzi społecznych oraz samotnością. Przypomina, że nawet w świecie al-

Fot. HANDOUT/AFP/East News

eprasa.pl b471be45b5

gorytmów, automatyzacji i sztucznej inteligencji najważniejsze pozostaje to, czego żadna maszyna nie może zastąpić: ludzkie sumienie, serce otwarte na drugiego człowieka, zdolność do słuchania, odpowiedzialność, solidarność i pragnienie dobra wspólnego.

PUŁAPKI AI

Leon XIV z wielką psychologiczną i duszpasterską precyzją analizuje zagrożenia związane z powszechnym, prywatnym użytkowaniem sztucznej inteligencji. Wskazuje na trzy fundamentalne pułapki:

– Łatwość uzyskania wyniku: błyskawiczne otrzymywanie gotowych rozwiązań, tekstów czy analiz zwalnia nas z wysiłku myślenia. Przyzwyczaja do intelektualnego lenistwa, drastycznie osłabiając osobisty osąd i ludzką kreatywność.

– Wrażenie obiektywności: komunikaty generowane przez AI wydają się neutralne i bezstronne. To iluzja. Algorytmy zawsze odzwierciedlają parametry kulturowe, błędy oraz ideologiczne założenia ludzi, którzy je trenowali. Często są odbiciem poglądów i opinii, które zdominowały sieć internetową. Pod pozorem czystej matematyki przemycane są konkretne uprzedzenia.

– Symulacja komunikacji ludzkiej. To prawdopodobnie najbardziej niebezpieczny obszar. Generatory języka potrafią doskonale naśladować empatię, współczucie, udzielać rad, a nawet symulować miłość i przyjaźń.

„Sztuczne naśladowanie pozytywnej komunikacji ludzkiej – słów rady, empatii, przyjaźni, miłości – może być satysfakcjonujące, a nawet użyteczne, ale niewystarczająco świadomych użytkowników może wprowadzać w błąd i stwarzać złudzenie, że pozostają oni w relacji z autentycznym podmiotem osobowym. Gdy słowo jest symulowane, nie buduje relacji, lecz jedynie jej pozór. Sztuczne naśladowanie relacji opiekuńczej lub towarzyszenia może stać się niebezpieczne, gdy wkrada się w kontekst ubogi w realne relacje i uczucia: wówczas istnieje ryzyko nie tylko tego, że jakaś osoba uwierzy, iż rozmawia z inną osobą, lecz tego, że utraci samo pragnienie rzeczywistego szukania drugiego człowieka" („Magnifica humanitas", 100).

Warto mieć świadomość, że zasadniczym celem tych systemów jest przynoszenie zysku ich właścicielom.

Zastosowanie sztucznej inteligencji w instytucjach publicznych, bankowości czy sądownictwie niesie za sobą ryzyko zautomatyzowanego wykluczenia. Algorytmy decydują o przyznaniu kredytu, ocenie pracownika. Narzędzia te – pozbawione zdolności do miłosierdzia, przebaczenia i dostrzeżenia nadziei na przemianę człowieka – działają bezdusznie.

Kiedy człowiek zostaje odrzucony przez system, brakuje nawet osobowego podmiotu, przed którym można zaprotestować. Niesprawiedliwość staje się milcząca, ubrana w szaty nieomylnej statystyki.

Papież dotyka kwestii, która w powszechnej świadomości niemal nie istnieje: „Obecne systemy AI wymagają wielkich ilości energii i wody, w znaczący sposób wpływają na emisję dwutlenku węgla i intensywnie zużywają zasoby" („Magnifica humanitas", 101).

Papież wnikliwie analizuje świat nowoczesnej technologii. Punktem wyjścia są dwa żywe obrazy biblijne, które pokazują, jak ludzkość może się rozwijać w sposób odpowiedzialny i integralny.

„Pierwszym wyborem nie jest wybór między »tak« a »nie« dla technologii, lecz między władzą, która rości sobie pretensję do panowania nad niebem, a ludem, który – w obecności Boga – podejmuje zgodnie pracę nad odbudową murów braterskiego współistnienia" („Magnifica humanitas", 9).

Leon XII przypomina o misji Kościoła odczytującego znaki czasu, prowadzącego dialog ze współczesną nauką. „Konfrontacja z [naukowymi] dziedzinami wiedzy nie osłabia mocy Ewangelii; przeciwnie, pozwala z większą jasnością rozpoznać to, co rzeczywiście służy życiu osób i wspólnot. Papież Franciszek podkreślał, że w wielu kwestiach szczegółowych Kościół nie rości sobie prawa do formułowania »definitywnych rozwiązań«, lecz uznaje znaczenie wsłuchiwania się w badania naukowe i wspierania rzetelnego oraz uczciwego dialogu między uczonymi z poszanowaniem różnorodności opinii.

Pojmowanie prawdy jako daru, którym należy się dzielić, a nie jako własności, do której trzeba rościć sobie prawo, wyzwala Kościół z pokusy oglądania się z tęsknotą ku formom obecności opartym na władzy" („Magnifica humanitas", 24, 25).

DLA DOBRA WSPÓLNEGO

Dokument wskazuje na fundamentalne zasady: człowiek jest obrazem Boga, a rozwój techniczny musi być podporządkowany dobru wspólnemu, solidarności oraz sprawiedliwości społecznej.

Papież poddaje krytyce sytuację, w której technologia i władza cyfrowa stają się ważniejsze od etyki. Odrzuca prądy filozoficzne, które dążą do technologicznego „ulepszenia" lub całkowitego zastąpienia natury ludzkiej przez maszyny. Przypomina, że serce, sumienie i łaska Boża to wartości, których sztuczna inteligencja nigdy nie posiądzie.

Ojciec Święty wzywa do walki z dezinformacją, ochrony pracowników przed bezrobociem wywołanym automatyzacją oraz obrony młodych przed uzależnieniem cyfrowym i inwigilacją.

Na koniec dokument przeciwstawia „cywilizacje dominacji i kult siły" – w tym użycie sztucznej inteligencji w celach wojskowych – chrześcijańskiej „cywilizacji miłości", wzywając do pokoju, dialogu i dyplomacji. Papież wskazuje na Chrystusa i pieśń „Magnificat" jako źródła nadziei i wezwanie do aktywnego budowania lepszego jutra.

„Uznanie, że każda kobieta i każdy mężczyzna noszą w sobie niezbywalną godność oraz prawa, których żadna ludzka władza nie może naruszyć ani przekreślić, domaga się kształtowania sposobu, w jaki żyjemy razem, naszych wyborów ekonomicznych i politycznych oraz konkretnego oblicza naszych miast. Stąd rodzi się pierwsza wielka zasada nauki społecznej, którą pragnę przypomnieć: dobro wspólne. Możemy je określić jako społeczny kształt godności uznanej w każdym człowieku.

Dla chrześcijanina bowiem wyjście z ciasnego świata własnych interesów i zaangażowanie – na miarę własnych możliwości – na rzecz dobra wspólnego jest wartością nienegocjowalną, podobnie jak obrona życia" („Magnifica humanitas", 59).

eprasa.pl b471be45b5



Kajdanki zamiast pomocy

18-letni student rachunkowości i finansów polskiego pochodzenia został ugodzony nożem przez sikha. Brytyjska policja, zamiast pomóc wykrwawiającemu się chłopakowi, skuła go kajdankami, bo miał „rasistowsko" obrazić swojego mordercę

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Irlandia przeżywa właśnie naładowaną rasowo psychodramę na wzór tego, co działo się w Stanach Zjednoczonych po śmierci George'a Floyda. Tak przynajmniej sugerowały nagłówki gazet dotyczące śmierci 35-letniego Yves'a Sakili, pochodzącego z Demokratycznej Republiki Konga. W marcu mężczyzna zmarł w szpitalu po tym, jak został obezwładniony przez ochroniarzy sklepu w Dublinie, który próbował okraść. Jeden z ochroniarzy przez pięć minut klęczał na jego szyi. Okoliczności jego śmierci wciąż są badane, ale jak dotąd nie ma dowodów na to, że padł on ofiarą rasizmu. Akta sądowe wskazują, że Sakila był recydywistą – w przeszłości był wielokrotnie karany za kradzież i napady rabunkowe.

Nie powstrzymało to aktywistów i części establishmentu przed wykorzystaniem tragedii do napędzania kampanii rasistowskich pretensji. Rozpoczęły się czuwania, którym towarzyszyły żądania sprawiedliwości rasowej. Przemawiając w zeszłym tygodniu do licznego tłumu na Merrion Square, lewicowa senator Eileen Flynn stwierdziła, że „siedmiu mężczyzn" „zamordowało czarnoskórego mężczyznę" i że Sakila by nie umarł, „gdyby był biały". Ciekawe, co by na to powiedzieli bliscy Henry'ego Nowaka, 18-letniego studenta rachunkowości i finansów o polskim pochodzeniu, zadźganego nożem na ulicy w brytyjskim Southampton.

OSKARŻENIE O RASIZM

Student pierwszego roku z Chafford Hundred w hrabstwie Essex zginął 3 grudnia, gdy wracał z nocnej imprezy. Szedł, śpiewając pod nosem, gdy zderzył się z 23-letnim Vickrumem Digwą, synem imigranta z Indii i sikhem. Tego, co się później wydarzyło, nie udało się w pełni zrekonstruować. Wiadomo, że Digwa pięciokrotnie dźgnął Nowaka 21-centymetrowym religijnym sikhijskim ostrzem, znanym jako kirpan. Chociaż w Wielkiej Brytanii noszenie przy sobie noży jest zakazane, dla sikhów robi się wyjątek ze względów religijnych. Digwa dźgnął studenta w serce oraz z tyłu w obie nogi, co sugeruje, że chłopak usiłował uciec, a napastnik za nim podążał. Wiadomo też, że Nowak usiłował przeskoczyć ogrodzenie do pobliskiego przydomowego ogródka, by się ratować. Daremnie.

W toczącym się w Southampton Crown Court procesie ława przysięgłych usłyszała, że Nowak był pod wpływem alkoholu, choć badania wykazały, że stężenie mieściło się w granicach limitu dopuszczalnego dla kierowców, czyli poniżej 0,8 promila. Według prokuratora Nicholasa Lobbenberga student przed śmiercią wysyłał znajomym nagrania w aplikacji Snapchat. Na jednym z nich uwiecznił moment spotkania z Digwą. W pochwie zawieszonej na jego szyi tkwił nóż. Między mężczyznami doszło do wymiany zdań. Na nagraniu słychać, jak Nowak mówi: „Jesteś złym człowiekiem, powiedz, że jesteś złym człowiekiem", na co Digwa odpowiedział twierdząco. Chwilę później nagranie się urwało.

Jednak o wiele bardziej szokująca od samego incydentu jest reakcja policji.

Fot. P.Cartwright/Shutterstock.com, Facebook

eprasa.pl b471be45b5

Gdy przybyła na miejsce, zignorowała prośby o pomoc wykrwawiającego się na chodniku studenta, tylko skuła go kajdankami, bo Digwa stwierdził, że Nowak rasistowsko go obraził i zerwał mu turban z głowy. Gdy policjanci zorientowali się, że chłopak ma rany kłute, było już za późno. Stracił przytomność i zmarł. Ostatnie słowa Nowaka brzmiały: „Nie mogę oddychać".

POLECENIE DLA ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH

Podczas procesu Digwa powtórzył, że użył noża „w obawie o swoje życie", a jego ofiara wykrzykiwała pod jego adresem rasistowskie hasła. Prokurator nazwał to „wierutną bzdurą". „To, że Nowak był pijany, jest kłamstwem, to, że groził, że zabije Digwę, jest kłamstwem, jak i jego rzekomy rasizm. Powodem, dla którego Digwa wypowiada te kłamstwa, jest fakt, że stara się ukryć to, co zrobił. Rasizm jest jego kartą przetargową. Było to podłe kłamstwo o umierającym człowieku i teraz jest to podłe kłamstwo o zmarłym. Henry był nieuzbrojonym młodym mężczyzną. Miał tylko telefon. Tu nie chodzi o sikhizm ani o rasizm, tylko o morderstwo" – zaznaczył prokurator.

Według Lobbenberga matka Digwy, 53-letnia Kiran Kaur, zabrała narzędzie zbrodni i ukryła je, dlatego odpowiada przed sądem za pomoc sprawcy i matactwo. A brytyjskie media – w każdym razie te prawicowe – zastanawiały się, czy Digwa uniknie surowej kary, bo jest sikhem, należy więc do mniejszości etnicznej i religijnej. Tym bardziej że przewodniczący, sędzia William Mousley, polecił ławnikom rozważenie nieumyślnego spowodowania śmierci jako alternatywy dla wyroku za morderstwo. Sędzia wyjaśnił, że jeśli ławnicy uznają, iż Digwa nie zamierzał zabić lub poważnie skrzywdzić Nowaka, „nie powinien zostać skazany za morderstwo".

Poseł torysów David Davis skrytykował to, co nazwał „pozornym poleceniem sędziego dla ławy przysięgłych", zauważając, że „noszenie ośmiocalowego noża jest nielegalne z bardzo nielicznymi wyjątkami, które nie obejmują »samoobrony«". „Nie wiem, co się obecnie dzieje z naszym wymiarem sprawiedliwości i nie jestem odosobniony w tych obawach" – dodał.

Na szczęście ławnicy nie posłuchali Mousleya. Po dwóch dniach deliberacji uznali Digwę za winnego morderstwa, a jego matkę za winną udzielenia pomocy przestępcy. Według BBC podczas odczytywania werdyktu Kaur wydawała się wyraźnie zdenerwowana, podczas gdy jej syn nie okazywał żadnych emocji. Na sali sądowej było słychać szlochy, a rodzice Nowaka westchnęli i obejmując się, opuścili salę.

PODWÓJNE STANDARDY

W przeciwieństwie do Yves'a Sakili w Irlandii Nowak nie doczekał się czuwania w jego imieniu ani wieców i marszów oburzenia z powodu jego śmierci. W końcu był biały, a sprawca jest migrantem, więc reakcja świata polityki i aktywistów wypadła bardziej niż skromnie.

Niektóre media podniosły jednak temat „podwójnych standardów" w pracy policji, która – po przejściu w ostatnich latach przez funkcjonariuszy licznych szkoleń w dziedzinie różnorodności – traktuje rasizm poważniej niż nawet morderstwo. „Polityka niemal automatycznego aresztowania za każde oskarżenie o rasistowską zniewagę, niezależnie od okoliczności, jest rażąco jednostronnym wykorzystaniem zasobów policyjnych. Policja jest rzekomo szkolona do działania proporcjonalnego, co oznacza pamiętanie o priorytetach, jakimi są utrzymanie porządku i zapobieganie przestępczości. Takie wydarzenia stanowią niepokojący argument dla tych, którzy twierdzą, że policja nadmiernie koncentruje się na przestępstwach słownych, zamiast, powiedzmy, na włamaniach, kradzieżach samochodów czy kradzieżach sklepowych, które dotykają znacznie więcej z nas" – czytamy na łamach „The Spectator". Oznacza to również łagodniejsze traktowanie ciemnoskórych przestępców, w tym nielegalnych imigrantów, by uniknąć oskarżeń o rasizm.

Dobrym przykładem jest Axel Rudakubana, syn imigrantów z Ruandy, który w 2024 r. w Southport zabił troje dzieci, dźgając je nożem. Wcześniej jako uczeń regularnie przynosił nóż oraz kij bejsbolowy do szkoły, ale nie został zatrzymany, bo uznano, że jako dziecko imigrantów cierpiące na autyzm spotkał go już wystarczająco trudny los. Do więzienia wtrącono za to tych, którzy po trzykrotnym zabójstwie dokonanym przez Rudakubanę krytykowali masową imigrację w mediach społecznościowych, np. Wayne'a O'Rourke'a, który napisał m.in. na platformie X: „To oni są przeciwko nam. Wyjdźcie na ulice". Został skazany na trzy lata więzienia za podżeganie do zamieszek, które później wybuchły w Southport.

SŁOWA, A NIE CZYNY

W kraju, w którym za gwałt można otrzymać karę w zawieszeniu – jak pokazuje przypadek trzech nastolatków, których sąd za zbiorowy gwałt na dwóch dziewczynkach skazał na prace społeczne i wypuścił na wolność – a trzy lata więzienia za rzekomą mowę nienawiści, widać, gdzie leżą priorytety brytyjskiego państwa oraz wymiaru sprawiedliwości. Ta sama instytucjonalna ideologiczna ślepota umożliwiła drapieżnym gangom, składającym się głównie z pakistańskich mężczyzn, systematyczne wykorzystywanie seksualne co najmniej 1,4 tys. głównie białych dzieci w latach 1997–2013 w samym Rotherham.

„Wydaje się, że bardziej interesują ich słowa wypowiadane przez ludzi niż fakt, że mężczyzna został brutalnie dźgnięty nożem" – oświadczyła Koalicja na Rzecz Wolności Słowa w oficjalnym komunikacie, odnosząc się do sprawy Henry'ego Nowaka. Niemal na pewno w sprawie śmierci studenta zostanie wszczęte wewnętrzne dochodzenie policyjne. Nagrania z policyjnych kamer nasobnych (tzw. bodycamów) funkcjonariuszy, którzy skuli Nowaka w kajdanki, do dziś nie zostały opublikowane, co wywołało ogromne oburzenie. Powstała nawet petycja domagająca się, by nagrania zostały upublicznione. Podpisało ją już kilka tysięcy Brytyjczyków.

Zastępca komendanta policji Thames Valley Robert France przeprosił za działania swoich funkcjonariuszy. „Przykro mi, że nie udało się uratować życia Henry'ego tamtej nocy i że został skuty kajdankami i aresztowany. To on był ofiarą" – powiedział France w wywiadzie dla „The Daily Telegraph". Według niego policjanci nie działali w złej wierze, „po prostu uwierzyli w kłamstwa Digwy". „To utrudniło funkcjonariuszom zrozumienie, co się stało" – dodał.

eprasa.pl b471be45b5



W miarę słabnięcia więzi atlantyckich w Europie pojawiają się „scenariusze alternatywne", czym zastąpić amerykańskie zdolności obronne. Szkoda tylko, że wszystkie są fatalne

Słabnie odstraszanie Rosji. Co robić?



MAREK BUDZISZ

Europa wchodzi w epokę dwustronnych umów obronnych. Polska podpisała kolejny traktat o współpracy wojskowej, tym razem z Wielką Brytanią, a niemal tego samego dnia podobną umowę zawarły Francja i Norwegia. Jonas Gahr Støre, premier Norwegii, ogłosił, że jego kraj dołączył po Polsce i Litwie do parasola nuklearnego Francji, co ma zwiększyć bezpieczeństwo w obliczu trwającej w Europie wojny i wzmocnić odstraszanie Rosji.

AMERYKANIE SIĘ WYCOFUJĄ

Ta dyplomatyczna aktywność, nowe porozumienia i traktaty, plany wzmocnienia współpracy w zakresie obronności są reakcją państw naszego kontynentu na słabnące zaangażowanie Stanów Zjednoczonych. Alexander Velez-Green, wysoki rangą urzędnik Pentagonu, w minionym tygodniu rozmawiał w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli z przedstawicielami państw europejskich i poinformował ich o kolejnych planach Waszyngtonu w kwestii redukcji zaangażowania wojskowego. Oznajmił – a jego słowa potwierdził też publicznie Marco Rubio, łączący funkcje Sekretarza Stanu i doradcy ds. bezpieczeństwa amerykańskiego prezydenta – że USA planują redukcję o połowę swego udziału w tzw. NATO Force Model. To kolejne posunięcie – po wycofaniu się z porozumienia przewidującego wysłanie do Niemiec batalionu sił lądowych wyposażonego w rakiety Tomahawk – które znacząco osłabia zdolności odstraszania Federacji Rosyjskiej.

Jak donosi niemiecki „Der Spiegel", Valez-Green, który zanim zaczął pracę w Ministerstwie Wojny, pisał o potrzebie redukcji amerykańskich sił w Europie, aby skupić się na regionie Indo-Pacyfiku, miał powiedzieć, że Ameryka „nie będzie już dostarczać" zdolności w zakresie dronów i okrętów podwodnych, znacząco zredukuje liczbę niszczycieli operujących na wodach okalających Europę, zmniejszy też zaangażowanie lotnictwa i sił lądowych. Około połowa dotychczasowego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w NATO Force Model zostanie w najbliższym czasie „zredukowana".

Fot. Bartosz Bera/zoom.mon.gov.pl

eprasa.pl b471be45b5

Tego rodzaju deklaracje wywołały konsternację i niedowierzanie ze strony przedstawicieli państw europejskich, bo jak napisał „Der Spiegel", „amerykańskie propozycje dotyczące przyszłego planowania wojskowego były bardziej drastyczne, niż przewidywali Europejczycy", którzy raczej „spodziewali się drobnych korekt", a zostali poinformowani o rewolucyjnych zmianach.

Aby zrozumieć, dlaczego są one ważne, musimy poświęcić nieco uwagi temu, co lapidarnie określa się mianem NATO Force Model. Główny dowódca sił Paktu w Europie (SACEUR) ma listę związków taktycznych, które muszą pozostawać w gotowości do działania. Przyjęte rozwiązania dzielą te siły na trzy podstawowe grupy: 100 tys. żołnierzy, którzy wraz ze sprzętem muszą znaleźć się w rejonach odpowiedzialności do 10. dnia od wydania stosownych rozkazów, 200 tys. wchodzących do gry do 30. dnia i ostatni rzut – 500 tys., rozpoczynających działania do 180. dnia od momentu podjęcia decyzji.

Na co dzień siły te stacjonują w swych państwach macierzystych, a system certyfikatów i niezapowiedzianych ćwiczeń służy sprawdzeniu tego, czy rzeczywiście pozostają one „w gotowości", czy mamy raczej do czynienia z deklaracjami na wyrost państw członkowskich. Zadaniem dwóch pierwszych rzutów jest odstraszanie i dlatego zakłada się, że wchodzą one do gry szybko i w czasie pokoju. Dają one dowództwu NATO możliwość pokazania, że jesteśmy gotowi, jeśli przeciwnik strategiczny, czyli Rosja, zacznie koncentrować wojska przy granicach z Paktem. O ile pierwszy rzut, czyli 100 tys. żołnierzy, już *de facto* znajduje się na wschodniej flance, bo gros tego kontyngentu stanowią siły państw graniczących z Rosją, o tyle drugi musi być w stanie szybko dotrzeć do wyznaczonych rejonów. I z tym mogą być poważne problemy, bo jesienią ub.r. „The Financial Times" napisał, że przejazd kolumn wojskowych przez Niemcy w czasie pokoju będzie trwał nawet 45 dni, tak skomplikowany jest system uzyskiwania zgód i pozwoleń.

Ale drugim, znacznie ważniejszym problemem po zapowiedziach Velez-Greena jest to, że po redukcji amerykańskiego zaangażowania siły te będą bardziej cieniem samych siebie, niż będą mogły stanowić realny potencjał odstraszający. Wynika to z faktu, że ok. połowa – jak szacowano – z tych 200 tys. żołnierzy to mieli być Amerykanie i zapowiedziane cięcia dotkną przede wszystkim tego obszaru.

Ale nie tylko, bo wstrzymanie dyslokacji Tomahawków oznacza, że w europejskich zdolnościach do przeprowadzenia ataków rakietowych na duże odległości powstanie dziura, a na dodatek spekuluje się, że podczas nadchodzącego szczytu NATO w Ankarze Amerykanie mogą poinformować, iż rezygnują z funkcji SACEUR, czyli dowódcy sił Paktu w Europie. Pesymiści uważają, że tego rodzaju ruch osłabi system dowodzenia, obecnie funkcjonujący przede wszystkim w oparciu na amerykańskich zdolnościach, a to z kolei będzie oznaczało spowolnienie, a nie przyspieszenie tempa podejmowania decyzji.

ROSJA STAWIA NA ESKALACJĘ

Wszystkie te zapowiedzi osłabią zdolności do odstraszania. I to w sytuacji, w której Rosja jest coraz bardziej agresywna i zwiększa presję na państwa bałtyckie, niemal każdego dnia doświadczające ataków dronów. Odstraszanie, które jest także grą psychologiczną, również ulega osłabieniu w wyniku deklaracji politycznych amerykańskich urzędników zapowiadających redukcję, a nie wzrost zaangażowania.

Sytuacja staje się groźna również z tego powodu, że wojna na Ukrainie nie przebiega po myśli Rosjan. Siły ukraińskie odzyskały inicjatywę na wielu kierunkach, a latem – zdaniem wielu obserwatorów – możemy mieć do czynienia z „punktem przełomowym" w trwającej wojnie. Co to może oznaczać? Wydaje się, że Zełenski zrealizuje swe zapowiedzi i już za kilka tygodni nasilą się ataki rakietowe i dronami dalekiego zasięgu na duże rosyjskie miasta, w tym Moskwę. Wojna wróci do Rosji, ale przede wszystkim na Krym, który Ukraińcy chcą przekształcić w obszar nie do obrony. Już obecnie przejęli kontrolę ogniową nad trasą lądową wiodącą z Rosji na półwysep – ich drony w dużej liczbie operują na głębokości nawet 150 km od strefy walk, zatopili duże barki transportowe pływające przez Morze Azowskie i rosyjscy eksperci poważnie obawiają się podjęcia kolejnej próby ataku na Most Krymski. Taki rozwój wydarzeń miałby oznaczać całkowitą izolację półwyspu, który zostałby pozbawiony zaopatrzenia. Temu zaś miałyby towarzyszyć zmasowane ataki z powietrza na niemal wszystkie cele na półwyspie i desanty. W efekcie Krym może stać się „strefą wojny".

Taki rozwój wydarzeń uniemożliwiłby Putinowi argumentację, że Rosja wygrywa, stałoby się bowiem oczywiste, iż jest inaczej. Rosjanie, szukając wyjścia z tej potencjalnie groźnej dla nich sytuacji, pokazują, że są gotowi doprowadzić do eskalacji. Zarówno wertykalnie, jak i horyzontalnie. Co to oznacza? Mogą rozszerzyć wojnę na inne kraje, dlatego destabilizują sytuację w państwach bałtyckich i atakować cele, w które do tej pory nie uderzali. To z tego powodu Siergiej Ławrow w rozmowie z Marco Rubio miał powiedzieć – jak ujawnił Amerykanin – że kijowska dzielnica rządowa będzie podlegała intensywniejszemu ostrzałowi niż w przeszłości i dlatego będzie roztropnie, jeśli Amerykanie i Europejczycy wycofają stamtąd swoich dyplomatów.

Gotowość eskalacji wertykalnej miały też potwierdzać ostatnie „sygnały strategiczne" w postaci ataków systemami Oriesznik i innymi rakietami nowej generacji, a także niezapowiadane manewry sił nuklearnych, przeprowadzone również na Białorusi. Rosjanie chcą wymusić na Zachodzie negocjacje na swoich warunkach, a przynajmniej zatrzymanie pomocy finansowej dla Kijowa, bo uzależnienie od zachodniej pomocy pieniężnej uznają za piętę achillesową Ukrainy. Zresztą częściowo już odnieśli sukces, bo Wielka Brytania ze względu na kryzys paliwowy złagodziła antyrosyjskie sankcje, a podczas niedawnego spotkania ministrów spraw zagranicznych NATO w Szwecji forsowany przez Ruttego i Zełenskiego plan, aby państwa członkowskie przeznaczały na pomoc dla Ukrainy 0,25 proc. swego PKB, został zablokowany przez koalicję dużych graczy: Francję, Wielką Brytanię, Hiszpanię, Włochy i Kanadę.

eprasa.pl b471be45b5

POMYSŁY I POTENCJAŁ EUROPEJCZYKÓW

W miarę słabnięcia więzi atlantyckich w Europie pojawiają się „scenariusze alternatywne", czym zastąpić amerykańskie zdolności. Szkoda tylko, że wszystkie są fatalne.

Jak niedawno zapowiedziała Ursula von der Leyen, Niemcy i Holendrzy mają tworzyć nową dywizję z siedzibą w Münsterze, której zadaniem ma być obrona Estonii. Agencja Reutera napisała nawet o planach liderów państw europejskich, aby utworzyć korpus, ale to jest jeszcze mniej realne niż formowanie niemiecko-holenderskiej dywizji. W skład korpusu wchodzą trzy dywizje, a Niemcy, którzy w ramach NATO-wskiego podziału obowiązków są „państwem ramowym" na Litwie i podpisali z rządem w Wilnie porozumienie zakładające zwiększenie ich obecności do wielkości brygady, mają z tym wielkie problemy. Do tej pory udało im się zwerbować jedynie 10 proc. potrzebnego personelu, a Bundeswehra nie rozwiązała kryzysu rekrutacyjnego i z tego powodu – jak informuje „Die Welt" – planuje się wprowadzenie obowiązkowego szkolenia rezerwistów. Powodem tych działań jest brak chętnych, aby służyć w niemieckich siłach zbrojnych i dlatego plany Berlina, który deklaruje, że buduje „największą armię Europy", są rozciągnięte do 2039 r. i dziś nie traktuje się ich przesadnie serio.

Jak zatem Niemcy wraz z Holendrami, którzy dziś nie mają w służbie ani jednego czołgu, chcą sformować dywizję stacjonującą w Münsterze, która musi liczyć minimum 15 tys. żołnierzy? A kiedy uda się skompletować korpus mający bronić Estonii? Prędzej Putin dożyje swych setnych urodzin.

Inne koncepcje są nie mniej fantastyczne. „The Economist" napisał, że europejscy dyplomaci widzą alternatywę dla NATO-wskiego – a to znaczy zdominowanego dziś przez Amerykanów – systemu dowodzenia w postaci zdolności JEF, czyli Joint Expeditionary Forces. To format opracowany w czasach, kiedy Szwecja i Finlandia były poza NATO, mający służyć obronie Dalekiej Północy i obszarów arktycznych. Jego znaczenie rośnie, rzeczywiście ma on własny, niezależny od amerykańskiego system dowodzenia, ale jego realny potencjał wojskowy jest co najmniej dyskusyjny. Największe państwo wchodzące w skład JEF, czyli Wielka Brytania, jest cieniem dawnej potęgi. Jej siły lądowe są mniejsze niż za czasów napoleońskich, zdolności Royal Navy zostały obnażone, kiedy po wybuchu wojny z Iranem z brytyjskich portów nie był w stanie wyjść nawet jeden niszczyciel i Londyn z ponaddwutygodniowym opóźnieniem mógł zareagować na zagrożenie swych baz na Cyprze. Z kolei o zdolnościach lotnictwa napisał Lewis Page w „The Telegraph". Zdaniem tego eksperta Eurofighter Typhoon – podstawowy myśliwiec RAF – „jest najdroższym samolotem taktycznym, jaki kiedykolwiek zbudowała ludzkość". Co gorsza, brytyjskie lotnictwo dysponuje realnie jedynie 65–70 maszynami tego typu.

> Należy z jednej strony prowadzić dialog z Waszyngtonem – a Polska ma w tym przypadku spore atuty – z drugiej zaś budować własne zdolności, w tym zacieśniając więzy z Ukrainą

Andrius Kubilius, eurokomisarz odpowiadający za sektor zbrojeniowy, w rozmowie z „The Financial Times" zwrócił uwagę na jeszcze jedną słabość państw europejskich. Powiedział, że Europejczycy produkują systemy „haute couture". Technologicznie bardzo zaawansowane, a także niezmiernie drogie i w niewielkich ilościach. O ile Rosjanie wytwarzają rocznie 1,2 tys. rakiet różnych typów, to dziś Europejczycy produkują ich co najwyżej 300 – i to krótkiego zasięgu. Znacznie lepsi są Ukraińcy, których sektor zbrojeniowy rozwinął się na tyle, że produkuje rocznie 700 rakiet i tysiące dronów dalekiego zasięgu, którymi nie dysponują państwa europejskie.

POLSKA ŚCIEŻKA

Jakie jest wyjście z tej groźnej sytuacji związanej ze słabnięciem odstraszania z jednej i niewystarczającymi zdolnościami państw europejskich z drugiej strony? Można mówić o dwóch kierunkach, którymi próbują podążać np. nasi zachodni sąsiedzi. Jednym jest dialog z Waszyngtonem. Z tego powodu szef niemieckiego resortu obrony Boris Pistorius przed zeszłotygodniową wizytą w Kanadzie intensywnie zabiegał o możliwość rozmowy z Petem Hegsethem. Bezskutecznie. Ale to nie przeszkodziło niemieckiemu politykowi, by przetestować drugą możliwość, jaką jest współpraca z Ukrainą oraz firmami produkującymi i testującymi własne systemy na froncie. Gdy okazało się, że spotkanie z szefem amerykańskiego Departamentu Wojny się nie odbędzie, Pistoris wsiadł do pociągu i pojechał do Kijowa, a niemiecki koncern Diehl Defence podpisał porozumienie z ukraińskim Fire Point. Niemcy ogłosili też plany joint venture między Rheinmetal a Destinus, holenderskim, ale założonym przez emigranta z Rosji koncernem produkującym rakiety Ruta, dbając o to, aby nie uzależniać się od jednego dostawcy nowych technologii.

I to jest droga, którą powinny podążać państwa wschodniej flanki, w tym Polska.

Należy z jednej strony prowadzić dialog z Waszyngtonem – a Polska ma w tym wypadku spore atuty – z drugiej zaś budować własne zdolności, w tym zacieśniając więzy z Ukrainą. Strategiczne położenie daje nam w tej kwestii większe możliwości niż innym państwom. Chcąc zatem zwiększyć odstraszanie, musimy rozwijać nasze siły i wykorzystywać istniejące możliwości, w tym strategiczny atut położenia, a nie uczestniczyć w wyścigu, kto szybciej zbuduje alternatywne systemy bezpieczeństwa, w tym zdolności „europejskie". Przesłanie to kieruję do naszych polityków, zwłaszcza z rządzącej obecnie koalicji.

eprasa.pl b471be45b5



Powojenne ekshumacje i pochówki ofiar Holokaustu na terenie Polski

Ekshumacja ofiar Zagłady w okolicach Białej Podlaskiej

Każda miejscowość w granicach przedwojennej Polski, w której do września 1939 r. funkcjonowała gmina wyznania mojżeszowego, była świadkiem śmierci swoich żydowskich mieszkańców zadanej przez agresorów z III Rzeszy. Do tego możemy dodać tysiące miejsc, gdzie wprawdzie takich gmin nie było, ale w trakcie niemieckiej okupacji zamordowano tam Żydów



GRZEGORZ BERENDT

Poza miejscami masowej zagłady wiele tysięcy Żydów zginęło w lasach, na polach, przy drogach, w chłopskich obejściach, czyli tam, gdzie dopadli ich oprawcy. Zabijano ich na terenie setek obozów pracy, po których nie pozostał żaden ślad. Pogrzebano ich albo tam, gdzie zostali zamordowani, albo w pobliżu tych miejsc. W wielu przypadkach – być może nawet w większości – ciał tych ludzi nie wywieziono na żydowskie cmentarze (w Polsce powszechnie nazywane kirkutami). Miejsca pogrzebania zwłok były znane ludziom, którym kazano kopać doły, do których wrzucano ciała, oraz innym okolicznym mieszkańcom. Świadkowie dzielili się tą wiedzą z krewnymi ofiar zarówno w trakcie wojny, jak i po jej zakończeniu.

* * *

W trakcie wojny nie było najczęściej możliwości przeprowadzenia pochówku zgodnie z rytuałem religijnym, nawet jeżeli współwyznawcy i krewni jeszcze żyli. Mowa o okresie przed masowymi zbrodniami z lat 1941–1942. Zanim Niemcy dokonali totalnej eksterminacji, dochodziło do sytuacji, gdy rady żydowskie na różne sposoby, nie wyłączając przekupstwa, wypraszały zgodę okupantów na przeniesienie zwłok z pierwotnego dołu do grobu na terenie cmentarza wyznaniowego. Tak stało się np. w Goniądzu, gdzie 7 lipca 1941 r. Niemcy zamordowali kilkunastu Polaków i Żydów za kolaborację z Sowietami. W 1942 r. lokalny Judenrat uzyskał zgodę na ekshumację żydowskich ofiar tej zbrodni i pochówek na kirkucie. Musiało to mieć miejsce przed 2 listopada 1942 r., kiedy Żydów z getta w Goniądzu wywieziono najpierw do obozu tranzytowego, a później do obozu zagłady Treblinka II.

Szansa na pochówek zgodny z żydowskim rytuałem religijnym pojawiła się dopiero z końcem niemieckiej okupacji. Ale też nie od razu ocaleni byli do tego zdolni. Większość po latach spędzonych w ukryciu i niemieckich obozach musiała wrócić do sił i na nowo zorganizować swoje życie. Pomocne okazały się krajowe i zagraniczne organizacje żydowskie, które przekazywały środki na

Fot. United States Holocaust Memorial Museum

eprasa.pl b471be45b5

pokrycie kosztów związanych z niezbędnymi pracami, w tym budowę pomników na zbiorowych grobach – bruder-kejwer.

Pochówkiem na ogół nie zajmowali się członkowie rodziny ofiar, bo najczęściej nie przeżyli Holokaustu, lecz po prostu współwyznawcy z danej miejscowości. Nie prowadzono systematycznej, odgórnie koordynowanej akcji poszukiwania rozproszonych miejsc, w których grzebano ciał ofiar. To niemal zawsze była inicjatywa lokalna, determinowana poczuciem obowiązku wobec krewnych i dawnych sąsiadów – obowiązku pogrzebania zwłok zgodnie z tradycyjnym rytuałem, na żydowskim cmentarzu, co opisuje pojęcie Kejwer Isroel. W relacjach dotyczących powojennych pochówków powraca ono jak mantra.

* * *

Do indywidualnych działań można zaliczyć te realizowane przez niejakiego Libermana i jego córkę w Kolonii Promna w powiecie radomskim. Dokonali oni ekshumacji ciał krewnych i znajomych zastrzelonych przez niemieckich żandarmów. Libermanowie ocaleli z akcji wymierzonej przez Niemców zarówno w kilkoro innych Żydów, którzy ukrywali się razem z nimi w tej miejscowości, jak i polską rodzinę, która im pomagała. Gabriel Filberg z Góry Kalwarii wiedział, gdzie zakopano ciało jego ojca Szymona. Z pomocą kilku krajanów wykopał je i pochował na cmentarzu w rodzinnym mieście. Niestety w nocy po pochówku ktoś sprofanował grób. Delegacja Żydów udała się do katolickiego proboszcza z prośbą, aby zaapelował do wiernych, by nie robili takich haniebnych rzeczy. Zdruzgotany duchowny przyrzekł, że zrobi, co w jego mocy, by to się nie powtórzyło. I nie powtórzyło się. Eliahu Sznal z Hrubieszowa wspominał, jak w grupie 10 ocalonych zbierali szczątki ofiar i chowali je na kirkucie. Ekshumowali m.in. szczątki ofiar leżące w dole przy dawnym składzie starych szmat Mosze Warmana. Włożyli je do drewnianej skrzyni, stojącej na wozie i zawieźli na cmentarz. Działo się to w sierpniu 1946 r.

Aron Fridental, przewodniczący Miejskiego Komitetu Żydowskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim, interweniował u lokalnych władz i dyrekcji cegielni, na której terenie Niemcy zamordowali i pogrzebali w sierpniu 1944 r. 14 Żydów, zatrudnionych tam w roli niewolniczej siły roboczej. Cegielnia mieściła się przy ul. Kilińskiego. Doprowadził do ich ekshumacji i pochówku na kirkucie we wspólnym grobie.

W Białymstoku komitet żydowski został utworzony już w 1944 r. Wtedy w większości należały do niego osoby ocalone na Podlasiu. Byli wśród nich członkowie grup konspiracyjnych funkcjonujących w białostockim getcie, którzy zdołali opuścić miasto w sierpniu 1943 r. i schronić się w lasach. Wiedzieli, gdzie na terenie miasta w masowym grobie pochowano zarówno bojowców, którzy zginęli w walce z Niemcami, jak i bezbronne ofiary akcji wysiedleńczych z lutego i sierpnia 1943 r. Stworzono brygadę ekshumacyjną, która zaczęła wydobywać ciała pomordowanych. Łącznie ekshumowano zwłoki ok. 230 osób. Rozpoznano niewielką część z nich. 22 listopada 1945 r. ciała spoczęły na dawnym cmentarzu gettowym przy ul. Żabiej.

Pochówkiem na ogół nie zajmowali się członkowie rodziny ofiar, bo najczęściej nie przeżyli Holokaustu, lecz po prostu współwyznawcy z danej miejscowości. Nie prowadzono systematycznej, odgórnie koordynowanej akcji poszukiwania rozproszonych miejsc pogrzebania ciał ofiar. To niemal zawsze była inicjatywa lokalna, determinowana poczuciem obowiązku wobec krewnych i dawnych sąsiadów

Duchem sprawczym prac w Brańsku i okolicy był Chaim Wróbel. Jego staraniem zebrano dane o miejscach, w których spoczywały ciała ofiar. Stworzono zespoły, które jednego dnia ekshumowały szczątki ok. 100 osób i przywiozły je do miasta. W tej operacji pomógł niemal każdy z ocalałych Żydów. Przy szczątkach znaleziono dokumenty i inne przedmioty pozwalające je zidentyfikować. Mimo że nie ekshumowano wszystkich ciał, akcji nie kontynuowano z powodu ataków na Żydów, które miały miejsce w kilku okolicznych miejscowościach, m.in. w Ciechanowcu, Drohiczynie, Siemiatyczach i Sokołach. Śmierć kilkudziesięciu wyznawców judaizmu w okolicy sprawiła, że w święto Pesach ocaleni, którzy mieszkali w Brańsku, opuścili miasto, udając się do większych polskich aglomeracji, a stamtąd za granicę. Te informacje prowadzą do refleksji, że być może ekshumacji byłoby znacznie więcej, gdyby nie stan anomii panującej w Polsce w pierwszych latach po wyparciu Niemców, poczucie śmiertelnego zagrożenia utrzymujące się wśród Żydów i ich masowy exodus z kraju.

W Ciechanowie z pomocą lokalnej administracji miejskiej członkowie komitetu żydowskiego przystąpili do przenoszenia na kirkut płyt nagrobnych, użytych na rozkaz Niemców do utwardzenia chodników i jednocześnie zaczęli identyfikować rozproszone miejsca, w których pogrzebano zamordowanych rodaków. Po ekshumacji szczątki sukcesywnie chowano na kirkucie. Zanim większość ocalonych opuściła rodzinne miasto, uhonorowała ofiary, wystawiając im pomnik na cmentarzu.

Rabin Szmuel Laksman jeszcze w czasie dominacji sowieckiej komendantury wojskowej w Garwolinie przystąpił do zbierania macew z ulic miasta i sprowadzania ich na cmentarz. Z pomocą chłopów identyfikował rozrzucone po polach, miedzach i przy drogach miejsca, w których grzebano zamordowanych współwyznawców. Następnie zajmował się ekshumacjami i przenoszeniem szczątków na tę samą nekropolię.

Wojenne drogi zaprowadziły Chaima Frenkla do ZSRS, tam został wcielony do Armii Czerwonej. Po demobilizacji

eprasa.pl b471be45b5



7 sierpnia 1947 r. w Skierniewicach pochowano uroczyście ciała Żydów zamordowanych przez Niemców. Wcześniej przez centrum miasta przeszedł kondukt pogrzebowy

postanowił wrócić do Polski i w czerwcu 1946 r. zawitał do rodzinnych Skierniewic. Udało mu się uzyskać zgodę na legalną emigrację do Australii. Zanim wyjechał, doprowadził do ekshumowania ciał kilkudziesięciu współwyznawców i pochowania ich na tzw. nowym cmentarzu żydowskim. Zwrócił się o pomoc do starosty. Ten wydał wszystkim wójtom polecenie zebrania informacji na temat miejsc zakopania ciał Żydów, zastrzelonych pojedynczo lub w małych grupach. Informacje spłynęły w ciągu zaledwie kilku dni. Sformowano brygadę ekshumacyjną, przydzielono jej uzbrojoną ochronę złożoną z dwóch żołnierzy. Ekshumacje trwały kilka tygodni. Z jam wydobyto 47 ciał. Zdecydowano o pochowaniu ich we wspólnym grobie na tzw. nowym cmentarzu żydowskim w Skierniewicach. W przygotowania byli zaangażowani żołnierze z miejscowego garnizonu Wojska Polskiego. Pogrzeb odbył się 7 sierpnia 1947 r. Uczestniczył w nim oficjalnie m.in. dr Dawid Kahane, główny rabin Polski, a zarazem główny rabin Wojska Polskiego. Obok niego na zdjęciach z uroczystości widzimy także innego rabina. Z Łodzi przyjechał przewodniczący komitetu żydowskiego, znany działacz komunistyczny, a zarazem dziennikarz Michał Mirski. Poza tym przybyły reprezentacje komitetów żydowskich z Łowicza, Rawy Mazowieckiej i Dolnego Śląska. Udział wzięli reprezentanci władz miejskich i powiatowych, służb cywilnych i mundurowych. Kondukt pogrzebowy przeszedł przez centrum Skierniewic. Rabin Kahane i redaktor Mirski powiedzieli Frenklowi, że w żadnym innym mieście w Polsce nie widzieli tego typu uroczystości z tak licznie zgromadzonymi żałobnikami. Może było w tym nieco przesady, ale zdjęcia potwierdzają bardzo liczny udział delegacji i ludności. Ludzie religijni i ateiści, Żydzi i Polacy szli razem, aby honorować ofiary.

W tzw. kalwińskim lesie koło Strzegowa w powiecie mławskim zakopano ciała 20 Żydów, powieszonych przez Niemców podczas publicznej egzekucji z 2 września 1942 r. Minęło niepełne sześć lat, gdy w czwartek 22 stycznia 1948 r. ekshumowano ciała ofiar i pochowano je na kirkucie w miasteczku. Zajęła się tym garstka ocalałych, wśród nich Abraham Pinkert. Niestety w swojej opowieści o ekshumacji i pogrzebie nie wyjaśnił, dlaczego miały miejsce o tak nietypowej porze roku.

W innym lesie, koło Tomaszowa Mazowieckiego, wiosną 1942 r. Niemcy rozstrzelali 33 Żydów. Ekshumacja ofiar odbyła się 29 maja 1947 r. W pobliskiej osadzie Ujazd także zamordowano grupę Żydów. Ich ciała ekshumowano dopiero jesienią 1948 r. Szczątki ofiar obu zbrodni pochowano na cmentarzu żydowskim w Tomaszowie. Zajmował się tym komitet żydowski działający w tym mieście. Także tu dużej pomocy w pracach udzieliło Wojsko Polskie.

* * *

W młodości aktor, a później przede wszystkim znany pisarz, Henryk Grynberg, kilkadziesiąt lat po wojnie przystąpił do systematycznych poszukiwań w celu ustalenia okoliczności śmierci ojca i młodszego brata. Dokonał tego, a wszyscy zainteresowani mogą zapoznać się z różnymi sytuacjami towarzyszącymi tym poszukiwaniom, oglądając dokumentalny film zatytułowany „Miejsce urodzenia" (reż. Paweł Łoziński, 1992). W przypadku ojca pisarz dowiedział się, że zamordowało go dwóch Polaków, którzy chcieli zatrzymać przyjętą na przechowanie krowę Grynbergów. Ciało ofiary tej sąsiedzkiej zbrodni zakopano tuż przy wiejskiej drodze. Chłopi wskazali to miejsce i na prośbę pisarza wykopali szczątki ojca. Syn zabrał je ze sobą i pogrzebał w godnym miejscu. Miejsca zakopania ciała brata nie odnalazł.

* * *

81 lat po zakończeniu wojny prawie nie ma już świadków, którzy byliby w stanie wskazać takie miejsca jak pokazane w filmie Łozińskiego. Ale one istnieją i być może kiedyś ktoś pochowa szczątki ofiar leżących w bezimiennych dołach, jak nakazuje tradycja. To ona nakłada na żyjących obowiązek troski o pamięć o tych, którzy odeszli. A żydowskie prawo religijne dopuszcza ekshumacje w celu „zwiększenia świętości" miejsca spoczynku zmarłych i zamordowanych. Ich miejsce jest na poświęconej ziemi, a nie w dołach wykopanych na rozkaz i pod nadzorem ludobójców z domu zła – III Rzeszy Niemieckiej czy innych sprawców.

Autor jest profesorem Uniwersytetu Gdańskiego. Naczelnik Biura Edukacji Publicznej oddziału IPN w Gdańsku w latach 2008–2013. Dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w latach 2021–2024. Od października 2025 r. ambasador – specjalny przedstawiciel Prezydenta RP ds. dyplomacji historycznej.

Fot. zbiory autora

eprasa.pl b471be45b5

Polski premier po niemieckiej stronie

W 1941 r. Leon Kozłowski, były premier RP, archeolog, działacz sanacyjnego BBWR i minister reform rolnych, przedostał się z sowieckiej niewoli przez front wschodni na stronę niemiecką. Gotowością do współpracy z III Rzeszą zaszokował zarówno polską emigrację, jak i krajowe podziemie. Jak doszło do upadku tak ważnego polityka II RP i dlaczego jego nazwisko niemal całkowicie zniknęło z polskiej pamięci historycznej?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Podczas II wojny światowej Polska stworzyła największą strukturę konspiracyjną w okupowanej przez Niemców Europie. Polskie Państwo Podziemne pozostaje fenomenem na skalę światową, a w walkę z niemieckim i sowieckim okupantem zaangażowały się miliony obywateli. Ale jak w każdym społeczeństwie, także tutaj znaleźli się ludzie gotowi zdradzić własne państwo i podjąć współpracę z najeźdźcą. Do grona kolaborantów zaliczano donosicieli, szmalcowników, osoby wydające lub mordujące Żydów, a także ludzi demonstracyjnie utrzymujących bliskie relacje z okupantem oraz urzędników nadgorliwie wykonujących polecenia władz niemieckich i sowieckich.

Warto wspomnieć przywódcę „ruchu góralskiego" Wacława Krzeptowskiego, stojącego na czele wspieranego przez Niemców projektu Goralenvolku. Inicjatywa ta zakończyła się całkowitą klęską, a sam Krzeptowski został 20 stycznia 1945 r. powieszony przez żołnierzy AK. Innym, znacznie szerszym zjawiskiem była współpraca „polskich" komunistów oraz środowisk lewicowych twórców i literatów ze Związkiem Sowieckim – tu prym wiodła m.in. Wanda Wasilewska i kierowany przez nią Związek Patriotów Polskich. Na uboczu tych historii pozostaje dziś postać Leona Kozłowskiego. Jako były premier Rzeczypospolitej należał do przedwojennej elity politycznej, a jednak zdecydował się na współpracę z Niemcami. Żaden inny polityk tej rangi nie wykonał podobnego kroku.



eprasa.pl b471be45b5

PROFESOR, MINISTER, PREMIER

Leon Kozłowski należał do pokolenia, które odzyskiwało niepodległość u boku Józefa Piłsudskiego. Urodził się 6 czerwca 1892 r. w Rembieszycach niedaleko Jędrzejowa. Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej zaangażował się w działalność niepodległościową, choć według współczesnych nie wyróżniał się na tle innych działaczy. Walczył w Legionach Polskich oraz wojnie polsko-bolszewickiej. Po odzyskaniu niepodległości rozwijał karierę naukową jako archeolog i profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Z obozem sanacyjnym związał się na stałe po przewrocie majowym, jednoznacznie opowiadając się po stronie Piłsudskiego. Od 1928 r. działał w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem (BBWR). W latach 1930–1932 pełnił funkcję ministra reform rolnych, a następnie (do 1933 r.) był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu.



Fot. NAC

W 1934 r. nieoczekiwanie stanął na czele rządu. Choć funkcję premiera sprawował jedynie przez kilka miesięcy, jego nazwisko trwale zapisało się w historii II RP.

To za jego urzędowania po zabójstwie ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego utworzono obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej, przeznaczony dla przeciwników politycznych. Władze tłumaczyły tę decyzję koniecznością przeciwdziałania radykalizacji i anarchizacji życia publicznego. Do obozu trafiały osoby uznawane za zagrożenie dla państwa i władzy piłsudczyków.

Również w okresie premierostwa Kozłowskiego uchwalono konstytucję kwietniową, wzmacniającą pozycję prezydenta i system autorytarny sanacji. Wkrótce po jej przyjęciu Kozłowski ustąpił ze stanowiska, a jego miejsce zajął Walery Sławek, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego.

Po odejściu z rządu Kozłowski stopniowo usuwał się z życia politycznego. Ponownie znalazł się w centrum zainteresowania w lipcu 1938 r., gdy opublikował głośny tekst „Parę uwag o masonerii w Polsce". Oskarżał w nim wielu prominentnych polityków o przynależność do tajnych lóż. Jako dawny wolnomularz twierdził, że do masonerii należało ponad 2 tys. osób związanych z elitami władzy. Wśród wymienianych przez niego postaci znaleźli się m.in. Ignacy Jan Paderewski, Maciej Rataj oraz Władysław Sikorski. Rozpętana wówczas antymasońska kampania zakończyła się wydaniem przez prezydenta Ignacego Mościckiego dekretu rozwiązującego loże masońskie i przekazującego ich majątek na cele dobroczynne.

ŁUBIANKA I BUZUŁUK

Po agresji Związku Sowieckiego na Polskę we wrześniu 1939 r. Leon Kozłowski znalazł się w rękach NKWD, podobnie jak tysiące polskich oficerów i przedstawicieli inteligencji. W marcu 1940 r. przewieziono go z Lwowa do więzienia na Łubiance w Moskwie. W tym samym miejscu przetrzymywano m.in. byłego premiera Aleksandra Prystora, ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehę, braci Józefa Piłsudskiego, prof. Stanisława Grabskiego oraz gen. Władysława Andersa.

Kozłowski został skazany na karę śmierci, którą później zamieniono na 10 lat łagru. W dalszym ciągu przebywał jednak w więzieniu, gdzie poddawano go brutalnym przesłuchaniom. Sowieci interesowali się m.in. możliwością firmowania przez niego przyszłego porozumienia polsko-radzieckiego. Wielomiesięczna niewola odcisnęła na nim wyraźne piętno psychiczne i miała ogromny wpływ na jego późniejsze decyzje.

W 1941 r., po podpisaniu układu Sikorski–Majski, odzyskał wolność. Podobnie jak wielu byłych więźniów zgłosił się do formowanej armii gen. Władysława Andersa i dotarł do punktu rekrutacyjnego w Buzułuku. Zły stan zdrowia uniemożliwił mu jednak służbę wojskową. W czasie pobytu w sowieckich więzieniach schudł ponad 20 kg. Nie bez znaczenia było również chłodne przyjęcie, z jakim spotkał się wśród części wojskowych i polityków. Ciążyła na nim sanacyjna przeszłość, a przede wszystkim odpowiedzialność za utworzenie Berezy Kartuskiej.

Kozłowski otwarcie krytykował też politykę gen. Władysława Sikorskiego, zwłaszcza jego dążenie do porozumienia ze Związkiem Sowieckim. Nie widział dla siebie miejsca w Armii Andersa. W swoich wspomnieniach pisał: „Okazało się, że Anders nie ma dla mnie żadnego przydziału, a jedynie koledzy obiecali mu urządzić mnie w intendenturze. Miałem prowadzić kancelarię. Wówczas postanowiłem wrócić do kraju. Do wojska nie byłem przyjęty ani też obowiązany do służby wojskowej".

TAJEMNICZA PODRÓŻ DO BERLINA

Jesienią 1941 r. wojska niemieckie znalazły się pod Moskwą, a upadek Związku Sowieckiego wydawał się realny. Były premier nie doświadczył niemieckiej okupacji, w przeciwieństwie do sowieckiego terroru. W tej sytuacji postanowił wrócić na ziemie okupowane przez Niemców. Jak później pisał we wspomnieniach, sądził, że władze III Rzeszy nie będą mu utrudniały powrotu do Polski. Najpierw pociągiem dostał się w okolice Tuły, a następnie pieszo ruszył w dalszą drogę. Po dotarciu w pobliże linii frontu zgłosił się do niemieckiego oficera. Niemcy zareagowali błyskawicznie. Szybko zorganizowali jego transport do Berlina, gdzie przesłuchiwało go gestapo, a pod koniec listopada rozmawiał z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy.

Ucieczkę byłego premiera z ZSRS szybko wykorzystano propagandowo. W grudniu 1941 r. zorganizowano konferencję prasową, podczas której Kozłowski opowiadał o pobycie w sowieckim więzieniu. Jego wypowiedzi przedrukowała polskojęzyczna prasa wydawana w Generalnym Gubernatorstwie, m.in. „Nowy Kurier Warszawski", „Kurier Częstochowski" i „Goniec Krakowski".

eprasa.pl b471be45b5

PANIKA W LONDYNIE

Polski rząd emigracyjny natychmiast zareagował na pojawienie się Kozłowskiego w stolicy Niemiec. Działania byłego premiera uznano za akt zdrady mogący pociągnąć za sobą poważne konsekwencje polityczne. Pojawienie się potencjalnego kandydata do utworzenia polskiego „rządu Vichy" mogło zaszkodzić relacjom polskiego gabinetu z aliantami, a zarazem stać się dogodnym narzędziem sowieckiej propagandy. W tej sytuacji konieczne było szybkie i zdecydowane działanie.

Gen. Sikorski polecił, by niezwłocznie przeprowadzić zaoczny proces byłego premiera. Sprawą Kozłowskiego zajął się Sąd Polowy nr 1 Armii Polskiej w ZSRS. Wyrokiem z 21 stycznia 1942 r. został on skazany na karę śmierci za zbrodnię zbiegostwa do nieprzyjaciela, czyli przejście na stronę niemiecką. Orzeczenie zatwierdził dowódca armii, gen. Anders. Naczelny Wódz nakazał ogłoszenie wyroku w prasie i radiu. Oskarżenie oparto przede wszystkim na zarzucie dezercji, który w rzeczywistości był bezpodstawny.

Propagandowe korzyści z działalności Kozłowskiego okazały się dla Niemców ograniczone. Były polski premier nie nawoływał otwarcie do współpracy z nimi i nie wpłynął na zmianę stosunku Polaków do okupanta. Nie otrzymał również zgody na powrót do kraju. Niemcy co prawda umożliwili mu kontynuowanie pracy naukowej, ale zatrzymali go w Berlinie. Kozłowski zajął się badaniami nad historią Słowiańszczyzny i spisywał wspomnienia. Mieszkał w hotelu pod nadzorem policji, utrzymywał korespondencję z rodziną i otrzymywał paczki z Polski.

W tym czasie Niemcy zrezygnowali z tworzenia marionetkowego polskiego rządu na terenach zajętych przez III Rzeszę. Mimo to Kozłowski był uznawany za asa w rękawie, a niemiecka propaganda jeszcze kilkakrotnie wykorzystywała jego nazwisko. Wiosną 1943 r. Kozłowski znalazł się w składzie komisji odwiedzającej Katyń. Po powrocie wydał oświadczenie przypisujące odpowiedzialność za zbrodnię Sowietom i publikował teksty na ten temat w polskojęzycznej prasie okupacyjnej.

Bratanek premiera Maciej Kozłowski, który przez lata zabiegał o rehabilitację krewnego, podczas swoich badań natrafił na interesującą relację Leona Kozłowskiego. Podczas wizyty w Katyniu były premier miał rozmawiać z okolicznymi rosyjskimi chłopami. Ich zdaniem w czasie, gdy Sowieci mordowali polskich oficerów, w willi NKWD przebywali niemieccy oficerowie. Okoliczności te mogłyby sugerować, że zbrodnia katyńska została zaplanowana wspólnie przez Niemców i Sowietów. Sensacyjnej relacji, którą Leon Kozłowski przekazał swojemu przyjacielowi, do dziś nie udało się jednak potwierdzić.

> Propagandowe korzyści z działalności Kozłowskiego okazały się dla Niemców ograniczone. Były polski premier nie nawoływał otwarcie do współpracy z nimi i nie wpłynął na zmianę stosunku Polaków do okupanta. Nie otrzymał również zgody na powrót do kraju

ŚMIERĆ W CIENIU SKANDALU

Dowództwo Armii Krajowej otrzymało rozkaz wykonania wyroku śmierci, gdyby Kozłowski pojawił się w kraju. Do jego powrotu nigdy jednak nie doszło. Okoliczności śmierci byłego premiera do dziś pozostają niejasne. Pewne jest jedynie to, że nie doczekał końca wojny ani rozliczenia własnych decyzji.

Według oficjalnych informacji Leon Kozłowski zmarł 11 maja 1944 r. w hotelu Alemannia, w którym mieszkał, na skutek ran odniesionych podczas amerykańskiego nalotu bombowego na Berlin w nocy z 7 na 8 maja. Prasa gadzinowa informowała, że zginął od odłamka amerykańskiej bomby na jednej z berlińskich ulic. Rodzinie przekazano jednak, że przyczyną śmierci był atak serca. Były premier został pochowany w Berlinie. Jego szczątki sprowadzono do Polski dopiero w 1974 r. i złożono na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

AGENT CZY DESPERAT?

Do dziś historycy spierają się o rzeczywisty charakter działalności Leona Kozłowskiego. Najważniejszym argumentem przemawiającym na jego korzyść pozostaje to, że nie podjął czynnej kolaboracji i nie wszedł w skład żadnej struktury podległej Niemcom. Nie ulega wątpliwości, że jego postawę ukształtowały dramatyczne doświadczenia wyniesione z sowieckich więzień, które ostatecznie ugruntowały jego radykalny antykomunizm. Kozłowski był przekonany, że największym zagrożeniem dla Polski pozostaje Józef Stalin. Jednocześnie wydaje się, że w swoich poczynaniach nie kierował się ambicjami politycznymi, lecz chęcią powrotu do Polski i rodzinnego majątku.

Pozostaje jednak faktem, że były premier świadomie utrzymywał kontakty z III Rzeszą i pozwalał wykorzystywać się niemieckim służbom politycznym. Do Kozłowskiego musiały docierać informacje o niemieckich zbrodniach, których polskie społeczeństwo doświadczało już od września 1939 r. W realiach okupowanej Polski wszelkie relacje polityczne z Niemcami uważano za zdradę. W tym przypadku było to jeszcze mocniej odczuwalne, ponieważ sprawa dotyczyła byłego premiera Rzeczypospolitej. O tym, jak wysoko Niemcy oceniali jego propagandową użyteczność, świadczy fakt, że pozwolili polskiemu badaczowi kontynuować pracę naukową, za którą mu płacili. W tym samym czasie inni profesorowie i cała polska elita byli mordowani jako element uznawany przez Rzeszę za szczególnie niebezpieczny.

eprasa.pl b471be45b5



Bój o Kamienicę

Dlaczego stołeczny ratusz niszczy najbardziej warszawskie – z ducha i pasji – sceny? Hojnym gestem oddaje dziedzictwo Teatru na Woli. I jednocześnie, mnożąc przeszkody, zasypuje Kamienicę? Ta jeszcze się broni

Fot. Teatr Kamienica

eprasa.pl b471be45b5



„W starych cegłach śpi tamta Warszawa / Mądry czas zatrzymał to miejsce / Pachnie wierszem wino i kawa / I nikomu wychodzić się nie chce / Serce domu jest zawsze otwarte / A wspomnienie się nigdy nie zatrze / Kiedy sprawdzisz sam, ile są warte / Miłe chwile w Kamienicy, w Teatrze" – wciąż śpiewa na nagraniach niezapomniany Emilian Kamiński. Zakochany w rodzinnej Warszawie aktor i bard, który miał pasję i determinację, by w ocalałych z wojny, niszczejących piwnicach zbudować teatr. Zachować niezwykle cenną – dla całkowicie zburzonej Warszawy – autentyczną cząstkę dawnych murów. Dać im – wraz z widzami – inną perspektywę. Nie tylko artystyczną, kulturalną, lecz także miejską.

Ratując naruszone podwaliny jedynego w ścisłym centrum miasta „ostańca", Kamiński dał szansę całej kamienicy z Alei Solidarności 93 (przedwojenna ul. Leszno 13, w czasie okupacji stała tuż za granicą getta, a podziemne korytarze były drogą ucieczki dla ludzi zza drugiej strony muru).

Bez działań Kamińskiego budynek – choć objęty ochroną konserwatorską (wraz z częścią frontową, oficynami oraz dziedzińcem), od dekad nieremontowany – mógłby nie przetrwać.

Nie bez powodu tuż obok przestrzeni scenicznych w Kamienicy szybko pojawiło się miejsce na okazałą makietę przedwojennej stolicy, a przed bramą prowadzącą na dziedziniec stanął zabytkowy tramwaj. Przy Alei Solidarności 93 spotkały się współczesność z pamięcią i warszawską tożsamością, a także ponadczasową życzliwością dla drugiego człowieka.

Drzwi skrytego w podziemiach teatru od początku jego funkcjonowania otwierały się na różne potrzeby. Nie tylko artystyczne, choć te oczywiście dominują. Scena wychodziła naprzeciw widzom pragnącym relaksu i rozrywki, a także tym borykającym się z różnymi problemami oraz współczesnymi zagrożeniami. Ludziom w różnym wieku, o różnym statusie i z różnymi obciążeniami.



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Od zagrożonych cyfrową pustką i bezdusznością nastolatków, przez dorosłych uwięzionych w toksycznych relacjach, po m.in. osoby w kryzysie bezdomności.

Jeśli jakiś warszawski teatr konsekwentnie poszerza także swoją pozasceniczną misję, jest nim właśnie Kamienica. Aż trudno uwierzyć, że tych prospołecznych, prowarszawskich, proludzkich działań nie wspiera ratusz, którego siedziba znajduje się w tak bliskim sąsiedztwie.

ODKOPANE MARZENIA

„Kamienica, Kamienica / Jeszcze niedawno tu była piwnica / A dzisiaj teatr pośrodku stolicy / Który zaprasza do kamienicy / Kamienica, Kamienica / Mówią salony, gada ulica / Tu z Melpomeną trwa rendez-vous / W gustownym flircie, beztrosko, bez snu" – rozwija się tekst ballady. Tymczasem w tle coraz wyraźniej widać powód „zasypywania" Kamienicy.

Emilian Kamiński – także z budowlanej perspektywy – dokonał niemożliwego i tym samym pobudził apetyty. Na wielki zysk.

Tytaniczną pracę rozpoczął w 2000 r., z zapewnieniami o przychylności ówczesnych władz Warszawy. Przez pięć lat zbierał fundusze i materiały niezbędne do zrealizowania inwestycji. Potem dzielił życie między budową a sceną. Koszty rosły (także te prywatne i zdrowotne), ale udało się m.in. wzmocnić betonową opaską fundamenty, zapewniając bezpieczeństwo całemu budynkowi. 27 marca 2009 r., w Międzynarodowy Dzień Teatru oraz w setną rocznicę wybudowania kamienicy, nastąpiło uroczyste otwarcie. A potem obok radości z teatralnej kreacji zaczęły się pozaartystyczne schody.

OD DOŁU PO STRYCH

Miasto (które jest większościowym właścicielem kamienicy) z decyzji na decyzję, z opóźnienia na opóźnienie wycofywało m.in. możliwość wykupu odbudowanej przestrzeni. W latach 2012–2013 (wraz ze wspólnotą mieszkaniową) ogłosiło konkurs na... wykup strychów za przysłowiową złotówkę. Zapisane w umowie remonty (koszt to 3,5 mln zł) nigdy się nie odbyły, ale właściciel, biznesmen widmo, pozostał.

26 grudnia 2022 r. (po pięciu latach od zdiagnozowania nowotworu płuc) zmarł Emilian Kamiński. O spełnienie woli twórcy Kamienicy walczy dziś Justyna Sieńczyłło wraz ze starszym synem, Kajetanem. – Chcemy zabezpieczyć teatr, uzyskać stabilizację – mówią. Zarządzanie obiektem coraz bardziej przypomina jednak bicie głową w kamieniczny mur.

Od kilkunastu miesięcy trwa – wspierana przez niektóre media – narracja, że rodzina zamierza przejąć cały budynek. Przedstawiciele ratusza skarżą się na naciski ze strony teatru i powołują na... zagrożone dobro lokatorów (przy czym z 46 lokali w kamienicy zajętych jest 16). Wszelkie próby negocjacji są blokowane. Trwa przedłużanie stanu zawieszenia. Wielkim nieobecnym całej sytuacji jest prezydent Trzaskowski.

BEZ (DOBREJ) WOLI

Równocześnie z zasypywaniem Kamienicy trwa hojne obdarowywanie innej instytucji – Teatru Żydowskiego, który stracił siedzibę przy Pl. Grzybowskim. Stołeczny ratusz (wykładając niebagatelne pieniądze) przebudowuje dziś dla Teatru Żydowskiego Teatr na Woli – efekt pasji, wizji i talentu genialnego aktora i reżysera Tadeusza Łomnickiego. Scenę z tradycjami i artystycznym dorobkiem.

Przedstawiciele ratusza nie mają dylematów, modernizując budynek z taką przeszłością, w takiej lokalizacji i o takiej kubaturze. Nie będzie w nim jednak miejsca dla tradycji i kultury „robotniczej Woli", dla pamięci m.in. sierpnia 1944 r. ani dla artystycznej spuścizny Tadeusza Łomnickiego.

Fot. Teatr Kamienica

eprasa.pl b471be45b5



Maciej ***Walaszczyk***

Symfoniczny list miłosny

Mahler odniósł sukces za życia, ale jako dyrygent oraz dyrektor oper w Wiedniu i Nowym Jorku. Jako twórca był niezrozumiany. Został doceniony właściwie kilka dekad po śmierci, choć nawet dziś ma zarówno zdecydowanych zwolenników, jak i przeciwników. Jednak jego długie, czasem monstrualne i poetyckie symfonie domykały drzwi za epoką romantyczną, wyprowadzając muzykę ze ślepego zaułka, w który zabrnęła.

Również ta płyta jest dowodem, że Mahler to twórca muzyki totalnej, pragnącej wyrażać wszystko – zarówno emocjonalną niepewność, jak i entuzjazm oraz optymizm. Tworzenie zostawiał sobie na czas wolny i wakacje. Któregoś razu spędzał je w swojej willi w malowniczej Karyntii. To tam powstała słynna V Symfonia, będąca zapisem burzliwej miłości do Almy Schindler, młodszej o prawie 20 lat artystki, która potem została jego żoną. Małżeństwo było raczej nieudane, jednak gwałtowne uczucie, zapisane w melodii Adagietta, swoistego muzycznego listu miłosnego do Almy, którego fragment został wykorzystany m.in. w „Śmierci w Wenecji" Viscontiego, jest znane wielu nieświadomym tego słuchaczom. Adagietto oznacza powolutku, a w zależności od wykonania ta nieuchwytna i piękna melodia trwa od 7 do 12 minut. Andris Nelsons dołącza swoim wykonaniem do takich znakomitości, jak Herbert von Karajan i Leonard Bernstein, znakomicie rozwijając tych kilka stron partytury aż do 11 minut.

Godzinna symfonia rozpoczyna się nietypowo, powolnym i kroczącym miarowo marszem żałobnym, intonowanym przez trąbkę (Mahler dorastał w sąsiedztwie koszar), a całość jest zmienna, pełna kontrastów i nastrojów. Część pierwsza to poważna medytacja na temat śmierci, będącej zwieńczeniem dobrego życia. Kolejna, a więc scherzo, obrazuje „chaos, z którego powstanie świat, po to, by zaraz znów się rozsypać". Część trzecia oznajmia triumf dobra, siły i jasności. Ta rewelacyjna interpretacja, utrwalona na nagraniu orkiestry wiedeńskich filharmoników dyrygowanej przez Nelsonsa, zapowiada zaplanowane na jesień wydanie pełnego cyklu symfonicznego kompozytora i jest jednym z kilku podobnych przedsięwzięć łotewskiego maestra. Wiosną ukazały się symfonie i oratoria Mendelssohna, kilka lat temu komplet symfonii Beethovena, a także znakomity cykl nagrań 15 symfonii Szostakowicza, za które Nelsons zgarnął kilka nagród Grammy.



Gustav Mahler, V Symfonia, Andris Nelsons i Wiener Philharmoniker, Deutsche Grammophon 2026

Neonowo-różowy totalitaryzm

Słoweński zespół Laibach zawsze balansował między szeroko pojętą muzyką pop a jej przetwarzaniem i testowaniem w ten sposób granic języka, ideologii i ludzkiej percepcji. „Po rozłożeniu na czynniki pierwsze wprowadzamy ją z powrotem do obiegu w zmienionym kontekście, aby wyraźniej pokazać jej wewnętrzną logikę" – tłumaczył kiedyś Ivan Novak. Przykładem jest choćby słynne „Life is Life" czy przeboje Beatlesów i Queen, brzmiące niczym marsze z nazistowskiego parteitagu. Tak było w czasach komunizmu, gdy w swoich nagraniach i scenicznym wizerunku zespół używał monumentalnych i czytelnych zarazem atrybutów władzy totalitarnej, chcąc w ten sposób pokazać, że masowa sztuka stała się przedmiotem kulturowej i politycznej manipulacji. Oczywiście z wyjątkiem tej, która – jak oni – „mówi językiem samej manipulacji", demaskując jej naturę i cele. Sporo w tym z koncepcji Theodora Adorna, ale darujmy im to.

Zespół ciągle wraca do tej symboliki, by pokazać, że nigdy nie zniknęła, jedynie zmieniła formę. Należy zwrócić uwagę, że to algorytmy kształtują masowe gusta, a popkultura pełni rolę „najskuteczniejszego kanału dystrybucji panującej ideologii". Jej przesłanie często jest ukryte w estetyce, która tylko wydaje się uwodzicielska i nieszkodliwa. Wszak żyjemy w czasach, gdy codziennie publikowanych jest ponad 100 tys. nowych utworów. Komunikuje to już neonowo-różowa kolorystyka okładki, ale przede wszystkim taneczna muzyka, jaką zawiera „MUSICK". Jej produkcją zajął się Richard Philips, ukryty pod pseudonimem Richard X, znany choćby ze współpracy z Sugababes. Dzięki temu Laibach stosuje łatwo rozpoznawalne, wręcz uwodzicielskie brzmienia, by udowodnić, że władza została zintegrowana z naszym codziennym życiem do tego stopnia, że już jej nie rozpoznajemy. To „karnawalizacja polityki", algorytmy, krzykliwe slogany, rytmy i brzmienia, przez które krąży i staje się powszechnie akceptowalna. „Laibach mówi nam, że pop stał się rodzajem folkloru cywilizacji przemysłowej, bo jest prosty, powtarzalny, łatwo wpada w ucho, szybko się rozprzestrzenia i działa efektywnie (»Allgorhythm«). Już David Bowie zwrócił uwagę, że „Hitler był pierwszą gwiazdą pop". Dlatego współczesny totalitaryzm nie potrzebuje monumentalnych symboli XX w., nie zniknął, stał się łagodniejszy, po prostu zmienił formę.



Laibach, „MUSICK", MUTE/PIAS 2026

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl b471be45b5





HITY i KITY ZAREMBY

„Rocznica", czyli męczeństwo liberałów

Niedawno pisałem tu o brytyjskim „Dobrym chłopcu" Jana Komasy, filmie o wymowie tyleż niejasnej, co intrygującej. Jego amerykański debiut „Rocznica" z zeszłego roku pojawił się teraz w Canal+. Tu wymowa jest aż nadto jasna. To wielka przestroga przed prawicą, opowieść o wydumanym męczeństwie liberałów z USA

Kiedy film się zaczyna, trudno nie mieć skojarzeń z polskim „Hejterem" Komasy, obrazem z 2020 r. Wciąż jeszcze młody reżyser przekonywał wtedy, że jest niemal symetrystą. Owszem, główny bohater, grany przez Macieja Musiałowskiego, dopuszczał się strasznych rzeczy w imię zemsty na rodzinie należącej do elity, która traktowała go protekcjonalnie. Tę elitę pokazano bez nabożeństwa, symetryzm był tam jednak pozorny. Tytułowy „hejter", organizujący kampanie w necie, okazywał się postacią złowrogą, więc patrzący na niego z góry inteligenci właściwie mieli rację.

W „Rocznicy", początkowo kameralnym dramacie rodzinnym, do familii amerykańskich intelektualistów z mamą, profesorką Georgetown, syn Josh wprowadza swoją dziewczynę. Mimo eterycznej postaci Phoebe Dynevor nad Elisabeth unosi się klimat podejrzenia o „radykalne poglądy". Pani profesor (Diane Lane), która kiedyś poznała ją jako studentkę, doprowadziła do jej odejścia z uczelni. Owe poglądy polegają na forsowaniu wizji demokracji bez partii i podziałów, bazującej na jedności narodowej i tradycyjnym patriotyzmie.

Mamy wyniosłość matki i dystans liberalnych sióstr Josha, którym jedność kojarzy się z występkami białych kolonizatorów. Z czasem sytuacja się zmienia. Anna pisze książkę, która nie tylko odnosi rynkowy sukces, lecz także nakręca polityczny ruch Zmiana. Jego ideologia stopniowo – skądinąd w niedopowiedzianych okolicznościach – przejmuje władzę nad Ameryką.

W tym momencie film zmienia się w political fiction, trochę w typie „Jednej bitwy po drugiej" Wesa Andersona czy „Civil War" Alexa Garlanda. Dyktatura pokazywana z perspektywy jednego domu jest zaskakująco przewidywalna (godzina policyjna, inwigilacja w postaci spisu powszechnego). Liberalna rodzina Taylorów początkowo jest obciążana pewnymi wadami, ba, brzydkimi postępkami (jedna z sióstr dokonuje aborcji bez wiedzy swojego partnera). Ale w obliczu systemu policyjnego nabiera swoistej heroizacji, niczym Żydzi podczas Holokaustu. Na końcu to już tylko godne współczucia ofiary.

Najciekawsze jest to, że Komasa jak ognia unika konkretów. Prawie w ogóle nie poznajemy ani założeń ideologii Zmiany, ani zbyt wielu poglądów prześladowanych liberałów. O co toczy się tu spór? W imię czego przebudowuje się społeczeństwo? Wobec tego proroctwo jest jeszcze bardziej złowrogie. Jednocześnie Komasa nie musi toczyć żadnych ideowych polemik, których mógłby nie wygrać. Choćby o to, czy amerykański system akademicki nie jest naprawdę zdominowany przez liberalną poprawność. Zdawkowo sygnalizuje się to jako temat, ale film przestrzega przed czystym złem, mającym na dokładkę podkładkę biznesową, bo Zmianę animuje tajemnicza Cumberland Company, archetyp złowrogiej korporacji.

Jest to i naiwne, i gołosłowne, chwilami – blisko finału – infantylne. Oczywiście „Rocznica" jest odczytywana przez pryzmat antytrumpowej histerii elit, tak plastycznie pokazanej choćby w kolejnych seriach „American Horror Story". Trump nie propaguje systemu jednopartyjnego ani tym bardziej jedności narodowej. Jest raczej jej przeciwieństwem. Ale Jan Komasa obficie korzysta z klimatu obecnej psychozy, nie proponując nam przy tym żadnej wartości dodanej.

Piotr Zaremba

Fot. Monolith Films

Tokarczuk zgłębia istotę kryminału

„Otwórz oczy", spektakl warszawskiego Teatru Polskiego, to udana próba adaptacji prozy Olgi Tokarczuk na scenie. Mamy do czynienia ze zgrabną literaturą

Igor Gorzkowski, reżyser wytrawny i pomysłowy, przygotował na małą scenę Teatru Polskiego dwa opowiadania Tokarczuk ze zbioru wydanego w 2001 r. „Otwórz oczy, już nie żyjesz" to przypowieść o naturze literackiego kryminału. „Próba generalna" jest tekstem postapokaliptycznym, zapisem świadomości ludzi przeżywających światowy kataklizm we własnym mieszkaniu.

Były już opowieści o przenikaniu się literatury i realnego życia, w których nagle jedno znajduje się w drugim, a postaci z życia niejako wchodzą do utworów (albo na odwrót). Tak dzieje się z C., namiętną czytelniczką kryminałów. Na drugim planie mamy jej skromne mieszkanie (scenografia Honzy Polivki), na pierwszym – postaci z powieści, autorki i autorzy poczytnych kryminałów, spotykają się we flandryjskim dworku i z woli gospodyni grają „w mordercę" (stąd pochodzi tytułowe wezwanie). Kiedy w książce nic się nie zmienia, C. zaczyna się niecierpliwić...

Mamy do czynienia ze znakomitą galerią. Ostatnio bawili mnie tak bohaterowie „Pułapki na myszy" Agaty Christie w Teatrze Ateneum. Ewa Makomaska jako ekspansywna gospodyni Ulryka, Michał Kurek – playboyowaty amerykański pisarz Lew, Marta Kurzak – Anne Marie, egzaltowana francuska feministka, Adam Biedrzycki – zadufany w sobie pisarz polsko-niemiecki (?), Krystian Modzelewski – klasyczny Anglik Longfellow. To bardziej typy niż pełne postaci, ale jakże brawurowo przywołane.

Anny Cieślak jako C. nie można poznać zza okularów. Za to Henryk Niebudek jest typowym komisarzem policji w wymiętym prochowcu. I jeszcze znakomita Katarzyna Lis jako szara myszka, panna Schatzky. W tej zabawie, prowadzonej w zawrotnym tempie, pisarka ukryła refleksje o kryminale jako gatunku i o literaturze w ogóle. Uderza – zwłaszcza we fragmentach narratorskiego opisu – barwny, mięsisty język Tokarczuk.

Mniej ekscytująca wydała mi się druga, katastroficzna przypowiastka. Głównie dlatego, że takich utworów, pokazujących niemal koniec świata, widziałem już dużo. Autor adaptacji, Irek Grin, zrobił z pary męsko-damskiej parę żyjących ze sobą mężczyzn. Rozumiem, że idziemy z postępem, ale wydało mi się to sztuczne. Za to pochwały dla Krystiana Modzelewskiego, Henryka Niebudka, Adama Biedrzyckiego i Anny Cieślak. Zagrali to sugestywnie.

Publika – przeważnie w podeszłym wieku – reagowała na tekst drugiej jednoaktówki śmiechami, choć nie była to komedia. Dziś w teatrze to niestety coraz częstsze. Pewnej pani w pierwszym rzędzie rozdzwonił się telefon. A siedziała blisko Adama Michnika...



Fot. Dawid Stuber/Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie

JAK UBEZWŁASNOWOLNIĆ FACETA?

Lubię tasiemce TVP: „M jak miłość", „Barwy szczęścia" czy „Na dobre i na złe". Właśnie kończy się ich kolejny sezon. Kilka uwag – o tendencjach

Ktoś może spytać, co znajduję w serialach, w których często kończy się wątek lub usuwa postać, bo aktor chce odejść do innego projektu. Są w nich całe wątki przesłodzone, naiwne, sztuczne. Ale bywają obserwacje wzruszające i celne.

„M jak miłość" trwa od 2000 r. Niektórzy uważają tę operę mydlaną za symbol kiczu. Ja cenię serial za jedno: ta familijna saga to hymn na cześć więzów rodzinnych. Dziś rodzinę częściej pokazuje się jako więzienie.

Zarazem zwłaszcza o wątkach pobocznych czasem w większym stopniu decyduje zamiar nauczenia czegoś publiczności niż konsekwencja psychologiczna lub atrakcyjność akcji. Oto mamy braci Chodakowskich, spokrewnionych z Mostowiakami. To, jak potraktowano postać Marcina Chodakowskiego, granego przez modnego amanta Mikołaja Roznerskiego, stanowi ciekawy przykład niebezpośredniej, ale w jakimś stopniu indoktrynacji widowni.

Zawsze był detektywem. Po rozwodzie związał się z Kamą, dawną tancerką go-go, twardą Ślązaczką (dobra Michalina Sosna). Po różnych niebezpieczeństwach czyhających na Marcina postanowiła zmusić go do zmiany zajęcia. Wymogła to na nim za pomocą trwającego przez wiele odcinków rozstania. Co autorzy serialu traktowali z aprobatą, szukając – choćby przez reakcje innych postaci – uzasadnień.

Marcin ustąpił – z miłości. Dziś jest znudzonym nową pracą człowiekiem, na dokładkę Kamę czeka kara, bo uwzięła się na niego szefowa. W spokojnej korporacji postanowiła go uwieść. Dla mnie znamienne były dwie wymowy. 1. Facet powinien słuchać kobiety. 2. Każde narażanie się na niebezpieczeństwo to uderzenie we własną rodzinę. Co więc z policjantami czy strażakami? Mają nie mieć rodzin?

To typowe dla współczesnych trendów cywilizacyjnych, uznających bezpieczeństwo za bezwzględny priorytet. Co zabawne, także w „Barwach szczęścia" był podobny motyw. Dziennikarz śledczy Łukasz (Michał Rolnicki) tak się narażał, że jego żona (Katarzyna Glinka) się z nim rozwiodła. Dostał nauczkę, po czasie sam przepraszał, że „lekceważył" rodzinę. Ba, zaprzyjaźnił się z nowym partnerem żony. Trudno o lepszą naukę, jak ubezwłasnowolnić faceta.

eprasa.pl b471be45

GULIWER Z TEATRU GULIWER

80 lat z warszawskim Guliwerem



O siem dekad. Warszawski Teatr Guliwer świętuje właśnie taki jubileusz. Pierwsza premiera – „Szewczyk Dratewka" według Marii Kownackiej w reżyserii Ireny Sowickiej, założycielki zespołu teatralnego – odbyła się w sali Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci przy ul. Marszałkowskiej 8 w kwietniu 1946 r. W grudniu kolejnego roku, przy okazji wystawienia sztuki „Guliwer w krainie liliputów", Irena Sowicka nadała teatrowi nazwę, istniejącą do dziś.

Od tamtego czasu Guliwer – podobnie jak bohater powieści Jonathana Swifta – podróżował, szukając swojego miejsca. Ponad pół wieku temu, w 1970 r., zakotwiczył, a potem na dobre zadomowił się przy ul. Różanej 16.

W roku jubileuszu (także pierwszego wydania satyrycznej powieści z kluczem „Podróże Guliwera" – a właściwie „Podróże do kilku odległych narodów świata w czterech częściach autorstwa Lemuela Guliwera, najpierw chirurga, a potem kapitana kilku statków" – które ukazały się w październiku 1726 r.!) bohater z Różanej znów wyruszył w drogę. Wędruje na własnej scenie, w zmodernizowanej siedzibie teatru.

Premiera „Podróży Guliwera" w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego odbyła się w lutym i od tego czasu spektakl regularnie pojawia się w repertuarze, więc do współcześnie zinterpretowanych krain, które odwiedza bohater, można się wybrać także w nadchodzących dniach i tygodniach.

Skierowana do młodych (ale nie najmłodszych) widzów adaptacja słynnej powieści łączy klasyczną formę teatru lalek z elementami rzeczywistości wirtualnej. Pokazuje, że nawet najdłuższe szlaki i zaskakujące – przeskalowane – postaci dzięki grze wyobraźni bez problemu zmieszczą się na kameralnej scenie. Potrzebny jest tylko dobry punkt wyjścia, koncept, jak w innej tegorocznej premierze Guliwera – spektaklu „Ucho", do którego inspiracją (również książki, na podstawie której powstał) było... ucho słynnego malarza Vincenta van Gogha.

Ostatnią jubileuszową premierą na Różanej będzie przedstawienie zrealizowane przy pomocy widzów Teatru Guliwer. Powstanie na finał trwającego od początku sezonu projektu „Guliwer 80. Teatr i Ludzie". W jego ramach tworzone są też archiwum społeczne sceny pod hasłem „Guliwer i ja" oraz publikacje reportażowe.



Guliwer wraz ze swoimi aktorami wędruje też dosłownie. M.in. na festiwale: teatralne (w Opolu, Wałbrzychu i Toruniu), filmowe (Młode Horyzonty), Festiwal Muzyki Współczesnej dla Dzieci „Mała Warszawska Jesień" czy festiwal Kultura bez Barier.

Ostatnio po drodze było mu też do Teatru Telewizji, w związku z premierą przedstawienia „Niezwykła historia Sebastiana Van Pirka" Marcina Wichy w reżyserii Marka Zákosteleckiego. Najważniejszy dla warszawskiego Guliwera pozostaje jednak adres: ul. Różana 16 i istniejąca tam teatralna przestrzeń, do której gorąco zaprasza.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Teatr Guliwer

eprasa.pl b471be45b5



SŁODKO-SŁONY

Bób ze skwarką

ANNA MONICKA

Czekam na niego bardziej niecierpliwie niż na szparagi. Żałuję tylko, że odkąd zrobił się modny, dopadła go drożyzna. A przecież od wieków zajadała się nim raczej biedota w Egipcie, Grecji i Rzymie. Zanim Kolumb odkrył w Ameryce fasolę, która świetnie się u nas zadomowiła, Europa jadła właśnie bób, bo sycił szybko i na długo. Jedni rozgotowywali go na papkę, inni robili kotleciki, pulpeciki, podawali z sosem pomidorowym. Nie bez powodu jego łacińska nazwa – faba – oznacza jedzenie, pożywienie.

Nie każdemu odpowiada jego smak i zapach, ja jednak należę do grupy bobożerców i w sezonie – niestety za krótkim – mogłabym mieć go w jadłospisie codziennie. Dlatego, aby uchronić się przed nudą i jedzeniem po prostu gotowanego bobu z solą, eksperymentuję i szukam nowych przepisów.

Młody to mój przysmak, doskonały razem z łupinkami. Krótko gotowany – najlepiej na parze, by zachował jak najwięcej cennych witamin – podaję z różnymi sosami: koperkowym z oliwą i czosnkiem, cytrynowo-miodowym, posypany świeżą miętą i startą skórką z cytryny, oprószony wiórkami masła albo podsmażony na oliwie z czosnkiem, posypany parmezanem...

Zwykle wybieram opcję bezmięsną, ponieważ bób zawiera wystarczająco dużo białka, ale u znajomych skosztowałam warzywo przyrządzone na sposób andaluzyjski, czyli z szynką dojrzewającą. Jest to wersja nieco bardziej pracochłonna, bo ziarenka po ugotowaniu trzeba przelać lodowatą wodą, a potem obrać ze skórek i osączyć. Potem odbywa się smażenie – najpierw na rozgrzaną oliwę wrzucamy przeciśnięty przez praskę czosnek i drobno pokrojoną cebulkę, po dwóch, trzech minutach dodajemy pokrojoną w kostkę szynkę, a po kolejnych kilku chwilach wrzucamy na parę minut bób. Ponieważ wędlina jest dość słona, na koniec danie wystarczy oprószyć świeżo zmielonym pieprzem. Podobnie przygotowujemy wariant kaszubski, z wędzonym boczkiem, tyle że najpierw robimy skwarki, potem wrzucamy cebulkę, a na koniec dodajemy ugotowany bób (może pozostać w skórkach) i posypujemy koperkiem.

Do tego wystarczą młode ziemniaki i kefir lub chłodnik. Doskonały obiad w czasie upałów gotowy.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Tygrys, lampart, ryś

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wielkie koty – w rozumieniu drapieżnych kotowatych osiągających znaczne rozmiary (choć to niejedyna cecha decydująca o przynależności do tej grupy, oprócz wielkości istotna jest także zdolność do wydawania ryku) – nie kojarzą się z Polską. I słusznie, ponieważ ani ryś, ani tym bardziej tajemniczy żbik, choć są kotami drapieżnymi, nie należą do wielkich kotów. Spójrzmy jednak na rodzime drapieżniki, a konkretnie na rysia, z nieco innej perspektywy, a zobaczymy obraz frapujący i zaskakujący.

Największym spośród kotowatych jest tygrys. Masa ciała osobnika z podgatunku zwanego amurskim lub syberyjskim (*Panthera tigris tigris*) może przekraczać 300 kg. Podgatunek z Wysp Sundajskich (*Panthera tigris sondaica*) jest znacznie mniejszy – samice tamtejszych tygrysów rzadko ważą więcej niż 100 kg, a niejednokrotnie wyraźnie mniej, nawet 75 kg.

Z kolei największe podgatunki lampartów – lampart afrykański (*Panthera pardus pardus*) i perski (*Panthera pardus tulliana*) – mogą być większe od najmniejszych tygrysów, ponieważ należące do nich samce osiągają masę niemal 100 kg.

Najmniejszy z podgatunków lamparta, niezmiernie rzadki lampart arabski (*Panthera pardus nimr*), bywa naprawdę drobny – niektóre dorosłe samice ważą zaledwie 18 kg.

I tu pojawia się wspomniana inna perspektywa, skłaniająca do spojrzenia na rysia eurazjatyckiego jak na drapieżnika naprawdę sporego formatu.

W Polsce żyją rysie dwóch podgatunków: północnego nizinnego (*Lynx lynx lynx*) i górskiego karpackiego (*Lynx lynx carpathicus*). Rysie nizinne, na ogół bardziej płowe i o mniej kropkowanym futrze, są nieco mniejsze. Duże samce rysia karpackiego, którego futro ma bardziej intensywny odcień, z wyraźną żółto-pomarańczową nutą i ciemnymi cętkami, dorastają natomiast nawet do 30 kg masy ciała.

Jeżeli więc ułożyć tygrysy, lamparty i rysie na zakładkę pod względem masy, okaże się, że nasze drapieżne koty wcale nie są tak małe, nawet w porównaniu z niektórymi spośród tygrysów, a bywają niemal dwukrotnie cięższe od drapieżników tak przecież egzotycznych jak lamparty.

eprasa.pl b471be45b5

3 MIŁOŚCI

Terapia kryształami



ROBERT TEKIELI

Przyjęty przez rząd projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta budzi nadzieję. Na rozpoczęcie walki z szarlatanami żerującymi na ludzkim nieszczęściu czekam od 30 lat – od momentu, w którym zaczęło do mnie docierać, jak potężny rynek stworzono dzięki zaniechaniu przez państwo obowiązku obrony osób bezradnych wobec działalności oszustów medycznych. Jaką cenę ma rozpoczęcie pseudoterapii?

Jacek Kaczmarski „leczył się" gipsem i czosnkiem. Ordynujący mu ten „lek" cyniczny przestępca udający lekarza nie poniósł odpowiedzialności za swoje czyny.

Swego czasu odwiedziłem w więzieniu innego „profesora", oszusta. Działał długo, prowadził gabinet przy profesorskiej ulicy w Krakowie, przyjmował setki pacjentów. Czytając jego reklamówki, miałem kłopot, by rozpoznać oszustwo. Jego nieuctwo zdradził dopiero charakterystyczny dla samouków błąd językowy. Trudno się dziwić, że ludzie dawali się omamić temu sprzedawcy fałszywej nadziei.

Prof. Pawlicki, szanowany onkolog, wieloletni kierownik Kliniki Chemioterapii Nowotworów w Centrum Onkologii w Krakowie, 20 lat temu oszacował, że w Polsce w wyniku rezygnacji z terapii na rzecz alternatywnych pseudoterapii umiera co roku 10 tys. chorych.

Do dziś pamiętam opowiedzianą przez niego z potężną emocją historię 15-letniej dziewczyny, której rodzice odrzucili leczenie, dowiedziawszy się, że ma ona „tylko" 40 proc. szansy na wyzdrowienie. Wróciła do kliniki po 6 miesiącach, ważąc 30 kg. Jak mówił, nic już nie dało się dla niej zrobić.

Do tej pory walka z pseudomedycyną była prowadzona przez nieliczne osoby świadome zagrożeń, więc samo zajęcie się oszustami przez instytucje państwowe należy ocenić pozytywnie. Wprowadzane właśnie prawo ma eliminować możliwość diagnozowania i „leczenia" chorób bez stosownych uprawnień medycznych, oferowania pacjentom i stosowania metod bezwartościowych medycznie, niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną, ale które są przedstawione, reklamowane i oferowane jako skuteczne w leczeniu chorób, czyli przypisywania im właściwości leczniczych wbrew faktom. Prawo to ma również eliminować dezinformację medyczną, rozumianą jako działanie wprowadzające w błąd i polegające na publicznym rozpowszechnianiu lub promocji metod niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną jako skutecznych w leczeniu chorób lub kwestionowanie uznanych metod leczniczych.

Zastanawiam się jednak, jaką skuteczność będzie miało wprowadzane właśnie prawo, skoro jednocześnie państwo polskie oficjalnie autoryzuje działalność szarlatanów. W państwowej Klasyfikacji Zawodów i Specjalności z 2025 r. pod numerem 516101 znajdujemy bowiem bioenergoterapeutę, chiropraktyka, irydologa, homeopatę i osteopatę. Nasze państwo autoryzuje ponadto takie formy pseudomedycyny jak terapia kryształami, irydologia, system Unani czy tradycyjne leki afrykańskie. Zalegalizowana jest też działalność uzdrowicieli, hipnoterapia, shiatsu, masaż tajski, watsu, qi gong tui na i terapia Bacha.

Na czym polega qi gong tui na? „Na przekazaniu energii Qi z zewnątrz do wnętrza ciała pacjenta oraz pobudzeniu przepływu Qi i krwi w organizmie". Tyle że „energia Qi" nie istnieje. Czym jest terapia Bacha? Jej odkrywca zbierał rosę z płatków kwiatów i twierdził, że zawiera ona lecznicze „wibracje kwiatowe", a według systemu Unani śluz wypływający z nosa pochodzi z mózgu.

W dokumencie zamieszczonym na stronach rządowych bardzo małym drukiem napisano: „Korzyści zdrowotne wynikające z przeprowadzania tych czynności nie są oparte na danych naukowych dotyczących diagnozowania i leczenia chorób i jak dotąd nie zostały w pełni ocenione w sposób, który może być powszechnie akceptowany jako oparte na dowodach".

Państwo reguluje działalność medyczną, zastrzegając, że metody te nie są ani skuteczne, ani przebadane naukowo. Czy ta schizofrenia może się skończyć? Wątpię.

Nie wiem, jak dziś jest w Polsce, ale wartość rynku medycyny alternatywnej w USA już ponad 20 temu przekroczyła wartość rynku medycyny bazującej na dowodzie.

Obecność kolosalnych pieniędzy na polskim rynku pseudomedycznym może doprowadzić do stępienia ostrza omawianych regulacji państwowych. Do tego należy wziąć jeszcze pod uwagę oświeceniowe przesądy środowiska medycznego. Istnieją bowiem dziedziny pseudomedycyny, których szkodliwość polega na oddziaływaniu duchowym. Najbardziej rozpowszechnioną jest bioenergoterapia. Ukrywa się ona za parawanem neutralności i naturalności, a jest metodą inicjacji duchowej. Opisuje się ją jako technikę przekazywania chorym nieznanej formy energii, która uzdrawia. Bioenergoterapeuci twierdzą, że korzystają z nierozpoznanych jeszcze przez naukę zdolności człowieka oraz że wykorzystują mechanizmy przyrody.

W istocie bioenergoterapia wyrasta z tradycji mesmeryzmu, który jest nowoczesną odmianą spirytyzmu. Otwarcie

eprasa.pl b471be45b5



bioenergoterapeuty na nadzmysłową rzeczywistość „energetyczną" jest tożsame z otwarciem się na toksyczny świat duchowy.

Clive Harris od lat 70. przyczyniał się do rozpropagowania bioenergoterapii w Polsce. Zapytany przez swą tłumaczkę, Marię Pieńkowską, zaniepokojoną rozłamami w swojej wspólnocie pomagającej Harrisowi w organizowaniu spotkań, o to, w jaki sposób uzdrawia, odpowiedział wprost: „Przy pomocy duchów". Nie był też w stanie oddziaływać na nią, gdy modliła się na różańcu w trakcie seansu bioenergoterapeutycznego. Jak powiedział: „Coś blokuje moją energię".

Oprócz problemów duchowych bardzo częste są przypadki uzależnienia się pacjentów od swoich bioenergoterapeutów. Prof. Pawlicki opisał przypadek 50-letniej wykształconej kobiety, która zjawiła się u niego z 17-centymetrowym guzem. Przez 9 miesięcy była zwodzona przez bioenergoterapeutę twierdzeniami o „wychodzeniu choroby na wierzch". Nawet pojawienie się zmian ropnych, smrodu i uciążliwego bólu długo nie podważyło jej zaufania do szarlatana. Tłumaczyła, że po każdej wizycie u niego czuła się świetnie i była pewna uzdrowienia...

Osobną dziedziną, którą polskie państwo musi w końcu zablokować, jest pseudopsychologia. Istnieje przynajmniej kilkanaście rozpowszechnionych w naszym kraju pseudoterapii. Proponowane są obok metod skutecznych. Radykalne wybaczanie, kinezjologia edukacyjna albo metoda Berta Hellingera całkowicie bezpodstawnie dają cierpiącym ludziom nadzieję na zdrowie psychiczne. Czasami wręcz pogłębiają ich dysfunkcje.

Popularność pseudomedycyny jest powiązana z trendami kulturowymi. Zaufanie społeczeństw do „medycyny" alternatywnej podlega fluktuacji. Pod koniec XIX w. w USA działało ponad 20 uczelni homeopatycznych i przeszło 100 szpitali. Utworzenie Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego doprowadziło do zamknięcia niemal wszystkich uczelni homeopatycznych do lat 20. XX w. W latach 70. rozpoczął się renesans homeopatii i trwa do dziś. Ma to związek z rozwojem ruchu New Age i wzrostem zainteresowania naturalnymi metodami leczenia. Homeopatia stała się popularnym i szeroko dostępnym segmentem rynku leków bez recepty. Co zadziwiające, w Stanach Zjednoczonych produkty homeopatyczne klasyfikuje się jako leki, ale ich bezpieczeństwo i skuteczność nie są weryfikowane przez amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków. Polskie przepisy pozwalają na przewożenie tych preparatów przez granicę bez jakichkolwiek regulacji, tak przecież restrykcyjnych wobec prawdziwych leków. Co ciekawe, dzieje się tak „ze względu na ich nieskuteczność".

Prof. Pawlicki, szanowany onkolog, wieloletni kierownik Kliniki Chemioterapii Nowotworów w Centrum Onkologii w Krakowie, 20 lat temu oszacował, że w Polsce w wyniku rezygnacji z terapii na rzecz alternatywnych pseudoterapii umiera co roku 10 tys. chorych

Zainteresowanie medycyną alternatywną jest skorelowane ze wzrostem irracjonalnych tendencji w kulturze. Częściowo stanowi także efekt wojny kognitywnej wytoczonej Zachodowi przez Rosję, a dziś zapewne również przez Chiny. Celem działań agentury wpływu jest podważenie zaufania obywateli do państwa i ważnych segmentów życia społecznego, jakim jest ochrona zdrowia.

Oczywiście nie można przeceniać wpływów zewnętrznych, choć należy im przeciwdziałać. Same instytucje upadającego na naszych oczach zachodniego porządku liberalnego są bowiem w dużej mierze odpowiedzialne za brak zaufania do „systemu". Jeśli korporacje farmaceutyczne wprowadzają w błąd opinię publiczną, by więcej zarobić, trudno się dziwić wzrostowi popularności pseudomedycyny i medycyny emocjonalnej, która korzysta z efektu placebo. Jeśli można kupić kampanie medialne, które wprowadzając w błąd opinię publiczną, przyczyniają się do zwiększenia zysków big pharmy kosztem zdrowia milionów ludzi, czy należy się dziwić popularności pseudoterapii?

Państwo polskie musi zablokować wpływ przestępczych działań lobby farmaceutycznego, uregulować rynek psychologiczny, wyraźnie oddzielić medycynę naturalną, np. ziołolecznictwo, od irracjonalnych metod „alternatywnych". A zajmujący się tą tematyką publicyści powinni cały czas podkreślać, że medycyna alternatywna nie istnieje, nie istnieją bowiem alternatywne prawa przyrody.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b471be45b5

OGNIEM NA WPROST

Nagroda brakującego ogniwa teorii Darwina



Andrzej Rafał Potocki

Najwyższy czas na omówienie sytuacji na froncie. Lecimy po kolei. Odcinek sumski – brak zmian od północy. Moskale tu utknęli. Kontynuują natomiast nacisk od wschodu. Mamy pewien problem z Wołczańskiem. Na ukraińskich kanałach pojawiają się informacje o odbiciu z ruskich rąk jakichś przedmieść, ale nic tego nie potwierdza. Stagnacja.

Odcinek kupiański – również stagnacja. Obie strony szukają punktu przełamania pozycji przeciwnika. Moskale mają tu jednak inicjatywę i próbują przenikać przez ukraińskie pozycje, wykorzystując gęsto rosnące drzewa. Ogólnie miasto jest jednak niezagrożone. Odcinek Izium – tu także brak zmian.

Słowiańsk. Moskale konsekwentnie idą na to miasto od południa i wschodu, ignorując Kramatorsk. Po zajęciu Słowiańska i Konstantynówki Kramatorsk nie ma szans na długą obronę. Także tu pojawiają się jakieś bełkoty o ukraińskiej kontrze, ale nie ma potwierdzeń. W rejonie Konstantynówki Moskale dotarli do miasta i próbowali wziąć je od południa, ale bez skutku. Topografia jest tu przeciw nim. Dlatego obecnie szukają obejścia od wschodu i zachodu, ale uniemożliwiają to ukraińskie pozycje obronne na skrzydłach.

Rejon Bachmutu. Moskale przypuścili szturm kolumną pancerną od strony Czasiw Jaru. Zupełnie jak na filmie albo ćwiczeniach dla sztabowców. Skończyło się jak zwykle. Masakrą. Rozkaz wydał i poprowadził ktoś, kto nie zna realiów wojny na Ukrainie i nie rozumie, że tego się nie robi, jeśli chce się żyć. Do bardzo podobnej sytuacji doszło na drodze między Czasiw Jarem a Bachmutem, gdzie drony dopadły kolumnę 20 Moskali z terenówkami DessertCross. Także w tym przypadku dowodzący przemarszem ewidentnie nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i jakie panują tu zasady. Tymczasem w ataku kolumny pancernej i działaniu tej grupki na wózkach golfowych widać rękę szkoleniowego betonu z tyłów.

To pojedyncze przypadki, choć w jednym rejonie. Jeśli będą się powtarzać, może to oznaczać, że odnalazły się siły, których przez kilka miesięcy nie mogliśmy odszukać. Jeśli jednak Moskale rzucili do walki siły tyłowe, szykowane na drugą fazę rozgrywki (ewentualnie przeciw NATO), potwierdzałoby to fatalną sytuację z werbunkiem. Do tego dochodzi swego rodzaju odwrócenie trendu: do tej pory skazańcy odsiadujący w Kacapii wyroki podpisywali kontrakty, by iść na wojnę i skrócić odsiadkę. Teraz zakontraktowani popełniają przestępstwa, aby trafić do więzienia i wyjść z wojny. Idziemy dalej.

Pokrowsk. Tu Moskale mają duży problem, bo chociaż zajęli miasto jakiś czas temu, to trudno mówić o kontrolowaniu całego terenu. Pokrowsk, będący ważnym węzłem komunikacyjnym, jest dla nich nie do wykorzystania. By to zmienić, muszą przesunąć front w kierunku północnym. Może to być trudne, zważywszy na ukraiński system umocnień. Moskale szykują tu jednak duże siły, więc nie sposób czegokolwiek przewidywać. Pod Hulajpolem Ruscy zgodnie z przewidywaniami utknęli na rzece Hajczul. SZU odnoszą największe sukcesy terytorialne koło Zaporoża, gdzie skutecznie likwidują skutki najbardziej durnego ataku bojców w rejonie Przymorska i Stepnogórska.

Ana koniec nowa nagroda przyznawana przez nas największym idiotom na froncie (na podstawie filmików umieszczonych w mediach społecznościowych). Nazwaliśmy ją Nagrodą Brakującego Ogniwa w Teorii Ewolucji Darwina (w skrócie – Nagroda Darwina). Trzy miejsca na podium bezapelacyjne zdobyły Kacapy. Pierwsze miejsce: ruski kaemista składa się do strzału w kierunku oddalonej o 30–50 m ciężarówki, załadowanej jakimiś zbiornikami. Filmujący do strzelca: „Gatow?". „Gatow!" – odpowiada kaemista, przeładowując broń. „Agoń!". Pada seria. Ciężarówka eksploduje. Wybuch zmiata z powierzchni ziemi filmującego i strzelca. Drugie miejsce: ruski oficer pokazuje młodemu bojcowi, jak się strzela z granatnika. Wyskakuje z ukrycia i kilkakrotnie przeładowuje, aż trafia w coś obok. Wybuch odrzuca oficera daleko w tył. Sytuacja jak wyżej. Czy przeżył – nie wiadomo, ale szkolenie zaliczone. Trzecie miejsce: ruski siedzi w okopie i wali w coś kijem. Raz, drugi, trzeci, aż to coś, w co walił kijem, eksploduje. Trup na miejscu. Prawdopodobnie była to niezbyt udana próba nowej technologii – kijka jako narzędzia saperskiego.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b471be45b5

Michał Korsun prezentuje:
Ukraina sprowadza prochy bohaterów UPA



Wycinki z przeszłości

Przez lata można było usłyszeć, że po polskich ulicach chodzą białe niedźwiedzie. Ale dawniej zachodnie wyobrażenia o Polsce szły jeszcze dalej. „Słowo Kujawskie" pisało w 1923 r., że firma Vauxhall adresowała listy do Warszawy, podpisując je „Warsaw — Russia". Polacy musieli tłumaczyć Brytyjczykom, że „Warszawa znajduje się nie w Rosji, a w Polsce, państwie suwerennem, uznanem za takie przez Traktat Wersalski".

(sp)


SŁOWO KUJAWSKIE

Jeden dzień Młodej Opery Warszaw w Włocławku

KUJAWSKIE TOW. HANDLOWO-PRZEMYSŁOWE W WŁOC „LECH", Sp. Akc.
POLSKA HURTOWNIA TOWARÓW KOLONJALNYCH

WYPRZEDAŻ

W nowootworzonym składzie wódek
KUJAWIAK
ul. Mańana (Szeroka) 5 we Włocławku
najtaniej można nabyć

Różne.

W Anglji nie wiedzą, że Warszawa jest w Polsce.

Związek Polskich Organizacji Rolniczych wystosował do poselstwa Wielko-Brytyjskiego w Warszawie pismo, w którem zwraca uwagę, iż firma »Vauxhall Motors Ltd«, nadsyła do instytucji rolniczych i hodowlanych w Warszawie listy adresowane »Warsaw—Rusia«.

Z. P. O. R. prosi poselstwo o łaskawe wyjasnienie zarządowi tej firmy, iż Warszawa znajduje się nie w Rosji, a w Polsce, państwie suwerennem, uznanem za takie przez Traktat Wersalski, podpisany między innemi i przez przedstawiciela Wielkiej Brytanji.

(I. P. P.).

Fabryka Maszyn ... p.f. A. Zakrzewski w Włocławku
w org. Spółka Akcyjna
tylko od 7 do 21 czerwca 1923 r.
ZARZĄD FABRYKI.

Z WOLEJA

Crystal Palace i... polski papież



Ryszard Czarnecki

Tydzień temu pisałem, że angielski klub Aston Villa wygrał Ligę Europy. Teraz znowu angielska drużyna, tyle że Crystal Palace, zawojowała futbolową Europę, wygrywając Ligę Konferencji. Do tego dochodzi trzeci reprezentant Albionu, a drugi Londynu – Arsenal, który w sobotę skrzyżował piłkarskie szpady w finale Ligi Mistrzów. Ofensywa „ojczyzny futbolu" jest faktem. Pod tym względem Anglia zastąpiła Hiszpanię.

Klub ze stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej wygrywa jeden z trzech europejskich pucharów. Zgoda, że najmniej ważny, ale w Premier League, czyli odpowiedniku polskiej Ekstraklasy, zajmuje dopiero 15. miejsce! To świadczy o angielskiej potędze. Drużyna z Selhurst Park Stadium (może pomieścić nieco ponad 25 tys. widzów) ma tyle trofeów, co kot napłakał. Raz, przed rokiem, zdobyła Puchar Anglii, dzięki czemu w tym sezonie zagrała w Lidze Konferencji. Z kolei dzięki temu, że wywalczyła ów europuchar, w sezonie 2026/2027 zagra w Lidze Europy (m.in. z Jagiellonią Białystok). Ponadto dwukrotnie w swej 121-letniej historii grała w finale Pucharu Anglii i jedyny raz zdobyła miejsce na podium najwyższej klasy rozgrywkowej w swoim kraju (trzecie miejsce 3,5 dekady temu). Właścicielami klubu są trzej Brytyjczycy, z których jeden pełni funkcję jego prezesa. Kadra jest spora, bo liczy 28 zawodników, z czego dwie trzecie to cudzoziemcy, przy czym aż 19 zawodników gra w reprezentacjach swoich krajów. Średnia wieku wynosi 26,5 roku.

A teraz polski kontekst Crystal Palace. W naszym kraju działa prężny klub kibica tej drużyny, tak jak istnieją oficjalne fankluby choćby Realu Madryt, Barcelony czy Bayernu Monachium. Zapewne ma to pewien związek z tym, że sporo naszych rodaków mieszka w południowej dzielnicy Londynu o tej nazwie. Naszych jest tam tak wielu, że funkcjonują polskie restauracje, sklepy i usługi. W klubie tym grał również Polak, Jarosław Jach. Przeszedł tam w 2018 r. z Zagłębia Lubin, po czym Anglicy wypożyczyli go najpierw do Turcji, potem do Mołdawii (Naddniestrza) i do Rakowa Częstochowa. W końcu nasz obrońca dopiero po dwóch latach zadebiutował w Pucharze Ligi i od razu zdobył gola. W sumie formalnie był zawodnikiem Crystal Palace przez cztery lata. W tym sezonie grał w Polsce w Zniczu Pruszków, z którym spadł do II (czyli III) ligi.

A jednak mnie Crystal Palace będzie się kojarzyć przede wszystkim nie z futbolem, ale z... kazaniem (!) polskiego papieża Jana Pawła II, wygłoszonym w czasie spotkania z rodakami podczas jego pielgrzymki do Wielkiej Brytanii w 1982 r. To właśnie wtedy, na już nieistniejącym starym stadionie CPFC, Ojciec Święty mówił, że rodacy poza ojczyzną to „Polska poza Polską".

eprasa.pl b471be45b5

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Młodzi mają trudniej!

Ciągle słyszymy, że choć młode pokolenie ma dobrze jak nigdy dotąd, to jednak jest niezadowolone z życia. Narzeka i w sumie sobie z nim nie radzi.



SAMO DOBRO

Najlepsze w dziejach Polski materialne warunki konsumpcji. Maksymalny dostęp do rozrywki – koncerty, kina, kluby, imprezy. Stypendia, granty. Mieszkania pełne elektroniki, w których nawet czajnik jest „smart", a pralka wysyła powiadomienia na telefon. Netflix pyta zaś troskliwie: „Czy na pewno nadal oglądasz?", gdy ktoś właśnie kończy trzeci sezon serialu w jedną noc. Wolność słowa i podróży – młodzi Polacy nigdy wcześniej nie przemieszczali się po świecie tak swobodnie.

20-latek może wstać rano w akademiku w Krakowie, a wieczorem wrzucać na Instagram zdjęcia z Lizbony, bo akurat trafiły się tanie bilety i czemu miałby nie polecieć. Albo siedzi w barze w Barcelonie i mówi, że „na Erasmusa to właściwie pojechał, by zobaczyć, jak się żyje gdzie indziej", po czym wraca z garścią znajomych z pięciu kontynentów.

Rozrywka? Koncerty, na które kiedyś trzeba było czekać latami, dziś są na wyciągnięcie ręki – Coldplay, Taylor Swift czy Metallikę można zaliczyć w jednym sezonie. A bilety kupuje się kliknięciem, popijając matchę.

Stypendia, granty, programy wymiany – młodzi mogą dziś studiować w Berlinie, odbywać praktyki w Dublinie, pisać doktorat w Helsinkach. Mogą – teoretycznie – wszystko. Wystarczy wypełnić formularz, napisać motywację, kliknąć „wyślij". W ogóle masę spraw mogą załatwić, klikając.

PRESJA ROŚNIE

Kiedyś pytano: jak związać koniec z końcem? Dziś częściej zadaje się pytanie: jak to wszystko ogarnąć? Coraz wyraźniej widać, że młodzi żyją pod rosnącą presją.

Niechcący daliśmy im świat nadmiarowej złożoności, ba – chaosu, z którym coraz gorzej radzą sobie nawet dorośli

I nie chodzi o kaprys czy „rozpieszczone pokolenie", lecz realne trudności: chroniczny lęk przed przyszłością; poczucie przeciążenia teraźniejszością; wrażenie, że świat, czyli ich życie, wymyka się spod kontroli.

Dobrobyt materialny nie rozwiązuje problemów egzystencjalnych. Czasem wręcz je uwypukla. Bo gdy „ma się wszystko", brak satysfakcji bardziej dokucza.

PRZESZKODY NOWEGO TYPU

Młodzi mierzą się dziś z trudnościami, jakich nie znały wcześniejsze pokolenia. Centralnym źródłem tych problemów jest głębokie zaburzenie procesów poznawczych wynikające z kulturowo-technologicznego środowiska, w którym dorastają. Środowiska przypominającego nieustannie pracujący generator dezorientacji.

Informacja przestała być zasobem, jest żywiołem: nadmiarem bodźców, sprzecznych narracji i algorytmicznie podkręcanych emocji. Ciągła konieczność selekcji i interpretacji sprawia, że młody człowiek funkcjonuje w świecie, w którym każda odpowiedź ma natychmiastowy kontrargument, każdy autorytet – antyautorytet, a każdy fakt – wersję konkurencyjną.

To nie jest zwykły szum informacyjny, lecz strukturalne rozchwianie utrudniające budowanie trwałych przekonań i stabilnych tożsamości. Do tego dochodzi presja nieustannego porównywania się z innymi, z ich życiorysami spreparowanymi do obserwowania, podanymi jak na tacy. I to ciągłe poczucie bycia ocenianym...

PEŁNA DEZORIENTACJA

Zamiast porządkować świat, technologia mnoży jego możliwe wersje, a przez to osłabia poczucie kierunku i sensu życia. Młodzi funkcjonują dziś w stanie poznawczej nadpobudliwości: niby wiedzą dużo, ale rzadko wiedzą, co z tą wiedzą zrobić. Widzą wiele dróg, ale żadna nie wydaje się naprawdę pewna.

To właśnie ta systemowa dezorientacja – naszym zdaniem bardziej niż brak mieszkań, inflacja czy niestabilny rynek pracy – stanowi dziś najgłębsze obciążenie pokolenia wchodzącego w dorosłość. W świecie, który nieustannie zmienia reguły, nawet dobrobyt nie daje oparcia.

Niechcący daliśmy im świat nadmiarowej złożoności, ba – chaosu, z którym coraz gorzej radzą sobie nawet dorośli.

SZCZELINA NADZIEI

U młodych dostrzegamy pragnienie czegoś odwrotnego: skupienia zamiast nieustannego scrollowania, długiej rozmowy, której nie przerywają powiadomienia z telefonu, książki przeczytanej do końca. Niechaj to pragnienie nie zniknie.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl b471be45b5

Subskrypcja SIECI

wPolityce.pl Premium +

CZYTASZ CAŁY ROK, PŁACISZ ZA PÓŁ



TYLKO DO 18 CZERWCA!

Twój dostęp do prawdy

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl b471be45b5

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl b471be45b5